

*[to jedna z moich ukochanych książek, a ponieważ nie ma jej nigdzie w księgarni poszedłem kiedyś do biblioteki, pożyczylem i w pocie czoła – oj nie! Wcale nie mam za dużo wolnego czasu! – zeskanowałem*

*A teraz, ponieważ jest bittorrent i ponieważ pościagałem mnóstwo fajnych książek – dokładam też coś od siebie.*

*Namawiam wszystkich by też się trochę postarali i wrzucili coś do sieci. Bo tak właśnie, cegielka po cegielce, non-profit, dzięki nam, powstaje ta zajebista rzecz, jaką jest internet. Milego czytania, przepraszam za literówki etc – nie miałem czasu tego poprawiać, ważne, że da się przeczytać – arcadio]*

*Virginia Woolf – Orlando*

-----  
*Dla V. Sackville-West*

#### *PODZIĘKOWANIA*

W napisaniu tej książki dopomogli mi liczni przyjaciele. Wielu z nich już nie żyje, a ich nazwiska owiane są taką sławą, że ledwie śmiem je wymienić, a ponadto odbiorca nie może bez końca czytać, a ja bez końca pisać o wiekuistym długu, jaki zaciągnęłam wobec Daniela Defoe, Sir Thomasa Browne'a, Sterne'a, Sir Waltera Scotta, Lorda Macaulaya, Emily Bronte, De Quinceya i Waltera Patera by wymienić tych, którzy pierwsi przychodzą mi do głowy. Inni, choć na swój sposób nie ustępują sławą wyżej wymienionym, jeszcze żyją, co czyni ich mniej groźnymi. Szczególną wdzięczność winna jestem Mr C. P. Sangerowi, bez którego wiedzy na temat prawa własności książka ta nigdy by nie powstała. Rozległa i nietuzinkowa erudycja Mr Sydneya Turnera ocaliła mnie, mam nadzieję, od palnięcia żalonych byków. Miałam przywilej - ja jedyna potrafię ocenić jak ogromnie cenny - skorzystania ze znajomości języka chińskiego Mr Arthura Waleya. Madame Lopokova (Mrs J. M. Keynes) zechciała poprawić mój rosyjski. Niezrównanej sympatii i wyobraźni Mr Rogera Fry'a zawdzięczam całe moje skromne rozumienie sztuki malarskiej. W innej dziedzinie skorzystałam, mam nadzieję, na wnikliwej, choć surowej krytyce mego siostrzeńca, Mr Juliana Bena. Waleru niestrudzonych badań Miss M. K. Snowdon w archiwach Harrogate i Cheltenham nie umniejsza ich całkowita nieskuteczność. Inni przyjaciele pomogli mi na zbyt rozmaite sposoby, by je tutaj wyszczególnić. Niechaj zatem

wolno mi będzie ograniczyć się do następujących osób: Mr Angus Davidson; Mrs Cartwright; Miss Janet Case; Lord Berbers (którego znajomość elżbietańskiej muzyki okazała się nieoceniona); Mr Francis Birrell; mój brat, Doktor Adrian Stephen; Mr F. L. Lucas; Mr i Mrs Desmond Maccarthy; ten najbardziej inspirujący z krytyków, mój siostrzeniec, Mr Clive Bell; Mr G. H. Rylands; Lady Colefax; Miss Nenie Boxall; Mr J. M. Keynes; Mr Hugh Walpole; Miss Violet Dickinson; Wielebny Edward Sackville-West; Mr i Mrs St. John Hutchinson; Mr Duncan Grant; Mr i Mrs Stephen Tomlin; Lady i Mr Ottoline Morrell; moja teściowa, Mrs Sidney Woolf; Mr Osberta Sitwella; Madame Jacques Raverat; pułkownik Cory Bell; Miss Valerie Taylor; Mr J. T. Sheppard; Mr i Mrs T. S. Eliot; Miss Ethel Sands; Miss Nan Hudson; mój siostrzeniec Mr Quentin Bell (z dawna ceniony współpracownik literacki); Mr Raymond Mortimer; Lady Gerald Wellesley; Mr Lytton-Strachey; wicehrabim Cecil; Miss Hope Mirrlees; Mr E. M. Forster; Wielebny Harold Nicolson; i moja siostra, Vanessa Bell - nie możemy jednak dopuścić, by lista stała się zbyt długa, a prócz tego już jest nazbyt szumna. Bowiem choć mnie nazwiska te przywodzą na pamięć najmiłsze przeżycia, w czytelniku niechybnie rozbudzą oczekiwania, których książka w żadnej mierze spełnić nie może. Zakończę więc podziękowaniami wobec urzędników British Museum i Archiwum Narodowego za ich życzliwość; wobec mej siostrzenicy Angeliki Bell za przysługę, którą tylko ona mogła mi wyrządzić, jak również wobec mego męża za cierpliwość, z jaką nieodmiennie pomagał mi w badaniach i za głęboką wiedzę historyczną, której te stronicie zawdzięczają całą wiarygodność, do jakiej mogą pretendować. Nareszcie podziękowałabym, gdybym nie zgubiła jego nazwiska i adresu, pewnemu dzentelmenowi z Ameryki, który dobrowolnie, z czystego umiłowania wiedzy, zwrócił moją uwagę na błędy w przestankowaniu, botanice, entomologii, geografii i chronologii mych poprzednich dzieł; mam nadzieję, że i tym razem nie odmówi mi swych usług.

I

Był - bowiem jego płeć nie pozostawiała żadnych wątpliwości, aczkolwiek ówczesna moda wcale jej nie podkreślała - w trakcie szlachtowania głowy Maura, która kołysała się zwieszona z krokwi. Przybrała kolor, jak również, w przybliżeniu, kształt piłki, wyłączwszy zapadłe policzki i kosmki zmierzwionych, wyschłych włosów. Ojciec Orlanda, a może dziadek, stracił ją z barków ogromnego poganina, który wyłonił się z nagła przy księżycu pośród barbarzyńskich pól Afryki. Teraz kołysała się, powoli, bez ustanku, w podmuchu, który niestrudzenie wietrzył poddasze olbrzymiego domu szlacheńca poganobójcy.

Antenaci Orlanda jeździli po polach złotogłowiu, po polach kamienistych, po polach nawadnianych obcymi rzekami, i nastręcali wiele głów rozmaitych maści, by przywieźć je i podwiesić na krokwiach. Orlando poprzysiągł sobie pójść w ich ślady. Ale że miał tylko szesnaście lat, za mało, by cwałować po Afryce czy Francji, wymykał się od towarzystwa matki i pawi w ogrodzie, by pójść na poddasze, gdzie dęgał i pruć powietrze połyskującym brzeszczotem. Zdarzało mu się przeciąć

sznur, a gdy czaszka spadała z łoskotem na podłogę, po rycersku podwiązywał ją na powrót już poza zasięgiem klingi, tak że wróg z triumfem szczyrzył nań zęby przez spierzchnię, czarne wargi. Czaszka bujała się tam i z powrotem, bowiem dom, w którym mieszkał na poddaszu, był tak olbrzymi, że wiatr zdał się wziąć go we władanie, dmiąc raz z tej, raz z tamtej strony, czy to zimą, c

r

latem. Zielony arras z myśliwymi falował bez ustanku. Antenaci Orlanda byli szlachcicami, odkąd pojawili się na świecie. Wypłynęli z północnej mgły w koronetach na głowach. Czyż pasma cienia i żółte kałuże nakrapiające podłogę nie były dziełem słońca, które wpadało przez witraż z olbrzymim herbem rodowym? Orlando skąpany był w żółcieniu herbowego lamparta. Gdy położył dłoń na parapecie, by rozewrzeć okiennice, natychmiast, jak skrzydełko motyla, zabarwiła się na czerwono, niebiesko i żółto. Ci, którzy znajdują upodobanie w symbolach i ich rozszyfrowywaniu, zechcą może zauważyć, że choć kształtne nogi, wyprężony tors i krzepkie ramiona ozdobione były rozmaitymi odcieniami herbowego światła, twarz Orlanda, który wypchnął połówki okna, oświetlało jedynie słońce. Trudno byłoby znaleźć twarz szerszą, wzniolejszą. Szczęśliwa matka, która go powiła, jeszcze szczęśliwszy biograf, który żywot jego spisuje! Ni ona nie zazna strapienia, ni on nie będzie się uciekał do pomocy powieściopisarza czy poety. Podąży od czynu do czynu, od zaszczytu do zaszczytu, od urzędu do urzędu, a za nim żywotopis, aż dotrą tam, gdzie spełnione zostaną ich najwyższe aspiracje. Wystarczyło spojrzeć na Orlanda, by wiedzieć, że na taką właśnie miarę został skrojony. Rumieńce jego policzków porastał brzoskwinowy meszek. Meszek na górnej wardze nieledwie był gęstszy aniżeli na policzkach. Usta były krótkie i nieco naciągnięte na zęby, które białeły olśniewająco jak migdały. Szpiczasty nos sterczał krótko i węzłowato. Włosy miał ciemne, uszy drobne, ściśle przyległe do głowy. Szkoda, że nie można zakończyć tego inwentarza młodzieńczej urody, nie wspomniawszy o czole i oczach! Szkoda, że ludzie rzadko rodzą się pozbawieni tych przymiotów, bowiem gdy tylko spojrzymy na stojącego przy oknie Orlanda, musimy przyznać, że miał oczy jak fiołki na deszczu, tak wielkie, iż zdawała się je rozsadzać woda; że czoło, pomiędzy medalionami skroni, wysklepione było jak marmurowa kopuła. Skoro tylko spojrzymy na oczy i czoło, takie zaraz wyśpiewujemy rapsody.

8

Skoro tylko spojrzymy na oczy i czoło, musimy przyznać się do tysięcy nieprzyjemnych sprawek, które dobry żywotopis stawia sobie za cel pominąć. Niektóre widoki go niepokoiły, choćby widok jego matki, bardzo urodziwej damy ubranej na zielono, która szła nakarmić pawie, chcąc zdążyć przed Twitchett, swą ochmistrzynią; inne widoki, jak ptaki i drzewa, wzruszały go, jeszcze inne, jak wieczorne niebo i zlatujące się gawrony, budziły w nim umiłowanie śmierci. Pnąc się po kręconych schodach do jego mózgu - bardzo przestronnego - wszystkie te widoki, jak również odgłosy ogrodu, kucie młotem, rąbanie drew, wszczynają ową gonitwę i zamęt namiętności i uczuć, tak nienawistne każdemu dobremu żywotopisowi. Lecz by się dłużej nie rozwodzić - Orlando powoli opuścił głowę na barki, zasiadł do stołu, po czym, machinalnym gestem człowieka przyzwyczajonego o tej porze zawsze do tej samej czynności, wyjął manuskrypt zatytułowany: *fEthelbert, tragedia w pięciu aktach* i zamoczył stare, zbrudzone gęsie pióro w inkauscie.

Wkrótce zapełnił dziesięć i więcej stronic poezją. Pisał stylem płynnym, lecz oderwanym. Bohaterami jego dramatu były: Występek, Zbrodnia, Nędza. Królowie i królowe rządziły trudnymi państwami; gnębiły ich podłe zmywy, przepelniały szlachetne uczucia. Słowa miały kształt, jakiego nigdy nie przybierały w jego własnych ustach, lecz znamionowała je godna podziwu płynność i słodycz, zważywszy, iż nie ukończył jeszcze siedemnastu lat, a szesnaste stulecie nie dobiegło jeszcze kresu. Nareszcie odłożył pióro. Opisywał, jak wszyscy młodzi poeci od niepamiętnych czasów, naturę, a dla wiernego oddania pewnego odcienia zieleni spoznał na rzecz samą (w czym wykazał większą od innych śmiałość), za którą posłużył mu w tym wypadku krzew laurowy pod oknem. Co uczyniwszy, oczywiście nie mógł już dalej pisać. Zielen w naturze to jedna sprawa, zielen w poezji - inna. Natura i pisanie zdają się żywić do siebie wrodzone anse; poznać je ze sobą, a rozszarpnąć się na strzępy. Odcień zieleni, który ujrzał Orlanda, zepsuł mu rym i zakłócił

9 I

metrum. Ponadto natura umie płatać figle. Wystarczy spojrzeć za okno na pszczoły pośród kwiatów, na ziewającego psa, na zachodzące słońce, wystarczy pomyśleć „Ile jeszcze ujrzę zachodzących słońc” i tak dalej, i tak dalej (myśl owa jest zbyt dobrze znana, by warto było się nad nią rozwodzić), a człowiek wypuszcza z ręki pióro, bierze płaszcz, rusza do drzwi i zawadza stopą o malowaną komodę. Orlanda był bowiem cokolwiek fajtlapą.

Baczył, by z nikim się nie spotkać. Ścieżką nadchodził Stubbs, ogrodnik. Orlanda poczekał za drzewem, aż przejdzie. Wymknął się z ogrodu małą furtką w murze. Ominął wszystkie stajnie, psiarnie, browary, stolarnie, budynki, gdzie wytapia się łojowe świece, szlachtuje woły, kuje konie, szyje kaftany - bowiem folwark był istnym miastem ludnym od mężczyzn zaprzątniętych swym rzemiosłem i niepostrzeżenie wydostał się na paprotną ścieżkę wiodącą pod górę przez park. Pomiędzy pewnymi przymiotami istnieje być może pokrewieństwo; jeden pociąga za sobą drugi. Żywotopis winien w tym miejscu zwrócić uwagę, że niezgrabności często towarzyszy umiłowanie samotności. Orlanda, który potknął się o komodę, uwielbiał ustronia, rozległe widoki, rozkoszował się poczuciem, że jest zawsze i zawsze, i zawsze sam.

Po długim milczeniu westchnął zatem nareszcie „Jestem sam”, po raz pierwszy w tej relacji otwierając usta. Bardzo szybko przebrnął przez paprocie i głogi na szczyt wzgórza, płosząc sarny i dzikie ptactwo, aż dotarł w miejsce zwieńczone pojedynczym dębem. Wzniesienie było bardzo wysokie, tak wysokie, że w dole widać było dziewiętnaście hrabstw

angielskich, w słoneczne dni trzydzieści, a przy bardzo dobrej pogodzie nawet czterdzieści. Czasem zoczył kanał La Manche, falę napierającą na falę. Widać było rzeki i sunące po nich statki spacerowe; i ruszające w morze galeony; i armady spowite dymem, z którego dobywał się tępy grzmot wystrzałów z dział; i nadbrzeżne warownie; i zamki pośród łąk. Ówdzie widniała wieża strażnicza; ówdzie twierdza; to

znowu potężny dwór podobny siedzibie ojca Orlanda, skupiony w sobie jak miasto w dolinie, okolony murami. Na wschodzie wzbijały się wieże Londynu i dymy miasta; a na samym widnokregu, gdy nie bruździł wiatr, skalisty wierzchołek i zębate zbocza Snowdonu piętrzyły się pośród chmur. Przez chwilę Orlando stał i liczył, patrzył, rozpoznawał. To dom ojca, to wuja. Właścicielką tych trzech wielkich wieżyc pośród drzew jest jego ciotka. Należało do nich wrzosowisko i las, bażant i sarna, lis, borsuk i motyl.

Westchnął głęboko i cisnął się - w jego ruchach była raptowność, która usprawiedliwia to słowo - na ziemię u stóp dębu. Uwielbiał, mimo całej tej ulotności lata, czuć pod sobą kręgosłup ziemi; za taki bowiem wziął twardy korzeń dębu; bądź też, jako że obraz następował po obrazie, za grzbiet wielkiego konia, na którym jechał; lub za pochylony na burcie statek - w istocie za cokolwiek, co było twarde, czuł bowiem potrzebę przytwierdzenia do czegoś swego wąpiącego serca; serca, które szarpało jego piersią; przez które każdego wieczoru o tej porze, gdy szedł na spacer, zdawały się płynąć wonne, miłosne strumienie. Uwiązał je do dębu, a gdy tak leżał, stopniowo ustało trzepotanie w nim samym i naokół; listki wisiały niewzruszone, sarny przystanęły; blade letnie chmury zamarły; jego kończyny przywarły ciężko ku ziemi. Leżał tak spokojnie, że ośmielone sarny z czasem podeszły bliżej, gawrony zataczały nad nim koła, jaskółki nurkowały i wirowały, przemknęła ważka, jakby cała płodność i miłosne poczynania natury utkały się w sieć wokół jego ciała.

Po mniej więcej godzinie - słońce spiesznie zachodziło, białe chmury poczerwieniały, wzgórze stały się fioletowe, lasy purpurowe, doliny czarne - zagrała trąbka. Orlando skoczył na nogi. Skrzekliwy dźwięk dochodził z doliny; z mrocznego miejsca w dole; miejsca zwartego, określonego; z labiryntu; z miasta, lecz opasanego murami. Dochodził z serca jego własnego, wielkiego domu w dolinie, przedtem pogrążonego w mroku, który teraz jednak, pod spu~~ faniem

10

młodego człowieka i przy dźwiękach samotnej trąbki podwajanych i potrajanych jeszcze skrzekliwszym echem, rozbłysł smugami światła. Jedne światła były drobne i rozbiegane, jakby zawezwana czeladź pędziła korytarzami; inne były podniosłe i pełne blasku, jakby płonęły w pustych salach bankietowych, gotowych na przyjęcie gości, którzy nie przyszli; jeszcze inne nurkowały i wahały się, opadały i wznosiły, jakby trzymane przez zastęp sług, którzy schylają się, kłękają, powstają, wskazują drogę i z wszelkimi honorami wiodą w progi domu wielką księżniczkę zstępującą ze swego rydwanu. Na podwórzu zawracały i toczyły się powozy. Konie potrzęsały grzywami. Przybyła królowa.

Orlando napatrzył się już. Pognał na dół. Otworzył sobie furtkę. Wbiegł po kręconych schodach, dopadł swego pokoju. Pończochy cisnął w jeden kąt, kaftan w drugi. Zanurzył twarz w wodzie. Obmył ręce. Przyciął paznokcie u rąk. Mając do pomocy zaledwie sześć cali lustra i dwie świece, w nie więcej niż dziesięć minut wedle stajennego zegara założył karmazynowe rajtuzy, białą krezę, kamizelkę z tafty i trzewiki przyozdobione rozetkami dwakroć większymi od kwiatu dali. Był gotów. Był obłany rumieńcem. Był przejęty. Ale był też ogromnie spóźniony.

Znanymi sobie skrótami udał się teraz przez rozległe aglomeracje pokojów i schodów do sali bankietowej odległej o pięć akrów, po drugiej stronie domu. W połowie drogi, w tylnych pomieszczeniach czeladnych, przystanął. Drzwi salonu jejmość Stewkley były otwarte - poszła, bez wątpienia, ze wszystkimi swymi kluczami, by stanąć do dyspozycji swej pani. Wszakże w środku, usadowiony przy stole jadalnym z kuflem po jednej ręce i kartką papieru przed sobą, przebywał dość tłusty, dość nikczemnej postury jegomość, z krezą lekko przybrudzoną, a ubraniem zupełnie zrudziałym. Trzymał w dłoni pióro, lecz nie pisał. Wydawał się zajęty obracaniem w głowie na wszystkie strony jakiejś myśli, póki nie nabierze pożądanego kształtu i impetu. Oczy, krągłe i zaszle mgiełką, podobne zielonemu kamieniowi

o osobliwej fakturze, były utkwione w jednym miejscu. Nie widział Orlanda. Mimo pośpiechu Orlando stanął jak wryty. Czy to poeta? Czy pisze poezję? Opowiedz mi - chciał zakrzyknąć - świat cały!, miał bowiem najzupełniej szalone, absurdałne, niestworzone wyobrażenia o poetach i poezji - lecz jak przemówić do człowieka, który cię nie widzi? Który widzi wilkołaki, satyrów, morskie odmęty? Orlando stał zatem i patrzył, jak jegomość obraca pióro w palcach, to w jedną, to w drugą stronę; rozmyśla i medytuje; po czym, bardzo szybko, zapisuje pół tuzina wersów i unosi głowę. Na co Orlando, onieśmielony, pognał do sali bankietowej, gdzie przybył akurat na czas, by paść na kolana i, zwiesiwszy w pomieszczeniu głowę, podać miskę wody różanej samej wielkiej królowej.

Tak olbrzymie było jego onieśmielenie, że widział tylko jej upierścienioną dłoń w wodzie; ale i to wystarczyło. Była to dłoń nieprzeciętna; szczupła dłoń z palcami zawsze zakrzywionymi, jakby zaciśniętymi na królewskim jabłku czy buławie; dłoń nerwowa, przykra, chorowita; ale także dłoń władcza; dłoń, którą wystarczy unieść, by spadła głowa; dłoń, jak się domyślił, przyrosła do starego ciała pachnącego szafą, w której trzyma się futra w kamforze; ciała wszakże okulbaczonego wszelakimi brokatami i klejnotami; ciała trzymającego się bardzo prosto, choć może obolałego ischiasem; ciała, które nigdy nie zadrżało, choć szarpane tysiącem obaw. A oczy królowej były jasnożółte. Wszystko to odczuł, gdy wielkie pierścienie połyskiwały w wodzie, a później coś dotknęło jego włosów - być może dlatego nie zobaczył nic, co mogłoby się przydać historykowi. Zresztą prawdę rzekłszy, jego umysł był taką kotłowaną przeciwieństw - nocy i rozjarzonych świec, obdartego poety i wielkiej królowej, niemych pół i hałaśliwej czeladzi - że nie widział nic bądź tylko dłoń.

Tenże sam układ kompozycyjny sprawił, że królowa widziała tylko głowę. bez jeśli można z dłoni wynioskować o ciele, przenikłym wszystkimi przymiotami wielkiej kró

12 13

lowej, jej zgryźliwością, odwagą, kruchością i lękiem, chyba równie żyzne pole do domysłów daje głowa, widziana z wysokości tronu przez damę, której oczy, jeśli zaufać figurom woskowym w opactwie, były zawsze szeroko otwarte. Długie, kręcone włosy, ciemna głowa pochylona przed nią z takim uszanowaniem, z taką niewinnością, kazały wnioskować o najpiękniejszych nogach, jakie kiedykolwiek nosiły młodego szlachcica; o fiołkowych oczach; o złotym sercu; o lojalności i męskim powabie - przymiotach, w których staruszka znajdowała tym większe upodobanie, im bardziej umykały jej samej. Bowiem robiła się przedwcześnie stara, marniała i garbiła się. W uszach wiecznie miała huk armat. Wszędzie widziała połyskującą kroplę trucizny i długi sztylet. Siedziała za stołem i słuchała; słyszała armaty na kanale La Manche; lękała się - czy to było przekleństwo, czy to był szept? Niewinność, prostota były jej droższe, gdy postawiła je na tym mrocznym tle. Tradycja mówi, że jeszcze tej samej nocy, gdy Orlando smacznie spał, o%cjalnie przekazała w darze ojcu Orlanda, przykładając nareszcie swą dłoń i pieczęć do pergaminu, wielki majątek klasztorny, który najpierw należał do arcybiskupa, a później do króla.

Orlando przespał całą noc w błogiej nieświadomości. Choć o tym nie wiedział, królowa ucałowała go w sali bankietowej. Serca kobiet są zawile, więc może właśnie ta nieświadomość, to zdziwione poruszenie ciała, gdy jej usta dotknęły jego głowy, podsycały w niej pamięć o swym młodym kuzynie (gdyż łączyły ich węzły krwi). Tak czy owak, nie minęło więcej niż dwa lata spokojnego prowincjonalnego życia, a Orlando napisał ledwie dwadzieścia tragedii, tuzin dramatów historycznych i z kopę sonetów, gdy nadeszła wiadomość, że ma stawić się przed obliczem królowej w Whitehall.

- Patrzcie - powiedziała, gdy zbliżał się ku niej długim korytarzem - nadchodzi wcielenie niewinności! (Miał w sobie łagodność, która sprawiała wrażenie niewinności,

choć formalnie rzecz biorąc, słowo to nie miało już zastosowania).

- Pójdź ku mnie! - powiedziała. Siedziała przy kominku wyprostowana jak struna. Przytrzymała go na wyciągnięcie ramienia i ogarnęła wzrokiem od dołu do góry. Czy chciała potwierdzić swe domysły z sali bankietowej, teraz, gdy prawda była bardziej widoczna? Czy znalazła dla nich usprawiedliwienie? Oczy, usta, nos, tors, biodra, dłonie - dokonała oględzin; zaczęły jej drgać usta; gdy spojrzała na nogi, wybuchnęła głośnym śmiechem. Stanowił żywe wcielenie idealnego wizerunku szlachcica. Ale w środku? Błysnęła ku niemu swymi żółtymi, sokolimi oczyma, jakby chciała wskroś przeszyc jego duszę. Młodzieniec wytrzymał spojrzenie, zakwitł tylko stosownym rumieńcem w kolorze damasceńskiej róży. Tężyzna, wdzięk, romantyczność, szaleństwo, poezja, młodość - czytała w nim jak w księżce. Błyskawicznie zsunęła z palca pierścień (choć kłykiec był opuchły), po czym, nakładając go na palec Orlanda, mianowała go wielkim intendentem królewskim i lordem zarządzającym koronacjami; zawiesiła mu na szyi symbolizujące jego godność łańcuchy; przykazawszy mu ugiąć kolano, przewiązała jego gołeń roziskrzonym od klejnotów Orderem Podwiązki. Wszelkie zaszczyty tego świata stały odtąd przed nim otworem. W uroczystych paradach jechał konno u drzwi jej powozu. Został wysłany ze smutną misją do nieszczęsnej królowej Szkocji. Miał właśnie pozełgować na wojnę polską, gdy odwołała go do siebie. Jakże bowiem miała znieść myśl o tym delikatnym ciele rozdartym na strzępy, o tej anielskiej głowie toczącej się w pyłe? Zatrzymała go przy sobie. W apogeum swego triumfu, gdy działa grzmiały przy Tower, powietrze było tak gęste od prochu strzelniczego, że kręciło w nosie, a pod oknami rozbrzmiewało donośne „hurra”, pociągnęła go na poduszki, na których ułożyły ją dwórki (taka była zmarniała i stara) i kazała mu zanurzyć twarz w tej niezwyklej szacie - od miesiąca nie zmieniała sukni - która pachniała całym światem, po

14 15

myślał, przywołując chłopięce wspomnienia, jak jakaś stara komoda w domu, gdzie jego matka trzymała futra. Wstał, na pół dusząc się od uścisku.

- To jest moje zwycięstwo! - wydyszała z siebie, akurat gdy raca okryła jej policzki szkarłatem. Bowiem staruszka kochała go. Królowa, która umiała rozpoznać w człowieku mężczyznę, choć, jak powiadają, co innego przez to rozumiała, przeznaczyła mu wspaniałą, ambitną drogę życiową. Przyznała mu ziemie, ofiarowała w darze dwory. Miał być synem jej wieku starczego; opoką jej ułomności; drzewem dębowym, na którym znajdowało wsparcie jej zwyrodnienie. Skrzeczała te obietnice i nie znoszące sprzeciwu czułości (byli teraz w Richmond), siedząc prosto jak struna w sztywnych brokatkach przy ogniu, który, choćby dokładali nie wiedzieć ile drew, nie zdołał ochronić jej przed chłodem.

Tymczasem ciągnęły się bez końca długie zimowe miesiące. Każde drzewo w parku powlókł szron. Rzeka płynęła niemrawo. Pewnego dnia, gdy na ziemi leżał śnieg, na boazerii mrocznych sal tańczyły cienie, a w parku ryczały jelonki, w lusterku, które w obawie przed szpiegami zawsze miała przy sobie, przez drzwi, które w obawie przed mordercami zawsze pozostawiała otwarte, ujrzała chłopca czy mógł to być Orlando? - całującego dziewczynę kimże, u licha, jest ta bezczelna gąska? Schwyciła złotą rękojeść miecza i gwałtownie plasnęła nim w lustro. Szło pękło; zbiegły się damy dworu; uniosły ją i posadzili na powrót w krzesła. Była jednak zdruzgotana i do końca swych dni wyrzekała na zdradliwość mężczyzn.

Być może winę ponosił Orlando. Czy jednak mamy prawo go nią obarczać? Żył w epoce elżbietańskiej; odmienna od naszej była moralność, inni byli poeci, inny klimat; nawet warzywa nie były te same. Wszystko było inne. Pogoda i klimat,

upał i mróz, lata i zimy, okazywały, jak nam wolno sądzić, zupełnie odmienny temperament. Cudowny romantyczny dzień dzieliła od nocy równie ostra granica co ląd od wody. Zachody słońca były czerwiejsze i jaskrawsze, jutrenki bielsze i świetlistsze. O naszym niezdecydowanym półmroku i przewlekłym zmierzchu nie mieli wyobrażenia. Deszcz padał niepoohamowanie bądź wcale. Słońce paliło bądź ścielił się mrok. Przekładając to, jak mają w zwyczaju, na sfery duchowe, poeci pięknie opiewali więdnące róże i opadłe płatki. Chwila jest krótka, zawodzili, chwila przemija; po czym wszyscy na jedną długą noc zapadną w sen. Sztukę przedłużania czy też utrwalania różanej świeżości za pomocą szklarni czy zielnika uważali za niegodny wybieg. Bezplodna pokrętność i wieloznaczność naszej bardziej stonowanej i wątpliwej epoki nie była im znana. Niepodzielnie rządził gwałt. Kwiaty zakwitały i więdły. Słońce wschodziło i zachodziło. Kochanek kochał i odchodził. A co poeci wkładali w rymy, młodzi przekładali na życie. Dziewczyny były jak róże, ich pora kwitnienia równie krótka. Nim nastanie noc, trzeba zerwać kwiaty. Bowiem dzień był krótki i dzień był wszystkim. Zatem, jeżeli Orlando szedł za radą klimatu, poezji, za radą całej epoki, i zrywał kwiaty na krześle pod oknem, choć wokół leżał śnieg, a na końcu korytarza srożyła się królowa, trudno nam się zdobyć, by go skarcić. Był młody; był chłopięcy; słuchał wszakże tylko rozkaza natury. Co się tyczy dziewczyny, podobnie jak królowa Elżbieta nie znamy jej imienia. Może Doris, może Chloris, Delia czy Diana, bo dla wszystkich po kolei układał wiersze. Równie możliwa była dama dworu, jak i służebna. Bowiem gusta Orlanda były rozległe; nie był miłośnikiem li tylko kwiatów ogrodowych; zawsze fascynowały go także kwiaty polne i chwasty.

Odsłaniamy tu bezwstydnie, co biografowi jest dozwolone, pewien osobliwy rys charakteru naszego bohatera, który można chyba przypisać temu, że pewna jego nieodległa przodkim nosiła zgrzebną koszulę i dźwigała skopki z mlekiem. W potoczystej, klarownej krwi, którą odziedziczył z Normandii, zawieszono były grudki ziemi z Kentu i Sussex. Utrzymywał, że połączenie brunatnej ziemi i błękitnej krwi jest korzystne. Można przyjąć za pewnik, że lubił

16 17 I

towarzystwo niskich stanów, szczególnie ludzi piśmiennych, których zbyt wyostrzony dowcip był im przeszkodą w wybicciu się - jakby odczuwał ku nim zew krwi. W tej porze jego żywota, gdy głowa kłębiła mu się od rymów i nigdy nie szedł spać nie wymyśliwszy najpierw jakiegoś konceptu, lico córki oberżysty zdawało się świeższe, a dowcip bratanicy łowczego żywszy aniżeli u panien dworu. Często zatem chadzał na Wapping Old Stairs i do piwiarni w ogrodach, zawinięty w szary płaszcz, by ukryć gwiazdę na szyi i podwiązkę pod kolanem. Tam, z kuflem w dłoni, pośród wysypanych piaskiem alejek, trawiastych kregielni i prostej architektury tego rodzaju przybytków, wysłuchiwał opowieści marynarzy o udreće, zgrozie i okrucieństwach na ziemi hiszpańskiej; o tym, jak jedni stracili palce, inni oczy - bowiem opowieść ustna zawsze była bardziej grubiańska i ponuro zabarwiona aniżeli opowieść pisana. Uwielbiał zwłaszcza, jak marynarze intonowali pełnym głosem pieśni z Azorów, a papugi, które przywieźli z tamtych stron świata, dziobały kółka w ich uszach, stukwały twardymi, ciekawskimi dziobami w rubiny na ich palcach i przeklinały równie szpetnie co ich panowie. Kobiety nie ustępowały ptakom w rubasznosci mowy i swobodzie obyczajów. Przycupnąwszy na jego kolanie, zarzucały mu ramiona na szyję, a domyślając się pod moltonowym kaftanem czegoś niepospolitego, równie mocno jak Orlando chciały dociec sedna sprawy.

Nie brakowało zresztą po temu okazji. Rzeka budziła się wcześniej, kładła spać późno, a na wodzie kołysały się wszelkiego rodzaju barki, czółna, łodzie. Każdego dnia wyruszał ku morzu jakiś wspaniały statek do Indii, to znowu inny, czarny od kudłatych obcych mężczyzn na pokładzie, podpełzał z wysiłkiem do brzegu, by zarzucić kotwicę. Nikt nie wyglądał za chłopcem i dziewczyną, jeśli zabawili chwilę dłużej na wodzie po zmroku; nikt nie marszczył brwi, jeśli plotka ukazała ich smacznie śpiących pośród kufrów skarbów, splecionych ramionami. Przygoda taka zdarzyła się Orlandowi, Sukey i hrabiemu Cumberlandowi. Dzień był upalny;

w Orlandzie i Sukey zawrzała miłość; zlegli śpiący pośród rubinów. Późną nocą hrabia, którego fortuna w dużej mierze zawisła od powodzenia przedsięwzięć hiszpańskich, przyszedł w pojedynkę z latarnią, by sprawdzić swój łup. Skierował światło na jedną z beczek. Cofnął się gwałtownie z przekleństwem na ustach. Baryłkę oplatały dwie śpiące zjawy. Z natury przesądny, z sumieniem obciążonym niejedną zbrodnią, hrabia wziął parę - zawinięci byli w czerwony płaszcz, a pierś Sukey bielila się zgoła jak wieczne śniegi w poezji Orlanda - za duchy wypełzły z grobów utopionych marynarzy, aby go pokarać. Przeżegnał się. Ślubował pokutę. Rząd przytułków do dziś dnia stojących przy Sheen Road jest widomym owocem chwilowego popłochu. Dwanaście biednych staruszek z parafii po południu pije herbatę, a wieczorem błogosławi jego hrabiowskiemu mości za dach nad głową. Co może zakazana miłość na statku korsarskim... ale poniechajmy morału.

Wkrótce jednak Orlando poczuł się znudzony nie tylko niewygodą tej drogi życiowej i ciasnotą okolicznych ulic, lecz także nieokrzesanymi obyczajami ludzi. Trzeba bowiem pamiętać, że przestępczość i nędza nie miały dla elżbietan tego powabu, którym odznaczają się dla nas. Nie podzielali oni naszego zawstyżenia wiedzą książkową; naszego przekonania, że urodzić się synem rzeźnika jest błogosławieństwem, a nie umieć czytać - cnotą. Nie ubrdali sobie, że to, co nazywamy „życiem” i „rzeczywistością”, w jakiś sposób wiąże się z ciemnotą i brutalnością; nie mieli nawet żadnego odpowiednika tych dwóch słów. Nie w poszukiwaniu „życia” Orlando szedł między nich; nie w dążeniu do „rzeczywistości” ich opuścił. Lecz kiedy usłyszał tuzin razy, jak to Jakes utracił nos, a Sukey cześć - a trzeba przyznać, że opowieści te snuli rozkosznie - monotonia nieco go znudziła, bowiem nos można odrąbać tylko na jeden sposób, a cnotę zawłaszczyć na inny - przynajmniej tak mniemał - podczas gdy sztuka i nauka kryły w sobie ogromną różnorodność, która głęboko go intrygowała. Hołub:p~mł

niewiele mógł w tej sprawie zdziałać, a choć niektórzy ziemianie kazali poświęcić te relikwie, większość wołała użyć ich jako drogowskazów, słupów, o które mogły się ocierać owce, bądź też, jeżeli kształt owych skamieniałości pozwalał, jako koryta dla bydła, którym to celom służą, po większej części wybornie, do dziś dnia.

Gdy jednak wieśniacy cierpieli skrajny niedostatek, a handel krajowy stanął w miejscu, Londyn wyprawił dobie huczny karnawał. Dwór przebywał w Greenwich, a nowy król skwapliwie skorzystał z okazji, jaką ofiarowała mu koronacja, by zaskarbić sobie przychylność poddanych. Zarządził, by rzekę, która zamarzła na głębokość dwudziestu i więcej stóp, sześć lub siedem mil w każdą stronę, zamieść, ustroić i wyporządzić jak ogród czy lunapark, na własny koszt postawiwszy altany, labirynty z żywoplotu, ławy kramarskie z napojami i tak dalej. Dla siebie i dworzan zatrzymał przestrzeń naprzeciwko bram pałacu; odgradzona od publiki jedynie jedwabną liną, stała się natychmiast areną dla najświetniejszego towarzystwa w całej Anglii. Wielcy mężowie stanu, zdobni w brody i krezy, kierowali sprawami państwa spod karmazynowej markizy królewskiej pagody. Wojskowi w pasiastych altanach zwieńczonych pękami strusich piór planowali podbój Maura i upadek Turka. Admirałowie przechadzali się wąskimi alejkami, ze szklanicą w dłoni, wodząc wzrokiem po widnokregu i snując opowieści o przejściu północno-zachodnim bądź o „niezwyciężonej armadzie”. Kochankowie wyciągali się na kanapach wysłanych sobolowym futrem. Gdy królowa wychodziła z dwórkami na spacer, osypywały je zmarzłe płatki róż. W powietrzu zawisły nieruchomo kolorowe balony. Tu i ówdzie płonęły wielkie ognie sycone drewnem cedrowym i dębowym, obficie prószone solą, by zabarwić płomienie na zielono, pomarańczowo i purpurowo. Choćby jednak gorzały najzacieklej, żar nie wystarczał do stopienia lodu, który, choć kryształowej przezroczystości, miał jednak twardość stali. Zaiste tak był

przejrzysty, że widać było, uwięzione w lodowych okowach na głębokości kilku stóp, to morświna, to płastugę. Ławice węgorzy tkwiły bez ruchu w transie, lecz filozofowie łamali sobie głowę, czy stan ich tłumaczyć sobie jako śmierć czy przejściową niemoc, z której wyrwie je ciepło. Blisko London Bridge, gdzie rzeka zamarzła do głębokości przeszło dwudziestu sążni, widać było wrak statku przewozowego, zalegającego na dnie rzeki od zeszłej jesieni, napelniony jabłkami. Stara handlarka, która przysłała zabrać owoce na targ od strony Surrey, siedziała w pledach i zapaskach z jabłkami na podolku, jakby miała zaraz obsłużyć klienta, choć pewna siność wokół ust pozwalała się domyślić prawdy. Widok ten szczególnie upodobał sobie król Jakub, który zabierał ze sobą świętą dworzan, by wraz z nim podziwiali tę scenę. Jednym słowem, nic nie mogło dorównać rozgwarowi i radości tych miejsc za dnia. Wszak dopiero nocą karnawał osiągał wyżyny wesela. Bowiem mróz nie puszczał; noce były doskonale pogodne; księżyc i gwiazdy płonęły z krystalicznym zapamiętaniem diamentów, a dworzanie ruszali w tan do wtóru fletu i trąbki.

Orlando, prawdę rzekłszy, nie należał do tych, co z gracją pływają kuranta czy kapreole; był niezdarny i nieco roztargniony. Wolał proste tańce swego własnego kraju, które tańczył jako dziecko, od tych ekscentrycznych obcych rytmów. Właśnie złączył stopy, około szóstej wieczór siódmego dnia stycznia, dokończywszy kadryla czy menueta, gdy dostrzegł wychodzącą z pawilonu ambasady rosyjskiej postać (mężską lub kobiecą, gdyż luźna tunika i szarawary wedle rosyjskiej mody służyły do kamuflowania płci), która wielce go zaintrygowała. Osoba ta, niewiadomego imienia i płci, była wzrostu mniej więcej średniego i niezwykle smukłych kształtów, odziana od góry do dołu w aksamit koloru ostrygowego, obszyty nieznanym zielonkawym futrem. Szczegóły te przysłała jednak niezwykle uwodzicielskość, jaką emanowała cała postać. W umyśle Orlanda splatały się i skręcały śmiałe obrazy i metafory. W przeciagu trzech sekund nazwał ją melonem, ananasem, drzewem oliwnym,

22 23

szmaragdem i lisem pośród śniegów; nie wiedział, czy ją usłyszał, zasmakował, ujrzał czy też wszystko naraz. (Bowiem, choć nie wolno nam ani na chwilę przerywać opowieści, możemy tu pospiesznie zaznaczyć, że wszystkie jego metafory były w tym czasie krańcowo proste, dostosowane do jego zmysłów, dobrane spośród jego ulubionych smakołyków z dzieciństwa. Wszakże o ile jego zmysły były proste, o tyle zarazem były niezwykle porywcze. Tracilibyśmy zatem czas żatrzymując się, by stawiać pytania). Melon, szmaragd, lis pośród śniegów - tak sobie roił, zapatrzony, kiedy chłopiec, gdyż, niestety, chłopiec to niechybnie - żadna kobieta nie jeździłaby na łyżwach z taką śmigłością i wigorem - przemknął obok niego, Orlando gotów był rwać sobie włosy z głowy, rozżalony, że nieznaną osobą należy do tej samej płci, a zatem żadne czułości nie wchodzi w rachubę. Tymczasem łyżwiarz przybliżył się. Nogi, dłonie, tors były chłopięce, lecz żaden chłopiec nie miał nigdy takich ust; żaden chłopiec nie miał takich piersi; żaden chłopiec nie miał oczu, które wyglądały jak wyłowione z dna morskiego. Wreszcie, skłoniwszy się z najwyższym wdziękiem królowi, który szurał obok nogami wsparty na ramieniu pokojowca, nieznaną łyżwiarz zatrzymał się. Był nie dalek jak na wyciągnięcie dłoni. Był kobietą. Orlando wybałuszyl oczy; drżał; zrobiło mu się gorąco; zrobiło mu się zimno; pragnął gnać przed siebie przez powietrze lata; miażdżyć pod stopą żołędzie; zarzucić ramiona wokół pni buków i dębów. Tymczasem zaciągnął wargi na swe drobne, białe zęby; rozchylił nieznacznie usta, jakby chciał coś ugryźć; zamknął, jakby ugryzł. Na jego ramieniu wspierała się lady Euphrosyne.

Jak go powiadomiono, nieznaną była księżniczką, a zwała się Marusza Staniłowska Dagmar Natasza Miana Romanowiczówna, a przybyła ze switą ambasadora rosyjskiego, jej wuja czy też ojca, by wziąć udział w koronacji. O Rosjanach wiadomo było bardzo niewiele. Z wielkimi brodami i w futrzanych czapach, siedzieli niemal bez słowa; pili jakiś czarny płyn, którym od czasu do czasu spluwali na lód. Żaden nie mówił po angielsku, a francuski, którym przynajmniej niektórzy się posługiwali, był wówczas na dworze angielskim mało używany.

A oto jak Orlando zawarł znajomość z księżniczką. Siedzieli naprzeciwko siebie u wielkiego stołu zastawionego pod olbrzymią markizą ku rozrywce możnych. Księżniczkę posadzono pomiędzy dwoma młodymi lordami, Francisem Vere'em i młodym hrabią Morayem. Śmiechu warte, w jak wielkie wprawiła ich wkrótce pomieszanie, bowiem choć na swój sposób dzielne chłopaki, wszakże nie narodzone dziecię równie sprawnie włada francuską mową co oni. Gdy z początkiem kolacji księżniczka zwróciła się do hrabiego i powiedziała, z wdziękiem, który poraził jego serce: „Je crois avoir fait la connaissance d'un gentilhomme qui vous etan apparente en Pologne l'ete dernier" oraz: „La beaute des dames de la cour d'Angleterre me met dans le ravissement. On ne peut voir une dame plus gracieuse que votre reine, ni une coiffure plus belle que la sienne", i lord Francis, i hrabia ogromnie się zmieszali. Jeden nałożył jej hojną ręką sosu rzodkiewkowego, drugi zagwizdał na swego psa i kazał mu stanąć na tylnych łapach i prosić o kość. Księżniczka nie potrafiła już dłużej powstrzymać śmiechu, a Orlando, spotkawszy się z nią oczami ponad głowami dzików i faszzerowanymi pawiami, również się roześmiał. Roześmiał się, lecz śmiech na jego ustach zamarł w zdziwieniu. Kogóż ja kochałem, kogóż ja kochałem do tej pory, zadawał sobie pytanie pośród burzy uczuć. Staruchę, odpowiedział sobie, samą skórę i kości. Rumianolice dziewczki, których by nie zliczył. Jęczącą zakonnicę. Zawziętą, okrutnoustą awanturnicę. Zwały koronek, stopy uprzejmości. Miłość nie znaczyła dla niego nic prócz trocin i popiołów. Rozkosze, jakie z niej czerpał, smakowały arcymdło. Zdumiał się, że przeszedł to wszystko bez ziewania. Bo gdy teraz patrzył, krew w nim ruszyła; lód obrócił się w jego żyłach w wino; usłyszał szum wód i śpiew ptaków; zimowy pejzaż skruszyła

24 ?5 I

wiosna; ruszył na śmielszego wroga aniżeli Polak czy Maur; dojrzał sterczący ze szczeliny kwiat niebezpieczeństwa; wyciągnął przed siebie dłoń - właśnie recytował do siebie jeden ze swych najbardziej namiętnych sonetów, gdy księżniczka zwróciła się do niego.

- Byłby pan łaskaw podać mi sól? Oblał się głębokim rumieńcem.

- Z największą rozkoszą, Madame - odparł z doskonałym francuskim akcentem. Bowiem, chwała niech będzie niebiosom, posługiwał się tą mową jak swoją własną; uczyła go służebna matka. Może jednak byłoby dlań lepiej, gdyby się nigdy jej nie nauczył; nigdy nie odpowiedział na ten głos; nigdy nie poszedł za blaskiem tych oczu...

Księżniczka ciągnęła dalej. Cóż to za dumnie o manierach stajennych, spytała, co siedzą koło niej? Cóż to za wstrętą miksturę wiano jej na talerz? Czy w Anglii psy jedzą z tego samego stołu co ludzie? Czy ta pocieszna figura na końcu stołu z włosami utrefionymi w słupek (comme une grande perche mal fagotee) to naprawdę królowa? Czy król zawsze tak się ślini? Który z tych gogusiów to George Villiers? Choć z początku pytania te wprawiły Orlanda w zmieszanie, postawione zostały z tak zabawnym przekąsem, że nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Ponieważ zaś poznał po niewzruszonych twarzach dokoła, że nikt nie zrozumiał ani słowa, odpowiadał równie swobodnie, jak ona pytała, równie wyborną francuszczyzną.

Taki początek miała ich zażyłość, która wkrótce przerodziła się w dworski skandal.

Niebawem zauważono, że Orlando okazuje Rosjance znacznie większe względy, niżby wymagała tego zwykła grzeczność. Nigdzie nie widziano go częściej jak u jej boku, a ich rozmowy, choć dla pozostałych niezrozumiałe, prowadzone były z takim ożywieniem, wywoływały rumieńce tak świeże i śmiech tak gromki, że nawet i najbardziej ograniczeni mogli się domyślić ich materii. Ponadto w Orlandzie zaszła niezwykła przemiana. Tak żwawego nikt go uprzednio nie widział. W jeden wieczór wyzbył się swej chłopięcej nieporadności; przeszedł metamorfozę z nadąsanego wyrostka, który nie umiał wejść do niewieściej komnaty, nie strącając przy okazji połowy bibelotów ze stołu, w szlachcica, pełnego wdzięku, męskiego i dwornego. Widok Orlanda sadzającego Moskalkę (tak ją bowiem zwano) na sianie, podającego jej ramię do tańca, chwytającego kropiastą chusteczkę, którą upuściła, uprzedzającego każde życzenie nadobnej damy, przywracał blask starym oczom i jeszcze przyspieszał tętno młodych serc. W górze zbierały się jednak chmury. Starcy wzruszali ramionami. Młodzież chichotała zasłoniwszy usta dłonią. Wszyscy wiedzieli, że Orlando jest przeznaczony innej. Waćpanna Margaret O'Brien O'Dare O'Reilly Tyrconnel (gdyż tak zwała się naprawdę Euphrosyne, której dedykowane były sonety) nosiła na serdecznym palcu lewej dłoni precudny pierścień z szafirem, otrzymany w darze od Orlanda. Jej to przysługiwało nadrzędne prawo do jego względów. Choćby jednak upuściła wszystkie chusteczki ze swej garderoby (a miała ich tuziny), Orlando nigdy nie zniżyłby się do ich podniesienia. Mogła czekać i dwadzieścia minut, by pomógł jej wsiąść na sianie, by nareszcie zdać się na usługną dłoń Negra. Gdy ślizgała się na łyżwach, co czyniła dość niezgrabnie, nie miała u boku nikogo, kto by dodał jej odwagi, a gdy upadała, czyniąc przy tym nieliczy łoskot, nikt nie stawiał jej na nogi i nie strzepywał śniegu z jej spódnicy. Choć była z natury flegmatyczna, nieskora do gniewu i mniej skłonna aniżeli większość dworzan, by uwierzyć, że byle cudzoziemka może jej wykraść uczucia Orlanda, nareszcie Margaret nie oparła się podejrzeniu, że łgnie się coś, co zakłóci spokój jej ducha.

W istocie z upływem dni Orlando coraz mniej dbał o skrywanie swych uczuć. Pod byle jaką wymówką opuszczał towarzystwo, gdy tylko skończyło biesiadać, bądź wymykał się spośród łyżwiarzy, którzy stawali do kadryła. Chwilę później zauważano, że brakuje także Moskalki. Najbardziej oburzało dwór, i raniło w miejsce najczulsze, a więc

26 2~ I

w dworską dumę, że zalotników często widziano przechodzących pod jedwabnym sznurem, który oddzielał królewskie grunta od publicznej promenady nad rzeką, i znikających w tłumie pospólstwa, albowiem księżniczka nagle tupnęła nóżką i wołała:

- Zabierz mnie stąd. Nie cierpię tego angielskiego motłochu --- przez który rozumiała sam dwór angielski. Nie mogła go już dłużej znieść. Nie mogła znieść natrętnych staruch, które gapili się jej w oczy i nadętych młodzieńców, którzy następowali jej na stopy. Na domiar złego brzydko pachnieli. Ich psy kręciły się jej pod nogami. Czuła się jak w klatce. W Rosji mieli rzekę szeroką na dziesięć mil, którą można było cwałować w sześć koni cały dzień i nie napotkać żywej duszy. Bardzo pragnęła zobaczyć więzienie Tower, „mięsożerców”, czyli straż królewską, głowy na bramie Temple i sklepy jubilerów w mieście. Orlando zabrał ją zatem do miasta, pokazał jej „mięsożerców” i głowy buntowników, kupił jej także wszystko, co się jej spodobało na Gieldzie Królewskiej. To jednak nie wystarczyło. Oboje coraz bardziej pragnęli swego całodziennego towarzystwa na osobności, aby nikt im się nie dziwił, nie przypatrywał. Dlatego miast udać się drogą do Londynu, brali kierunek przeciwny i wkrótce byli na wyludnionych brzegach zamrzniętej Tamizy, gdzie prócz morskich ptaków i jakiejś wieśniaczki na próżno usiłującej wyrębać przerębę, aby naczepać skopek wody, bądź też zbierającej patyki i uschłe liście na opał, nie napotkali żywej duszy. Ubodzy nie wychylali nosa poza swe zagrody, a ci, których było na to stać, tłoczyli się dla ciepła i rozrywki w mieście.

Zatem Orlando i Sasza, jak ją nazywał, gdyż tak było krócej, a prócz tego takie imię nosiła biała lisica z Rosji, którą miał, będąc chłopcem - stworzenie mięciutkie jak śnieg, lecz o stalowych kłach, którymi pogryzła go tak okrutnie, że ojciec Orlanda kazał ją uśmiercić - mieli rzekę wyłącznie dla siebie. Rozgrzani jazdą na łyżwach i miłością, umykali w jakąś zatoczkę, gdzie brzeg porastały żółte

łoziny, i zawinięty w obszerne futro Orlando brał ją w ramiona i szeptał, że po raz pierwszy zaznaje rozkoszy miłości. Później, gdy uniesienie mijało, leżeli omdlali na lodzie, a on opowiadał o swych innych miłościach, które przy niej były jak z drewna, ze zgrzebnego płótna, z popiołu. Śmiejąc się z jego gwałtowności, jeszcze raz obracała mu się w ramionach i jeszcze raz, w imię miłości, przytulała do niego. A później dziwili się, że lód aż topnieje od ich zapału, współczuli biednej kobiecie, której nie dane były takie naturalne sposoby rozpuszczania twardej skorupy, lecz musiała ją rąbać tasakiem z zimnej stali. A potem, otuleni w sobole, rozmawiali o wszystkim, co im ślina na język przyniosła; o podróżach i krajobrazach; o Saracenach i poganach; o brodzie tego mężczyzny i cerze owej kobiety; o szczurze, który jadł jej z ręki przy stole; o arrasie, który powiewał w sali jej pałacu; o jakiejś twarzy; o piórku. Nic nie było zbyt blahe dla nich, nic zbyt doniosłe.

Bywało, że Orlando z nagłą oddawał się melancholii; jej powodem mógł być widok staruszki kuśtykającej po lodzie, mogło wcale nie być powodu; przyciskał twarz do lodu, patrzył w zamrznęły wody i myślał o śmierci. Bowiem słuszność ma filozof, który mówi, że granica między szczęściem a melancholią nie grubsza jest aniżeli ostrze noża; dalej utrzymuje, iż jedno jest z drugim spokrewnione i dochodzi do konkluzji, że wszelkie skrajności uczuć są sprzymierzeńcami szaleństwa. Dla tej przyczyny wzywa nas, byśmy szukali schronienia w Kościele prawdziwym (czyli, w jego mniemaniu, anabaptystów), który jest jedyną przystanią, portem, kotwicowiskiem et cetera, dla tych, którymi miotają morskie wichry.

- Kresem wszystkiego jest śmierć - mawiał Orlando, siadając, z chmurą zaszępienia na twarzy. (Tak bowiem działał teraz jego umysł, w gwałtownych przeskokach od życia do śmierci, nie zatrzymując się na niczym pośrednim, a zatem i żywotopisowi nie wolno się zatrzymywać, musi biec jak najprędzej, by dotrzymać kroku bezmyślnym, namiętnym, głupim poczynaniom i nagłym f.-.;w,7Inym sło

28 2~

wom, którym, nie sposób zaprzeczyć, Orlando w tym okresie swego życia hołdował).

- Kresem wszystkiego jest śmierć - mawiał Orlando, siadając na lodzie. Lecz Sasza, w której żyłach nie płynęła przeciwieństwo angielska krew, która pochodziła z Rosji, gdzie zachody słońca są dłuższe, świtania mniej raptowne, a zdania często nie dokończone, jakby wahano się, jak je najlepiej uwieńczyć - Sasza patrzyła na niego niekiedy szyderczo, gdyż zdawał się jej wówczas jak dziecko, i nic nie mówiła. Wszak z czasem lód wyziębiał się, czego nie lubiła, więc ciągnąc go za rękę, by wstał, mówiła tak ujmująco, tak dowcipnie, tak mądrze (lecz niestety zawsze po francusku, który to język, jak wiadomo, zawsze traci swój smak w przekładzie), że zapominał o zamrzniętych wodach, nadchodzącej nocy, starej kobiecie, i próbował powiedzieć jej - tryskając tysiącami porównań, które stały się równie wyblakłe jak uroda kobiet, które były im natchnieniem - jaka jest piękna. Śnieg, śmietana, marmur, wiśnie, alabaster, złotogłów? Nic z tych rzeczy. Była jak lis bądź jak drzewo oliwne; jak fale morskie widziane z wyniosłości; jak szmaragd; jak słońce na zielonym wzgórzu, jeszcze nie wyszłe zza chmury jest niepodobna do niczego, co widział, bądź czego zaznał w Anglii. Choć przetrzebił cały język, słowa odmawiały mu posłuszeństwa. Pragnął innego krajobrazu i innej mowy. Angielski był na opisanie Saszy zbyt szczery, zbyt prawdziwy, zbyt miódopłynny. Gdyż we wszystkim, co mówiła, choćby zdawała się otwarta i lubieżna, było coś ukrytego; we wszystkim, co czyniła, choćby z największą śmiałością, było coś tajemnego. Tak jak w szmaragdzie zdaje się skrywać zielony płomień, a we wzgórzu uwięzione słońce. Przejrzystość była tyllco zewnętrzna; wewnątrz zawierało wędrowny płomień, który przychodził i odchodził. Nigdy nie jaśniała jednostajnym blaskiem Angielki - w tym miejscu, przy-



pomniawszy sobie waćpannę Margaret i jej spódnice, Orlando dał się ponieść dzikiemu uniesieniu i zbił Saszę z nóg, prędkiej, prędkiej, przysiągłszy, że doścignie płomień, zgłębi klejnot i tak dalej, i tak dalej, słowa niosły się na zdyszonym oddechu z namiętnością poety, którego poezja rodzi się na poły z bólu.

Sasza wszakże milczała. Kiedy Orlando zdążył jej już powiedzieć, że jest lisicą, drzewem oliwnym, zielonym wie-rzchołkiem wzgórza; kiedy przekazał jej całą historię swego rodu, który należy do najstarszych w całej Brytanii, a który przybył z Rzymu z cesarzami i ma prawo paradować Corso (główną ulicą Rzymu) pod obramionym frędzlami palankinem, co jest przywilejem zastrzeżonym wyłącznie dla tych, w których żyłach płynie krew cesarska (bowiem odznaczał się poczciwą ławowiernością, co nie przynosiło mu ujmę), przerywał i pytał ją samą. Gdzie jest jej pałac? Kim jest jej ojciec? Czy ma braci? Dlaczego jest tu sama z wujem? I wtedy, choć odpowiadała z ochotą, wkradło się między nich coś sztucznego. Z początku sądził, że jej ranga jest niższa, niżby sobie tego życzyła; lub że wstydzi się barbarzyńskich obyczajów swego ludu, gdyż słyszał, że kobiety w Rosji noszą brody, a ciała mężczyzn od pasa w dół porasta futro; że obie płcie smarują się dziegiem przeciw mrozowi, rwą mięso palcami i mieszkają w budach, w których angielski szlachcic wzdragałby się trzymać bydło; nie dopraszał się zatem o więcej. Po namyśle powziął jednak konkluzję, że jej milczenie musi mieć inną przyczynę: na jej podbródku nie było ani śladu włosów, stroiła się w aksamit i perły, a swych manier z pewnością nie wyniosła z obory.

Cóż zatem przed nim ukrywała? Wątpliwość, jaką podszyte były jego potężne wzruszenia, była jak sypkie piaski pod budowlą, która obsuwa się i cała chybotze. Nagle przejmował go ból. Potem rozjuszał się w takim gniewie, iż nie wiedziała, jak go udobruchać. Być może nie chciała go udobruchać; być może jego narowy podobały się jej i celowo je podniecała - oto spotkała osobliwe skrzywienie angielskiego usposobienia.

Historii ciąg dalszy: ślizgając się tego dnia dalej, aniżeli zamierzali, dotarli w część Tamizy, gdzie zakotwiczyły statki 30 31

i wmarzły w lód pośrodku rzeki. Był wśród nich statek ambasady rosyjskiej, na którego głównym maszcie, zdobnym w różnobarwne sople lodu długości kilku jardów, powiewała flaga z dwugłowym czarnym orłem. Sasza zostawiła w kufrach trochę ze swych strojów; sądząc, że na statku nikogo nie ma, weszli na pokład i wyruszyli na poszukiwanie skrzyń podróżnych księżniczki. Nie uszli daleko, gdy przystojny młodzieniec oderwał się od zwoju liny, którym był zajęty, i powiedział, przypuszczalnie, gdyż mówił po rosyjsku, że jest członkiem załogi i pomoże księżniczce znaleźć, czego szuka, zapalił ogarek świecy i zniknął z Saszą w czeluściach statku.

Czas mijał, a Orlando, otulony w swe własne marzenia, myślał tylko o rozkoszach życia; o swej perle - jak rzadkiej jest urody; o sposobach, by pozyskać ją nieodwołalnie i nieodłącznie dla siebie. Miał świadomość, jakie czekają go trudności i przeszkody. Ona nie chciała słyszeć, by miała mieszkać gdzie indziej aniżeli w Rosji, gdzie były zamrożone rzeki, dzikie konie i dzicy ludzie, którzy rozpruwali sobie wzajem gardła. To prawda, że krajobraz sosen i śniegu, obyczaj chuci i rzezi, nie pociągał go. Nie byłoby mu także miłe utracić gry sportowe i szkółki leśne swego kraju; zrezygnować ze swego stanowiska; zrujnować sobie karierę; strzelać do reniferów miast do królików; pić wódkę miast kanaryjskiego wina i kłaść nóż do rękawa - w jakim celu, nie wiedział. Wszystko to jednak, a nawet więcej, gotów był dla niej uczynić. Teraz jego ślub z waćpanną Margaret, choć wyznaczony od tego dnia za tydzień, był czymś tak jawnie śmiesznym, że rzadko gościł w jego myślach. Krewni Euphrosyne lżyć go będą za porzucenie tak wielkiej damy; jego przyjaciele szydzić zeń będą za zrujnowanie najwspanialszej kariery pod słońcem dla byle Kozaczki i śnieżnych rozłogów - wszystko to nic nie ważyło, gdy myślał o Saszy. Pierwszej ciemnej nocy uciekną. Wsiądą na statek do Rosji. Tak dumał; takie snuł plany, chodząc tam i z powrotem po pokładzie.

32

Gdy zwrócił się ku zachodowi, z zamyślenia wyrwał go widok słońca, nakłutego jak pomarańcza na krzyż katedry Świętego Pawła. Było krwawe i szybko się pogrążyło. Musi być zatem wieczór. Sasza zostawiła go więcej niż godzinę temu. Zdjęty natychmiast tymi mrocznymi przecuciami, które émiły nawet najbardziej pogodne myśli o niej, podążył drogą, którą widział ich wchodzących do ładowni statku; potykając się w ciemnościach o skrzynie i beczki, poznał po mdłym blasku w rogu, że siedzą tam oboje. Przez maleńką chwilę ujrzał ich oczyma duszy; ujrzał Saszę na kolanach marynarza; ujrzał, jak pochyła się ku niemu; ujrzał, jak się obejmują, nim jego furia rozpyliła światło w czerwoną mgławicę. Skowyt cierpienia poniósł się echem po całym statku. Sasza rzuciła się pomiędzy nich, gdyż w przeciwnym razie marynarz zostałby uduszony, nim dobyłby korda. Potem zmogły Orlanda tak gwałtowne mdłości, że musieli położyć go na podłodze i napoić koniakiem, nim na powrót ożył. I wtedy, gdy przyszedł do siebie i usiadł na stercie worków, Sasza skłoniła się nad nim, miękko, falując przed jego oszołomionymi oczami jak lisica, która go pogryzła, już to przymilając się, już to karcąc, więc zaczął wątpić w to, co widział. Może to cienie poruszały się w migotliwym blasku świecy? Kufer był ciężki, marynarz pomagał jej go przesunąć. Orlando uwierzył księżniczce na chwilę - bowiem skąd można być pewnym, że wściekłość nie maluje takich obrazów, których człowiek najbardziej obawia się ujrzeć? - w następnej minucie zdjął go jeszcze gwałtowniejszy gniew za jej zdradę. Sasza pobladała; tupnęła; powiedziała, że odjedzie tej nocy i wezwała swych bogów, by ją unicestwili, jeżeli ona, Romanowiczówna, legła w ramionach pospolitego majtka. Zaiste, patrząc na nich dwoje

(na co z trudem przychodziło mu się zdobyć), Orlando oburzył się na plugawość swej wyobraźni, która podsunęła mu obraz tak kruchej istoty w łapach tej kosmatej morskiej bestii. Marynarz był zwalisty, sięgał niemal dwóch metrów; w uszach miał kółka ze zwyczajnego drutu; wyglądał jak koń pociągowy

gowy, na którym przysiadł w locie strzyżyk czy drozd. Ustąpił więc; uwierzył jej, poprosił o wybaczenie. Gdy jednak schodzili ze statku, znów zakochani, Sasza przystanęła z dłonią na trapie i uraczyła tego śniadego potwora o sterzących policzkach kanonadą rosyjskich pozdrowień, żartów bądź też czułości, z których Orlando nie zrozumiał ani słowa. Było jednak coś w jej głosie (może to wina rosyjskich samogłosek), co przypomniało Orlandowi pewne zdarzenie kilka wieczorów wcześniej, kiedy spostrzegł ją w kącie żującą świecę, podniesioną z podłogi. Prawda, że świeca była różowa; złocona; stała wcześniej na królewskim stole; lecz była to świeca łojowa, a Sasza ją żuła. Czyż nie ma w niej, pomyślał, wspomagając jej pierwszy krok na lodzie, czegoś siermiężnego, zgrzebnego, czegoś chłopskiego? Ujrzał ją po czterdziestce rozrosłą i grubą, choć teraz była smukła jak trzcina, i ocieężała, choć teraz poruszała się zwinnie jak łania. Jednak gdy ślizgali się w stronę Londynu, podejrzenia te znów stopniały w jego sercu i czuł się, jakby wielka ryba wlokła go przez wodę za haczyk u nosa: był niechętny, lecz nie stawiał oporu.

Wieczór był zadziwiająco piękny. Gdy słońce staczało się z nieba, wszystkie kopuły, wieże, iglice i sterzyny Londynu czerniały jak inkaust na tle wściekle czerwonych chmur. Oto krzyż w Charing; oto kopuła Świętego Pawła; oto kanciaste cielska budynków Tower; oto, jak szpaler bezlistnych drzew, gdyby nie gałka na szczycie, głowy na palach przy bramie Temple. Okna Opactwa Westminsterskiego rozświetliły się i gorzały jak niebiańska, wielobarwna tarcza (w urojeniach Orlanda); cały zachód zdawał się teraz (znowuż w urojeniach Orlanda) jak złote okno, a po niebiańskich schodach chodziły w górę i w dół zastępy aniołów. Cały czas zdawali się ślizgać wierzchem bezdennych głębin powietrza, tak błękitny stał się lód, i tak szkliscie gładki, że pędzili szybciej i szybciej ku miastu, a wokół nich wirowały białe mewy, tnąc powietrze skrzydłami, jak oni cięli lód łyżwami.

Sasza, jakby na osłodę, była czulsza niż zwykle i jeszcze rozkoszniejsza. Choć niechętnie mawiała o swym dawnym życiu, teraz opowiedziała mu, jak zimą w Rosji słuchała wilków na stepach, i trzy razy, aby mu zademonstrować, zawyla jak wilk. On opowiedział jej o przyprószonych śniegiem jeleniach w jego kraju, jak zwabione ciepłem zabłąkały się czasem do wielkiej sali pałacu i jak stary sługa karmił je otrębami z wiadra. Na co Sasza zaczęła go wysławiać; za miłość do zwierząt; za rycerskość; wreszcie za piękne nogi. Oszołomiony komplementami i zawstydzony, iż mógł ją tak oczernić, wyobrażając ją sobie na kolanach pospolitego marynarza, a potem tłustą i ocieężałą po czterdziestce, powiedział, że nie znajduje dla niej słów pochwały; lecz natychmiast przyszła myśl, że Sasza jest jak wiosna, zielona trawa i bystra woda, i przyciskając ją ciałniej niż zazwyczaj, pożeglował na środek rzeki, a mewy i kormorany ruszyły za nimi. Gdy nareszcie stanęli, powiedziała nieco zdyszana, że Orlando jest jak choinka świąteczna z milionem świeczek (mają takie w Rosji) zdobna żółtymi kulami; rozjarzona; starczy, by oświetlić całą ulicę. Rzeczywiście można to tak przełożyć, bowiem z jego płonącymi licami, ciemnymi lokami, czarno-szkarłatnym płaszczem, wyglądał, jakby promieniał od zapalanej wewnątrz lampy.

Wszystkie barwy, prócz czerwieni Orlandowych policzków, wkrótce zbladły. Zapadła noc. Gdy pomarańczowe światło zachodu słońca rozproszyło się, jego miejsce zajął biały blask pochodni, ognisk i nadrzecznych latarni. Przeobrażenie było zdumiewające. Liczne kościoły i pałace szlacheckie, z fasadami z białego kamienia, ukazywały się w postaci smug i plam, jakby lewitowały. Z katedry Świętego Pawła ostał się jedynie złożony krzyż. Opactwo Westminster przybrało kształt szarego szkieletu liścia. Zgłodniałe światła budynki wyglądały jak zmory. Zbliżając się do pogrążonego w karnawale miasta, usłyszeli głęboki dźwięk (jakby ktoś uderzył w kamerton), który rozbrzmiewał głośniejsz i głośniejsz, aż przeszedł w jednostajny gr-r-r-ot. C"o chwila

34 E 35

za wystrzeloną w powietrze racą biegł głośny krzyk. Z czasem rozróżniali małe postacie odrywające się od wielkiego tłumu i wirujące jak muchy po powierzchni rzeki. Zimowa noc przykrywała ten świetlisty krąg kloszem ciemności. Z otwartymi ustami gawieź czekała, aż znowu klosz ów przedziurawi rozkwitła rakietą, półksiężyc, wąż, korona. Na chwilę lasy i odległe wzgórza zieleniły się jak w letni dzień; potem wokół zalegała znów zima i czerń.

Orlando i księżniczka byli już blisko ogrodzenia pałacu królewskiego, lecz drogę zastawił im tłum pospółstwa, ośmielony karnawałową euforią. Pragnąc przedłużyć swą intymność i lękając się czujnych oczu wypatrujących ich zza jedwabnego sznura, zostali w ludzkiej cizbie, popychani przez czeladników, krawców, przekupniów, handlarzy końmi, oszustów, niedożywionych szklarzy, służące, stajennych, porządnych obywateli, rubasznych oberżystów i zgraję obdartusów, którzy zawsze kręcą się wokół tłumu, wrzeszczą i przetwierają się ludziom pod nogami - była tam zresztą cała uliczna hałastrą Londynu, tu rzucając żartami i przekleństwami, tam kośćmi do gry, przepowiadając przyszłość, podszczypując się, szturchając, łachocząc; tu roz hulana, tam smętna; niektórzy z gębami rozdziawionymi na całą piędź; inni znudzeni jak kawki na dachu; rozmaicie ustrojeni, wedle zamożności i stanu; tu w futrach i grubym suknie; tam w lachmanach, ścierkach wokół sinych z zimna stóp. Największy ścisk panował koło jarmarcznej budy czy sceny, na której odbywało się przedstawienie teatralne, podobne spektaklom z Punch i Judy. Murzyn wywijał rękoma i zlorzeczył. Na łożku leżała kobieta w bieli. Choć spektakl był grubiański, aktorzy biegali do góry i w dół po dwóch stopniach, potykając się niekiedy, gawieź tupała i gwizdała, ktoś znudzony cisnął czasem na lód skórkę pomarańczy, na którą rzucał się pies, to

jednak niezwykła, wibrująca melodia słów wzruszała Orlanda jak muzyka. Wypowiadane z zawrotną prędkością i giętkością języka, które przywoływały na myśl marynarzy śpiewających w karczmach Wapping, słowa smakowały jak wino, choć ich znaczenie ginęło w rozgwarze. Niekiedy jednak dochodził do niego pojedynczy zwrot, który zdawał mu się wydarty z odmetów jego własnej duszy. Obłąd Maura zdawał mu się jego własnym, a gdy Maur udusił kobietę w jej łóżku, to jakby on zabił Saszę własnymi rękoma.

Nareszcie sztuka dobiegła kresu. Światła zgasły. Twarz Orlanda spłynęła łzami. W górze na niebie także nie było nic prócz czerni. Zniszczenie i śmierć, pomyślał, oblekły świat. Żywoć człowieczy kończy się w grobie. Zjadają nas robaki.

Teraz powinno przyjść wielkie zaćmienie słońca, księżycy  
i struchlała ziemia

winna się teraz otworzyć ze zgrozy!\*

Jeszcze zanim skończył, w jego umyśle weszła bledziutka gwiazda. Noc była ciemna, czarna jak smoła; lecz na taką właśnie noc czekali; w taką noc postanowili uciec. Wszystko sobie przypomniał. Czas nadszedł. Wezbrany namiętnością przygarnął Saszę ku sobie i wyszeptał jej do ucha: „Jour de ma vie!” Ich uzgodnione hasło. O północy spotkają się w oberży blisko Blackfriars. Czekają ich tam konie. Wszystko było przygotowane do ucieczki. Rozstali się więc, by pójść każde do swego namiotu. Brakowało jeszcze godziny.

Na długo przed północą Orlando czekał już niecierpliwie. Noc była tak smolście czarna, że przechodnie wpadali na siebie, nim się ujrzeni, co sprzyjało zamiarom kochanków, lecz w grobowej ciszy stukot końskich kopyt czy płacz dziecka niósł się na odległość pół mili. Ileż to razy Orlando, przemierzający niewielkie podwórze, schwycił się za serce na dźwięk miarowego odgłosu kopyt na bruku czy szele~°

\* Przekład Jerzy Sito (jeżeli nie zaznaczono inaczej, przypisy pochodzą od tłumacza).

36 -!~

kobiecej sukni. Na szczęście podróżny okazywał się kupcem wracającym spóźnioną porą do domu, a kobieta mieszkanka dzielnicy, gdzie nocny obyczaj nie jest całkiem niewinny. Gdy minął podwórze, ulica cichła jeszcze bardziej. A potem światła płonące na dole w małych, ścięśnionych w gromadę domostwach, gdzie mieszkała miejska biedota, wędrowały na górę do sypialni, po czym gasły jedne po drugich. Latarni ulicznych w tym kwartale było niewiele, a niedbalstwo nocnego stróża często skazywało je na beczynność długo przed świtaniem. Ciemność jeszcze zgęstniała. Orlando obejrzał knot swej lampy, naciągnął popręgę; sprawdził kabury na pistolety, podsywał prochu; powtórzył to wszystko tuzin razy, aż wreszcie nie miał czym zająć uwagi. Choć do północy dalej brakowało około dwudziestu minut, nie mógł się zdobyć na wejście do gospody, gdzie oberżyстка nalewała taniego kanaryjskiego wina kilku wilkom morskim, którzy śpiewali szanty i snuli opowieści o Drake'u, Hawkinsie i Grenville'u, póki nie zsunęli się z ław i zapadli w sen na wysypanej piaskiem podłodze. Jego wezbranemu namiętnością i porywczemu sercu zyczliwszy był mrok. Reagował na każde stąpienie, na każdy dźwięk. Każdy pijacki okrzyk, każdy jęk jakiegoś łachmaniarza zległego w słomie lub rynsztoku godził w serce Orlanda, jakby źle wróżył jego przedsięwzięciu. Nie lękał się jednak o dzielną Saszę, która miała za nic tę przygodę. Przyjdzie sama, w płaszczu i szarawarach, wysokich męskich butach. Stąpa lekko; Orlando nie posłyszysz jej kroków, nawet w tej głuchej ciszy.

Czekał zatem w ciemnościach. Nagle poczuł uderzenie, krótkie, lecz mocne, w policzek. Był tak napięty oczekiwaniem, że nie zasłonił twarzy, lecz rozwarł szeroko oczy i sięgnął po miecz. Uderzenie powtórzyło się tuzin razy, na przemian w czoło i policzek. Od tyłu dni trzymał mróz, że zajęło mu niemal minutę, nim pojął, że pada deszcz; były go po twarzy krople deszczu. Z początku spadały powoli, z namaszczeniem, jedna po drugiej, lecz wkrótce z sześciu kropel zrobiło się sześćdziesiąt; z sześćdziesięciu sześćset;

potem zespoliły się w jednostajny strumień wody. Tak jakby w litym, kamiennym niebie otwarła się szczelina, z której trysnęła fontanna. W przeciągu pięciu minut Orlando przemókł do nitki.

Pospiesznie zaprowadziwszy konie pod okap, poszukał schronienia w progu drzwi, skąd mógł nadal obserwować podwórze. Zawiesiste od mroku powietrze jeszcze bardziej zgęstniało, a donośny szum ulewy głużył każdy krok człowieka czy zwierzęcia. Drogi, podziurawione wielkimi wykrotami, staną pod wodą, może będą nieprzejezdne. Niewiele jednak myślał, czy im to przeszkodzi w eskapadzie. Wszystkie zmysły skupił na brukowanej ulicy - błyszczącej w świetle latarni - którą winna była nadejść Sasza. Niekiedy, w ciemności, zdało mu się, że ją widzi otuloną strugami deszczu, lecz wnet zjawa zniknęła. Nagle, ze straszliwym i złowróbnym dudnieniem, głosem pełnym zgrozy i niepokoju, od którego zamarała w Orlandzie dusza, zegar katedry zaczął bić północ. Zagrzmiął nieubłagane kolejne cztery razy. Przesądny jak każdy kochanek, Orlando dałby głowę, że Sasza przyjdzie z szóstym wybiciem. Wszak echo szóstego wybicia zgasło, zegar ozwał się po raz siódmy i ósmy, a lekliwej duszy Orlanda dźwięki te zdały się wpięć wieści, potem oznajmiać śmierć i katastrofę. Gdy dzwon wybił po raz dwunasty, Orlando wiedział, że jego los jest przypieczętowany. Choć rozum próbował mu tłumaczyć, że może się spóźnić, że ktoś jej przeszkodził, że zgubiła drogę, to namiętne i wrażliwe serce Orlanda znało prawdę. Inne zegary wybijały północ, dzwoniąc jeden przez drugiego. Cały świat zdawał się rozbrzmiewać wieścią o jej zdradzie i jego okpieniu. Podejrzenia, które od dawna go drażyły, wypłynęły na wierzch. Kąsało go kłębowisko węży, każdy bardziej jadowity od poprzedniego. Stał w drzwiach w kaskadach deszczu, nieporuszony. Z upływem minut kolana ugięły się pod nim. Ulewa dudniła jak kanonada ciężkich dział. Doszedł go potężny hałas, jakby rozrywanego, rozplatanego dębu. Słyszał także dzikie krzyki i przerażające, nieludzkie jęki.

Stał jednak nieporuszony, póki zegar katedry nie wybił drugiej, a wtedy, krzyknawszy z gorzką ironią i obnażonymi zębami „Jour de ma vie!”, cisnął lampą o ziemię, wskoczył na konia i pognał przed siebie, nie wiedzieć dokąd.

Zapewne jakiś ślepy instynkt, gdyż rozum odmówił posłuszeństwa, kazał mu pędzić brzegiem rzeki w stronę morza. Bowiem kiedy, z niespotykaną nagłością, nadszedł świt, niebo pożółkło, a deszcz niemal ustał, Orlando znalazł się nad Tamizą koło Wapping. Jego oczom ukazał się niezwykle widok. Tam, gdzie przez trzy miesiące zalegał lód tak gruby, że zdawał się wiecznotrwały jak kamień, a całe pogrążone w karnawale miasto wstąpiło na lodowy gościniec, teraz pędziły z hukiem żółte wody. Rzeka odzyskała w nocy wolność. Można było przypuszczać (wielu filozofów skłaniało się ku temu pogładowi), że z wulkanicznych wnętrzości ziemi chlusnęło siarczane źródło i roztrzaskało lód z taką gwałtownością, iż wielkie i ciężkie grudy prysnęły na boki jak kamyki. Sam widok wody przyprawiał o zawrót głowy. Wszędzie rządził zamęt i chaos. Rzeka spływała krami. Niektóre były szerokie jak pole kręglarskie, wysokie jak domy, inne nie większe od męskiego kapelusza, lecz utoczone w najbardziej fantastyczne kształty. W jednej chwili zmierzał ku morzu cały konwój lodowych głazów, zatapiających wszystko, co stało im na drodze; w następnej, wirując i wijąc się jak przypalany na ogniu wąż, rzeka zdawała się miotać od kry do kry i ciskać je od brzegu do brzegu, aż słychać było, jak trzaskają o nabrzeża i słupy. Największą zgrozę w sercu budził jednak widok ludzi, schwytych nocą w pułapkę, którzy przemierzali swe wirujące i chybottliwe wyspy w skrajnym umęczeniu ducha. Czy skacząc do rwącej wody, czy zostając na lodzie, nie mogli ująć zglądy. Czasem płynęła spora gromadka tych nieszczęsnych istot, niektóre modliły się, niektóre karmiły dzieci piersią. Pewien starzec zdawał się czytać na głos ze świętej księgi. Najtragiczniejszy był jednak los samotnych rozbitków, którzy do-  
siadali okrakiem swych wąskich, mknących posesji. Uno

szeni ku morzu wołali na próżno o pomoc, przyrzekali nawrócić się ze złej drogi, wyznawali swe grzechy i ofiarowali Bogu cały swój dobytek, jeżeli tylko wysłucha ich modłów. Niektórzy byli tak oszołomieni strachem, że siedzieli nieporuszeni i niemi, wpatrzni tępo przed siebie. Jedna załoga przewoźników bądź pocztowców, sądząc po szamerunku strojów, wrzeszczała i wyła najlubieżniejsze piosenki rodem z oberży, jakby dla dodania sobie animuszu, po czym rozbili się o drzewo i poszli na dno z bluźnierstwem na ustach. Pewien stary szlachcic - bowiem takim go obwieszczał lamowany futrem płaszcz i złoty łańcuch na szyi - utonął niedaleko miejsca, w którym stał Orlando, wołając o pomstę na irlandzkich buntownikach, którzy, krzyknął ostatkiem tchu, uknuli ten szatański spisek. Wielu skonało, przyciskając do piersi srebrną wazę bądź inny skarb, a najmniej tuzin nieszczęsników postradało życie z własnej chciwości, wołąc skoczyć do wody, niżby mieli więcej nie ujrzeć złotego kielicha, bądź pozwolić odpłynąć lamowanemu płaszczowi. Bowiem góry lodowe unosiły meble, drogocенności i inne przedmioty. Do wstrząsających widoków należała kotka karmiąca młode; stół zastawiony do wystawnej wieczerzy dla dwudziestu biesiadników; para kochanków w łożu...

Oszołomiony i zdumiony, Orlando przez dłuższy czas potrafił tylko patrzeć na przerażającą gonitwę wód w dole. Nareszcie, gdy doszedł do siebie, spał konia ostrogami i pogalopował wzdłuż brzegu rzeki ku morzu. Biorąc zakole rzeki, dotarł naprzeciwko cypla, opodał którego, ledwie dwa dni wcześniej, okręty ambasadorów zdawały się uwiecznione w lodowych okowach na wieczność. Pospiesznie porachował je wszystkie: Francuz; Hiszpan; Austriak; Turek; wszystkie unosiły się na wodzie, choć Francuz zerwał kotwicę, a okręt turecki miał rozdartą burtę i nabierał wody. Nigdzie nie dostrzegł jednak statku rosyjskiego. Orlando pomyślał, że zapewne zatonął, lecz, uniósłszy się w strzemię i zasłoniwszy przed słońcem oczy, które bystrością dorównywały sokolim, wyłowił kształt statku na horyzoncie. Na maszcie

40

41

flagowym powiewały czarne orły. Statek Moskalów wychodził w morze. '

Targnąwszy się z konia, zrobił ruch, jakby miał w swej wściekłości popłynąć wplaw. Stojąc po kolana w wodzie, obrzucał niewierną kobietę wszystkimi obelgami, jakie kiedykolwiek ścierpieć musiała jej płeć. Wiarołomną, niestałą, płochą ją nazywał; diabolicą, cudzołożnicą, zwodnicą; wirujące wody chłoneły jego słowa, a w podzięce za nie cisnęły mu pod stopy pęknięty garnek i wiecheć słomy.

II

Zywotopis staje teraz przed trudnością, którą lepiej szczerze wyznać, aniżeli zatuszować. Do tego miejsca w opo

wieści o życiu Orlanda dysponował on dokumentami, prywatnymi i historycznymi, które umożliwiły mu wypełnienie pierwszego obowiązku biografy, jakim jest dążenie niezatartym tropem prawdy, nie oglądając się na lewo i prawo, nie dając się skusić aromatem kwiatów, nie dając za wygraną, gdy trop jest mało czytelny; dążenie nieprzerwane, póki nie wpadniemy do grobu i nie napiszemy *finis* na tablicy

pamiętkowej. Teraz dotarliśmy do epizodu, który leży nam w poprzek drogi, nie sposób go więc ominąć. Epizod ten jest wszakże mroczny, tajemniczy, nie udokumentowany, nie daje się wytłumaczyć. Na kanwie tego zdarzenia można by napisać całe woluminy interpretacji, zbudować nowe systemy religijne na jego znaczeniach. Na nas spoczywa jednak obowiązek przekazania faktów, jeśli są znane, co pozwoli czytelnikowi samodzielnie wyciągnąć wnioski.

Gdy nadeszło lato po owej katastrofalnej zimie, która przyniosła mróz, powódź, śmierć tysiącom i zupełne zdruzgotanie nadziei Orlanda - został bowiem wygnany z dworu; utracił cześć w oczach najmniejszych swej epoki; irlandzki ród Desmondów zapalał ku niemu słusznym gniewem; król doświadczył już tak licznych kłopotów z Irlandczykami, że ten nowy konflikt nie był mu po myśli - gdy nadeszło lato, Orlando zaszył się w swej wiejskiej posiadłości, gdzie mieszkał w całkowitym odosobnieniu. Pewnego czer

42 43

wcowego ranka - w sobotę osiemnastego - nie wstał o zwykłej porze. Gdy zajrzał do niego pokojowiec, znalazł go twardego śpiącego. Nie mógł się go docucić. Orlando leżał bez oznak, iż oddycha; choć pod oknem kazano szczekać psu, choć w pokoju bez przestanku grano na cymbałach i bito w bębny, pod poduszkę włożono gałąź janowca, a stopy Orlanda posmarowano musztardą, nie zbudził się, nie jadł i nie przejawiał żadnych przejawów życia w ciągu kolejnych siedmiu dni. Siódmego dnia przebudził się o zwykłej porze (dokładnie za kwadrans ósma) i wyprosił z pokoju wścibską hałastę jazgoczących kumoszek i wiejskich wróżbiarek, co było dość naturalne. Bardziej dziwiło, że nie sprawiał wrażenia, iżby miał świadomość przebudzenia z długiego transu. Ubrał się i posłał po konia, jakby kładł się spać poprzedniego wieczoru. Sądzono jednak, że w zakamarkach jego mózgu zaszła jakaś zmiana, gdyż choć był najzupełniej rozumny, jak również zdawał się poważniejszy i stateczniejszy aniżeli dotychczas, najwyraźniej miał jedynie cząstkowe wspomnienia ze swego minionego życia. Gdy mówiono przy nim o Wielkim Mrozie czy karnawale na łyżwach, przesuwiał niekiedy dłonią przed oczyma, jakby chciał odgonić jakąś chmurę, lecz nie dawał po sobie poznać, że był tych zdarzeń świadkiem. Gdy omawiano okoliczności minionych sześciu miesięcy, zdawał się nie tyle zasmucony, ile zdziwiony, jakby nękały go skłębione wspomnienia z jakichś zaprzyszłych czasów, bądź też jakby próbował przypomnieć sobie jakąś dawno zasłyszaną opowieść. Zauważono, że na wzmiankę o Rosji, księżniczce czy statku, posepniał, wstawał i wyglądał przez okno, przywoływał któregoś z psów, bądź brał nóż i rzeźbił nim w drewnie cedrowym. Doktorzy mądrością niewiele wówczas przewyższali naszych, toteż zaleciwszy mu wypoczynek i wysiłek fizyczny, post i sute posiłki, towarzystwo i samotność, całodniowy pobyt w łóżku i czterdziestomilową przejażdżkę między obiadem a kolacją, przepisawszy zwyczajową porcję środków uspokajających i pobudzających, jak również napój ze śliny traszki rano i łyk żółci pawia wieczorem, pozostawili go samemu sobie i wydali diagnozę, iż - spał przez tydzień.

Jeśli istotnie nazwać to snem, nastęrcza się pytanie, jakiej ów sen był natury? Czy leczniczej: trans, kiedy najczarniejsze wspomnienia, zdarzenia, które potrafią na zawsze okaleczyć żywot, omiata mroczne skrzydło, które wygładza je i pozłaca, nadając blasku i poloru nawet najohydniejszym i najnikczemniejszym z nich? Czy gniew wobec śmierci musi rozproszyć się w wirze życia, aby nie rozszarpał nas na strzępy? Czy tak jesteśmy stworzeni, iż śmierć musimy przyjmować w codziennych małych dawkach, gdyż w przeciwnym razie życie stałoby się nieznośne? I coż to za dziwne moce, co wnikają w nasze najtajniejsze nawyki i bez naszej woli przekształcają nasze najulubieńsze przymioty? Czy Orlando, wyczerpany skrajnym cierpieniem, umarł na tydzień, po czym powrócił do życia? Jeśli tak, to jakiej natury jest śmierć, jakiej natury życie? Czekamy odpowiedzi na te pytania już od pół godziny, a że żadna nie puka do drzwi, wróćmy do naszej opowieści.

Orlando oddał się teraz życiu arcysamotnemu. Utrata czci na dworze królewskim i natężenie jego smutku były po części tego przyczyną. Ponieważ jednak nie próbował odzyskać dobrego imienia i rzadko zapraszał kogoś z wizytą (choć miał wielu znajomych, którzy z miłą chęcią by go odwiedzili), zdawało się, że samotne bytowanie w wielkim domu jego ojców odpowiadało jego usposobieniu. Samotność wybrał z rozmysłu. Jak spędzał czas, nikt dokładnie nie wiedział. Do służących, których trzymał całą świtę, należało tylko ścieranie kurzów w pustych pokojach i wygładzanie przykryć łóżek, w których nigdy nie spano; często widząc o zmroku, gdy siedzieli nad ciastem i piwem, światło migotające w korytarzach, sunące przez sale bankietowe, po schodach do góry, do sypialni, wiedzieli, że to ich pan przechadza się samotnie po domu. Nikt nie śmiał iść za nim, gdyż w domu straszyla wielka rozmaitość duchów, wskutek czego łatwo było zgubić drogę i albo spaść z jakichś taj

44 45

mnych schodów albo otworzyć zdradzieckie drzwi, które, gdyby wiatr je zatrzęsnał, zawarłyby się za ofiarą na zawsze - przypadki to wcale pospolite, czego dowodzą częste odkrycia szkieletów ludzi i zwierząt w pozach wielkich katuszy. Potem światło nikło, a jejmość Grimsditch, ochmistrzyni, trwożnie pytała imię Duppera, kapelana, czy nie sądzi, iż jaśnie pana spotkało jakieś nieszczęście. Imię Dupper wyrokował, iż jaśnie pan znajduje się na kłęczkach, zapewne pośród grobów swych przodków, w kaplicy wychodzącej na Pawilon Bilardowy, pół mili na południe. Na Orlandowym sumieniu ciężą bowiem grzechy, miał obawy imię Dupper; na co jejmość Grimsditch odparowywała tonem dość ostrym, że jaśnie pan nie stanowi pod tym względem wyjątku. Po czym jejmość Stewkley, jejmość Field i stary cieśla Nurse prześcigali się w wychwalaniu jaśnie pana; stajenni i ekonomowie kleli się, jaka to szkoda, aby tak znakomity szlachcic szwendał się po domu, miast polować na lisa czy gonić za jeleniem; nawet dziewczki z pralni i pomywalni, które roznosiły kufle i ciasto, wtrącały swoje, jaki z jaśnie pana rycerski człek. Nie było bowiem nigdy bardziej ludzkiego pana, chętniej rozstającego się z tymi srebrnymi krążkami, dzięki którym można przyozdobić włosy kokardą czy bukietem kwiatów. Wreszcie nawet Murzynka, którą zwali Grace Robinson, by z niej uczynić chrześcijankę, zrozumiała, do czego się pije i przyznała, że z jaśnie pana urodziwy, przyjazny, kochany człowiek, a rzekła to na swój sposób, to jest pokazując naraz wszystkie zęby w szerokim uśmiechu. Mówiąc krótko, cała służba miała go w wielkim poważaniu i przeklinała obcą księżniczkę (określali ją bardziej grubiańskim mianem), która takie na niego sprowadziła nieszczęście.

Choć należy przypuszczać, że to tchórzostwo bądź upodobanie, jakie znajdował w ciepłym piwie, kazało imię Dupperowi wyobrazić sobie jaśnie pana bezpiecznego pośród grobów, aby nie musiał iść go szukać, jest wcale możliwe, że imię Dupper miał słuszość. Orlando zaczął bowiem czerpać osobliwą rozkosz z myśli o śmierci i unicestwieniu, a przemierzwszy długie korytarze i sale balowe z kagankiem w dłoni, napatrzywszy się na obrazy, jakby szukał na nich wizerunku kogoś, kogo nie mógł znaleźć, siadał w rodzinnej ławie w kaplicy i godzinami patrzył, jak falują sztandary, a przez okna sączy się księżyc, za całe towarzystwo mając nietoperze i ćmy. Lecz i to mu nie wystarczało; często schodził do krypty, gdzie leżało dziesięć pokoleń jego ojców, trumna na trumnie. Tak rzadko ktokolwiek tam bywał, że w podziemiu rozpanoszyły się szczury i poprzegryzały próchniejące drewno. Czasem Orlando zawadził płaszczem o piszczel, czasem nadepnął i rozgniół czaszkę jakiegoś Sir Malise. Była to upiorna kostnica, wykopana głęboko poniżej fundamentów domu, jakby założyciel rodu, który przybył z Francji z Wilhelmem Zdobywcą, pragnął pokazać, jak to wszelki przepych ma u podłoża zepsucie; jak to pod zewnętrzną powłoką człowieka kryje się szkielet; jak to my, którzy tańczymy i śpiewamy na górze, legniemy w dole; jak to szkarłatny aksamit obraca się w pył; jak to pierścień (tu Orlando, zniżywszy kaganek, podnosił złote kółko pozbawione kamienia, który potoczył się w kąt) traci swój rubin, a oko, ongiś pełne blasku, matowieje.

- Nic nie zostaje z wszystkich tych książąt - mawiał Orlando, nieco przesadnie ich tytułując - prócz jednej kończyny - i brał w swoją dłoń dłoń kościaną, którą obracał w stawie to w jedną, to w drugą stronę. - Czyjaż to dłoń? - pytał. - Prawa czy lewa? Dłoń mężczyzny czy kobiety, stara czy młoda? Popędzała konia w boju, czy śmigała igłą? Pieściła róże czy dzierżyła zimną stal? Dłoń...? - Lecz w tym miejscu już to zawodziła go wyobraźnia, już to, co bardziej prawdopodobne, podsuwała mu tyle rozmaitych zajęć dla owej dłoni, że wzdragał się, jak to miał w zwyczaju, przed mozolnym trudem tworzenia, który polega na eliminacji i odkładał dłoń między pozostałe kości, po czym myślał o pisarzu, co zwał się Thomas Browne, doktor z Norwich, którego dzieła w tym przedmiocie niezwykle mu przypadły do gustu.

46 47

Wziąwszy swój kaganek i sprawdziwszy, czy kości uporządkowane, gdyż, choć romantyk, był człowiekiem wyjątkowo pedantycznym i nic nie budziło weń większej odrazy niżli kłębek nici na podłodze, nie mówiąc już o czaszce przodka, powracał do swych osobliwych, posępnych spacerów korytarzami, przerywanych rozzwierającym spazmem płaczu na widok niderlandzkiego pejzażu zimowego pędzla nieznanego artysty. Zdawało mu się wtedy, że życie nie jest warte zachodu. Zapomniałszy o kościach przodków i o tym, że życie ufundowane jest na grobie, stał wstrząsany łkaniem, a wszystko za przyczyną pożądania kobiety w rosyjskich szarawarach, o skośnych oczach, wydętych ustach i w perłach wokół szyi. Odeszła. Zostawiła go. Już nigdy jej nie zobaczy. Więc płakał. I wracał na swe pokoje, a jejmość Grimsditch, widząc światło w oknie, odejmowała kufel od ust i mówiła: „Chwała niech będzie Najwyższemu, jaśnie pan wrócił do siebie”; przez cały bowiem czas myślała, że został nikczemnie uśmiercony.

Orlando zasiadał w krześle przy stole, otwierał dzieła Sir Thomasa Browne'a i zagłębiał się w subtelny wywód jednej z najdłuższych i najrozkoszniej zasupłanych refleksji doktora.

Choć nie są to rzeczy, których roztrząsanie może przynieść żywotopisowi zbytni pożytek, dla tych spośród czytelników, którzy z podsuniętych tu i ówdzie sugestii zdołali stworzyć wizerunek żywej osoby; którzy słyszą żywy głos w tym, co zaledwie szeptamy; którzy dokładnie przedstawiają sobie jego postać częstokroć tam nawet, gdzie o nim nie wspominamy; którzy bez słowa wskazówki z naszej strony wiedzą dokładnie, co myślał - a dla takich właśnie czytelników piszemy - owoż dla takiego czytelnika jest jasne, że Orlando w osobliwy sposób łączył w sobie wiele humorów - melancholię, opieszałość, namiętność, upodobanie w samotności, by nie wspomnieć o wszystkich tych skrzywieniach i subtelnościach usposobienia zaznaczonych na pierwszej stronie, kiedy rozplątał głowę martwego Negra, odciął od tułowia, po rycersku zawiesił poza zasięgiem ręki, po czym zasiadł przy oknie do lektury. Zamiłowanie do książek objawiło się wcześniej. Jako dziecko często czytał do północy, aż znajdował go pokojowiec. Zabrano mu kaganek, hodował

więc w zastępstwie robaczki świętojańskie. Gdy zabrano mu robaczki świętojańskie, omal nie podpalił domu hubką i krzesiwem. By ująć rzecz krótko, a wydelikacenie tego grubego stwierdzenia pozostawić powieściopisarzom, był szlachcicem trawionym miłością do literatury. Wielu ludzi jego epoki, a tym bardziej jego stanu, umknęło od tej zarazy, dzięki czemu wolno im było hasać, jeździć konno i zalecać się, kiedy im tylko serce dyktowało. Niektórzy jednak za młodu łapali bakcyła zrodzonego ponoć z pyłku złotogłowia, przywanego z Grecji czy Italii, bakcyła tak zabójczego, iż paraliżował ramię składające się do ciosu, mącił wzrok wypatrujący zwierzyny, plątał język mający wyznać miłość. Śmiercionośna natura tej choroby polegała na wypieraniu rzeczywistości przez ułudę, toteż wystarczyło, by Orlando, którego los obficie obdarzył zastawą, pościelą, domami czeladzią, dywanami i łóżami, wystarczyło zatem, by otworzył książkę, a całe to wielkie dóbr nagromadzenie rozplywało się we mgle. Dziewięć akrów kamienia, który tworzył jego dom, zniknęło; sto pięćdziesiąt osób służby rozwiewało się; osiemdziesiąt koni pod wierzch przepadało; policzenie wszystkich dywanów, sof, końskich rzędów, porcelany, platerów, flakoników i innych ruchomości, często z kutego złota, które ulatniały się jak morski wyziew, zajęłoby zbyt dużo czasu. Siedział zatem Orlando w samotności i czytał człowiek nagi.

Teraz, gdy był sam, choroba coraz silniej go zmagala. Często czytał sześć godzin w noc; a gdy przychodzili do niego z zapytaniem, czy zarzącać wołu bądź rozpocząć żniwa pszenicy, odsuwał od siebie tomiszcze i patrzył tępo, jakby nie rozumiał, co się do niego mówi. Straszna ta przypadłość godziła w serce sokolnika Halla, stajennego Gilesa, ochmistrzyni jejmość Grimsditch i kapelana imię Duppera. Tak

48 49

znakomitemu szlachcicowi, mawiali, książek nie potrzeba. Książki niech zostawi, mawiali, kalekom i umierającym. Najgorsze jednak jeszcze nie nadeszło. Kiedy bowiem choroba czytania weźmie organizm we władanie, tak go osłabia, iż staje się podatny na tę drugą zarazę, co drzemie w kałamarzu i ropieje w gęsim piórze. Nieszczęsny zabiera się do pisania. O ile u człowieka uboższego, który nie posiada nic prócz krzesła i stołu pod ciekącym dachem, jest to znośne - nie ma on bowiem w końcu wiele do stracenia - o tyle dola człowieka bogatego, który ma domy, bydło i czeladź, osły i pościel, a pisze książki, jest w najwyższym stopniu godna pożałowania. Zatraca on smak tego wszystkiego; jest dżgany gorącym żelazem, zjadany przez robactwo. Oddałby ostatni grosz (tak złośliwy jest bakcył), żeby napisać jedną książeczkę i zyskać sławę; a przecież wszystko złoto Peru nie kupi skarbu jednej zgrabnej linijki. Zapada więc na suchoty, strzela sobie w łeb, twarzą do ściany. Nie ma zresztą dla niego znaczenia, jak go znajdą. Przeniknął bramy śmierci i zaznał płomieni piekła.

Szczęśliwie Orlando był człowiekiem o silnej konstrukcji, toteż choroba (czego dalsze przyczyny zaraz podamy) nigdy go nie pokonała, tak jak pokonała wielu jemu równych. Głęboko jednak nadszarpaneła jego kondycję, jak się wkrótce przekonamy. Po godzinnej bowiem lekturze Sir Thomasa Browne'a, gdy ryk jelenia i wołanie strażnika wskazywały, że jest głucha noc i wszyscy smacznie śpią, przeszedł przez pokój, wyjął z kieszeni srebrny klucz i otworzył drzwiczki wielkiej inkrustowanej sekretery, która stała w kącie. Każda z pięćdziesięciu mniej więcej szuflad z cedrowego drewna miała inskrypcję skreśloną starannym pismem Orlanda. Stał przez chwilę, jakby się wahał, którą szufladę otworzyć. Inskrypcje na szufladach brzmiały: *Śmierć Ajaksa, Narodziny Priama, Ifigenia w Aulidzie, Meleager, Powrót Odyseusza* - faktycznie niewiele było napisów, w których nie pojawiłoby się imię jakiejś postaci mitologicznej w punkcie zwrotnym żywota. W

każdej szu

50

fladzie leżał znaczny dokument spisany ręką Orlanda. Prawda jest taka, że Orlando cierpiał na pisarską przypadłość od wielu lat. Żaden chłopiec nie napraszał się o jabko, jak Orlando napraszał się o papier; żadna dziewczynka nie skamlała o cukierki, jak on skamlał o inkaust. Wymykał się od biesiady i zabawy, chował za zasłonami, w tajnych skrytkach bądź w kredensie za sypialnią matki, który miał dziurę w podłodze i straszliwie cuchnął szpaczym łajnem, z kałamarzem w jednej dłoni, piórem w drugiej i zwojem papieru na kolanie. Tak napisał, nim ukończył dwadzieścia pięć lat, bodaj czterdzieści siedem sztuk dramatycznych i historycznych, romansów, poematów; niektórych prozą, niektórych wierszem; niektórych po francusku, niektórych po włosku; wszystkich romantycznych i wszystkich długich. Jeden utwór zaniósł do drukarni Johna Balla „Pod Piórem i Koroną” naprzeciwko Świętego Pawła przy Cheapside; choć jednak zadrukowane karty były mu rozkoszą dla oczu, nie śmiał ich nigdy pokazać matce, wiedział bowiem, że pisać, a co gorsza publikować, to dla szlachcica niezmywalna hańba. Teraz jednak, że noc była głucha, a on był sam, wybrał z tej skarbownicy jeden gruby dokument zatytułowany *Tragedia Ksenofilii* czy coś w tym rodzaju, i jeden cienki, który nazywał się po prostu *Dgb* (jedyne zwięzły tytuł w całej twórczości Orlanda), po czym przysunął kałamarz, obrócił w palcach pióro i wykonał kilka innych czynności, od których ofiary tego występku ror.G-aocrvnąją swój rytuał. Tu jednak przerwał.

Ponieważ przerwa ta miała nierównie mniejsze dla jego losów, bodaj czy nie większe od wielu cynów, wskutek których ludzie padają na ziemię, a rzeki spływają krwią, godzi nam się spytać, dlaczego przerwał; i odpowiedzieć, po słusznym namyśle, że przyczyna przedstawia się mniej więcej taka Natura, która wypłatała nam tyle płochych figli, urabiając nas nierównomiernie z gliny i brylantów, z tęczy i granitu, i wtlaczając w częstokroć nieodpowiednią powłokę, bowiem poeta ma twarz rzeźnika, a rzeźnik poety; natura,

51

lubująca się w zagadkach i tajemnicach, tak że nawet dziś (pierwszy listopada 1927 roku) nie wiemy, dlaczego wchodzimy po schodach na górę, lub dlaczego schodzimy z powrotem - nasze najpospolitsze poruszenia są jak rejs statku po nieznanym morzach, a marynarze na orlim gnieździe pytają, skierowawszy lornety ku widnokregowi: „Jest li ziemia czy jej nie ma?” na co, jeśli jesteśmy prorokami, odpowiadamy: „Jest”, jeśli zaś chcemy dochować wierności prawdzie, odpowiadamy: „Nie ma”; natura, na której spoczywa wina za tyle innych rzeczy oprócz nadmiernej długości tego zawikłanego zdania, dodatkowo skomplikowała nam zadanie i pogłębiła nasz zamęt, bowiem nie tylko umieściła w naszej pamięci bezładną zbieraninę staroci - skrawek spodni policjanta muskający ślubny welon królowej Aleksandry - ale i zadbała, by całą tę kolekcję sfastrygować razem jedną nitką. Pamięć jest szwaczką, i to kapryśną. Pamięć śmiga igłą w górę i w dół, w lewo i w prawo, to rzadszym, to gęściejszym ściegiem. Nie wiemy, które wspomnienie czeka następne w kolejce, które stoi za nim. Najzwyklejszy zatem gest pod słońcem, jak choćby przysunięcie ku sobie kałamarza, może potrząsnąć tysiącami rozmaitych, nie pasujących do siebie okruców, to jasnych, to mrocznych, skaczących, podrygujących, łopoczących, falujących, jaksuszająca się na wietrze bielizna czternastoosobowej rodziny. Miast prostych, rzetelnych, szczerých dokonani, których nikt by się nie powstydział, nasze najpospolitsze nawet czynności trzepoczą jak ptak skrzydłami, rozbłyskują i gasną. Stąd też Orlando, zamoczywszy pióro w inkauscie, ujrzał drwiącą twarz księżniczki i 'zadał sobie natychmiast milion pytań, które były jak strzały zatrute żółcią. Gdzie jest? Dlaczego go opuściła? Czy ambasador jest jej wujem czy kochankiem? Czy spiskowali? Zmuszono ją do wyjazdu? Jest mężatką? Czy żyje? Pytania te nasyciły go takim jadem, iż chcąc dać upust swej udre, zanurzył pióro tak głęboko w kałamarzu, że inkaust chlusnął po stole, a czyn ten, jakkolwiek to tłumaczyć (być może zresztą nie ma wytłuma

52

czenia - pamięć jest niewytłumaczalna), wyrugował twarz księżniczki na rzecz zupełnie innej twarzy. Ale do kogo ona należy, zadał sobie pytanie? Musiał zaczekać, może pół minuty, patrząc na nowy obraz zasłaniający stary, tak jak w latarni magicznej można uszczknąć jedno przezrocze skroś drugiego, nim mógł sobie odpowiedzieć: „Jest to twarz nieco tłustego, zlachmanionego mężczyzny, który siedział w salonie jejmość Stewkley wiele lat temu, gdy stara królowa Elunia zjechała tu wieczerać; a ja go widziałem”. Orlando ciągnął dalej, uchwyciwszy kolejną z tych barwnych szmatek: „Siedział przy stole, gdy kuknąłem do środka w drodze na dół, i miał najniezwyklejsze z oczu, jakie znał świat, ale kto to, u diabła, był?” spytał Orlando, gdyż w tym miejscu pamięć uzupełniła czoło i oczy o zgrzebną, splamioną tłuszczem krezę, potem brązowy kaftan i wreszcie parę ciężkich butów, jakie noszą mieszczanie z ulicy Cheapside. „Nie szlachcic. Nie jeden z nas” powiedział Orlando (czego nie powiedziałyby na głos, jako że był najdworniejszym z dżentelmenów; jego słowa ukazują jednak, jaki wpływ na umysł ma szlachetne urodzenie, a przy okazji, jak trudno szlachcicowi być pisarzem), „Rzekłbym, iż poeta”. Wedle wszelkich praw pamięć, która dość mu już naprzekadzała, winna teraz wymazać całą tę rzecz lub wyjąć ze swego worka coś durnego i zupełnie innego rodzaju - na przykład psa goniącego za kotem czy staruszkę wycierającą nos w czerwonej, bawełnianej chusteczce - aby Orlando, zdesperowany, by dotrzymać kroku jej błędzeniom, ochoczo zabrał się do pisania. (Bowiemy, jeśli starczy nam śmiałości, możemy przegnać tę łajdaczkę pamięć z domu wraz z jej czarnoksięskimi rupieciami). Wszak Orlando przerwał. Pamięć nadal ukazywała mu obraz mizernego człowieka o wielkich jasnych oczach. Nadal patrzył, przerwa trwała dalej. Właśnie te przerwy są naszą zgubą. To wtedy do naszej twierdzy wkrada się bunt, a nasze wojska powstają przeciw nam. Już

iwcześniej zdarzyło mu się przerwać, po czym do twierdzy rwdarła się miłość, maszerująca nieubłaganie w takt obojów

53

i cymbałów, strącająca z ramion skrwawione głowy. Miłość zadała mu męki potępionych. Teraz znów przerwał, a przez wyłom wtargnęła nikczemnica ambicja, wiedźma poezja, ulicznica żądza sławy. Schwyciły się za dłonie i urządziły sobie w jego sercu potańcówkę. Stojąc dumnie wyprostowany w samotności swego pokoju, poprzysiągł, że zostanie najpierwszym poetą swojego narodu i okryje nieśmiertelnym blaskiem swe imię. Powiedział (recytując imiona i świetne czyny swych przodków), że Sir Boris zmógł i uśmiercił Saracena, Sir Gawain Turka, Sir Miles Polaka, Sir Andrew Franka, Sir Richard Austriaka, Sir Jordan Francuza, a Sir Herbert Hiszpana. Lecz z całej tej rzezi i bojów, z tego pijaństwa i amorów, z tej rozrzutności, polowania, jeździectwa i obżarstwa - cóż pozostało? Czaszka; palec. Podczas gdy, powiedział, przewracając kartkę tomu Sir Thomasa Browne'a, który leżał na stole - i znów przerwał. Jak zakłęcie wylęgłe ze wszystkich zakamarków pokoju, z nocnego wiatru i księżycowej poświaty, zagrała boska melodia tych słów, które, aby nie przyćmiły tych kart, pozostawimy w ich grobowcu, lecz nie martwe, ale raczej zabalsamowane, tak świeża ich karnacja, tak zdrowy oddech - a Orlando, porównując to osiągnięcie z dokonaniem swych przodków, zakrzyknął, iż oni i ich czyny są proch i pył, lecz ten człowiek i jego słowa są nieśmiertelne.

Wkrótce jednak spostrzegł, że boje, jakie Sir Miles i reszta toczyli z zakutymi w zbroje rycerzami dla zdobycia królestwa, nie były ani w połowie tak znojne jak ten, który on teraz podjął przeciwko angielskiej mowie, aby zdobyć niew... r.~  
~.~. t.~.....\_..~.~\_D.....~ .....

śmiertelność. Komukolwiek choć trochę zaznajomionemu z wymogami kompozycji nie potrzeba opowiadać tej historii w szczegółach; jak to napisał i zdało mu się dobre; przeczytał i zdało mu się szkaradne; poprawił i podarł; wykreślał; dopisywał; wpadał w uniesienie; w rozpacz; miał dobre wieczory i złe poranki; chwycił idee, by je zgubić; ujrzał swą książkę oczyma duszy w skończonym kształcie, po czw zniknęła; przy jedzeniu odgrywał role swych postaci; m ,



rotął je pod nosem podczas spacerów; raz płakał; raz się śmiał; balansował pomiędzy takim a owakim stylem; to wołał heroiczny i nadęty; to prosty i zwyczajny; raz opiewał doliny Tempe; to znowu pola Kentu i Kornwalii; nie mógł się zdecydować, czy jest najbardziej boskim geniuszem czy też największym głupcem pod słońcem.

I właśnie aby udzielić sobie odpowiedzi na to ostatnie pytanie postanowił, po wielu miesiącach tak gorączkowej pracy, położyć kres latom samotności i przywrócić zażyłość ze światem zewnętrznym. Miał przyjaciela w Londynie, niejakiego Gilesa Ishama z Norfolk, który, choć szlachetnie urodzony, posiadał znajomości wśród pisarzy i bez wątpienia mógł go zapoznać z jakimś członkiem tego błogosławionego, rzekłoby się nawet, świętego bractwa. Bowiem dla Orlanda, w jego obecnym stanie ducha, w człowieku, który napisał i wydał drukiem książkę, było dostojęstwo świetniejsze aniżeli zaszczyty krwi i urzędu. Wyobraźnia podszeptowała mu, że nawet ciała tych osób, natchnionych tak boskimi myślami, muszą być przeistoczone. Miast włosów muszą mieć aureole, miast oddechu kadzidło, a z ust muszą wykwiatać im róże - co z pewnością mijało się z prawdą w przypadku jego czy imć Duppera. Nie przychodziło mu do głowy większe szczęście, aniżeli siedzieć za zasłoną i słuchać, jak rozmawiają. Samo wyobrażenie tej śmiałej i różnorodnej dysputy sprawiło, że rozmowy, jakie prowadził zę swymi dworskimi przyjaciółmi - o psach, koniach, kobietach, kartach - zdały mu się arcyprzyjemne. Z dumą przypomniał sobie, że zawsze uważano go za szkolara, szydzono z jego umiłowania samotności i ksiąg. Nie posiadał daru gładkich powiedzonek. W buduarze milczał jak pień, rumienił się i kroczył jak grenadier. Dwa razy z czystego roztargnienia spadł z konia. Układając rym, złamał wachlarz lady Winchilsea. Łapczywie przywoływał te i inne przykłady swego niedostosowania do życia w wielkim świecie. Opętała go niewysłowiona nadzieja, że jego burzliwa młodość, jego niezdarność, jego rumieńce wstydu, jego dłu

SS

gie spaceru i jego umiłowanie wiejskiego życia dowiodły, iż należy do rodzaju świętego, a nie szlachetnego - iż z przyrodzenia jest pisarzem, a nie arystokratą. Po raz pierwszy od nocy wielkiej powodzi był szczęśliwy.

Obecnie polecił imć Ishamowi z Norfolk doręczyć imć Nicholasowi Greene'owi z Clifford's Inn dokument wyrażający podziw, jaki Orlando żywił dla jego dzieł (bowiem Nick Greene był w owym czasie bardzo znanym pisarzem), i pragnienie zawarcia znajomości; o co ledwie śmiał prosić, nie mając do zaferowania nic w zamian; lecz jeśli imć Nicholas Greene zechce go odwiedzić, o dowolnie wybranej przez imć Greene' a godzinie, na rogu Fetter Lane czekać będzie zaprzężony w czwórkę koni powóz, który dowiezie go bezpiecznie do domu Orlanda. Resztę listu można bez trudu odtworzyć; i wyobrazić sobie zachwyt Orlanda, gdy w krótkim czasie imć Greene oznajmił, że przyjmuje zaproszenie jego lordowskiej mości; zajął miejsce w powozie i wysiadł na dziedzińcu na południe od głównego budynku punktualnie o siódmej wieczór w poniedziałek dwudziestego pierwszego kwietnia, aby wejść do sali bankietowej.

Przyjmowano tu wcześniej wielu królów, królowe i ambasadorów; sędziowie stawali tu w swych gronostajach. Przybywały tu najcudniejsze damy całej Anglii i najsroźsi wojowie. Wisiały tu sztandary, które wcześniej łopotały pod Flodden i Agincourt. Zewsząd zerkwały koronowane lwy i lamparty na tarczach herbowych. Przez salę ciągnęły się długie stoły, dźwigające złotą i srebrną zastawę, a w ogromnych kominkach z kutego włoskiego marmuru co wieczór spalano na popiół całe drzewo dębowe, z milionami liści, gniazdami gawronów i strzyżków. Teraz stał tutaj Nicholas Greene, poeta, ubrany pospolicie w kaftan i kapelusz z jedną połową ronda zagiętą w dół, z niewielką torbą w ręce.

To nieuniknione, że Orlando, który pospieszył mu na powitanie, poczuł się odrobinę rozczerwany. Poeta był człowiekiem wzrostu nie więcej niż pośledniego; nędznej postury; chudy i nieco zgarbiony, a gdy przy wejściu zawadził

56

nogą o mastyfa, pies ugryzł go. Prócz tego Orlando, przy całej swej wiedzy o ludziach, nie umiał go nigdzie przyporządkować. Człowiek ten miał w sobie coś, co nie pasowało ani do służki, ani do drobnego szlachetki, ani do arystokraty. Głowa z zaokrąglonym czołem i haczykowatym nosem była zacna, lecz szczeka cofnięta; oczy pełne blasku, lecz wargi zbyt grube. Najbardziej jednak niepokoił ogólny wyraz twarzy. Nie było w nim nic z owego statecznego dostojęstwa, dzięki któremu tak przyjemnie patrzeć na twarze arystokratów; ani z czcigodnego posłuszeństwa dobrze wyszkolonej twarzy służki. Była to twarz pozszywana, fałdzista, plisowana. Choć Nicholas Greene mienił się poetą, bardziej był chyba przyzwyczajony do słów przygany niżli do pochlebstwa; do sprzeczek aniżeli gruchania; do wierzgania aniżeli wzlotów; do walki aniżeli spoczynku; do nienawiści, a nie miłości. Ujawniała to także nagłość ruchów, jak również pewna zadzierzystość i podejrzliwość spojrzenia. Orlando był cokolwiek zawiedziony. Udali się jednak na wieczerzę.

Gdy usiedli do stołu, Orlando, który zazwyczaj brał to za część ustalonego porządku świata, tym razem poczuł niezrozumiały wstyd z powodu liczby służki i świetności swego stołu. Co dziwniejsze, z poczuciem dumy przywołał myśl - która z reguły była mu wstrętna - o swej prababce Moll, dojarce krów. Miał właśnie wtrącić stówko o tej kobiecie niskiego stanu i jej skopkach na mleko, gdy poeta zamknął mu usta mówiąc, że choć nazwisko Greene jest tak pospolite, o dziwo jego ród przybył na wyspę wraz ze Zdobywcą i należał do najświetniejszych we Francji. Niestety los sprawił, że podupadli i zapisali jedynie swe imię w nazwie królewskiego miasta Greenwich. Dalszy wywód biegł tym samym torem: historie o utraconych zamkach, tarczach herbowych, kuzynach baronetach na północy, małżeństwach z arystokratycznymi rodami na zachodzie, pisowni nazwiska czasem z „e” na końcu, czasem bez... trwały aż do pojawienia się na stole dziczyzny. Dopiero wtedy Orlando zdołał napomknąć o babci Moll i jej krowinach, ulżywszy nieco

sercu, nim podano dzikie ptactwo. Wszakie dopiero gdy połała się obfitym strumieniem małmazja, Orlando ośmielił się nadmienić, że jego głowę zaprzęta sprawa ważniejsza niż Greene'owie czy krowy, a mianowicie święty temat poezji. Ledwie wypowiedział to słowo, gdy oczy poety zapłonęły ogniem; natychmiast zrzucił z siebie maniery człowieka dobrze ułożonego; z hukiem odstawił szklanice i zagaił jedną z najdłuższych, najbardziej zawikłanych, namiętych i pełnych goryczy opowieści, jakie Orlando kiedykolwiek słyszał (chyba że z ust odtrąconej kobiety), o pewnej sztuce Greene'a, o innym poecie i o krytyku. Na temat natury samej poezji Orlando dorozumiał się tylko, że trudniej ją sprzedać aniżeli prozę i, choć wersy są krótsze, dłużej się je pisze. Przemowa umykała w niezliczone dygresje, dopóki Orlando nie nadmienił nieśmiało, że i on miał czelność pisać - lecz w tym miejscu poeta zerwał się z krzesła. W boazerii pisnęła mysz, powiedział. A jego nerwy, wyjaśnił, są w takim stanie, że piśnięcie myszy rozstraja je na dwa tygodnie. Niechybnie w domu było tych bestii zatrząsienie, lecz Orlando nigdy ich nie słyszał. Następnie poeta szczegółowo zrelacjonował Orlandowi swe perypetie ze zdrowiem w ciągu ostatnich dziesięciu lat. A było tak mizerne, że dziwić się tylko należało, iż jeszcze żyje. Przeszedł paraliż, podagrę, zimnicę, puchlinę wodną i trzy rodzaje febry; na domiar złego miał powiększone serce, przerośniętą śledzionę i schorowaną wątrobę. Przede wszystkim zaś odczuwał sensacje w kręgosłupie, które wymykały się wszelkim próbom opisu. Jeden z kręgów, mniej więcej trzeci od góry, palił go jak ogniem; inny, bodaj drugi od dołu, był zimny jak lód. Niekiedy po przebudzeniu mózg ciążył mu jak ołowiem; innymi razy zdawało się, że płoną w nim tysiące świec woskowych i strzelają dymne race. Płatek róży uwiera go przez materac, a po Londynie może się poruszać w absolutnych ciemnościach, rozpoznając pod stopą kształt kamieni bruku. Wszystko razem wzięwszy, stanowił mechanizm tak precyzyjnie wykonany i tak niezwykle poskładany (tu uniósł, niby mi

58

mochodem, dłoń, rzeczywiście nadzwyczaj kształtną), że było dla niego niepojęte, dlaczego sprzedał tylko pięćset egzemplarzy poematu, choć oczywiście był to przede wszystkim wynik zмовы przeciwko niemu. Wszystko, co można powiedzieć - spuentował, walnąwszy pięścią w stół że sztuka poezji umarła na wyspie Albionu.

Jakże to być może, skoro Szekspir, Madowe, Ben Jonson, Browne, Donne, wszyscy piszą bądź dopiero co napisali, nie chciał się zgodzić Orlando, recytując imiona swych ulubionych bohaterów.

Greene zaśmiał się z przekąsem. Przyznał, że Szekspir napisał kilka znośnych scen, ale ściągnął je po większej części z Marlowe'a. Marlowe nieźle się zapowiadał, ale cóż można powiedzieć o wyrostku, który postradał życie, nie dożywszy trzydziestki? A co się tyczy Browne'a, wymyślił on pisanie poezji prozą, a ludzi szybko nużą takie koncepty. Donne zaś to blagier, który ubiera brak sensu w mocne słowa. Snoby dały się zwieść, ale nie minie dwanaście miesięcy, nim styl ten wyjdzie z mody. Co się tyczy Bena Jonsona, to Ben Jonson jest mu przyjacielem, a o przyjaciółach nigdy nie powie złego słowa.

Nie, upierał się, złoty wiek literatury przeminął; wielka epoka literatury to epoka grecka; epoka elżbietańska w każdym względzie greckiej ustępuje. W czasach największego rozkwitu literatury twórcy hołdowali boskiej ambicji, którą można nazwać La Gloire (jako że powiedział „Gloir”, Orlandowi w pierwszej chwili umknęło znaczenie). Teraz wszyscy młodzi pisarze są na garnuszku księgarzy i sklecą każdą ramotę, która się sprzeda. Najpierwszym winowajcą był tu Szekspir, który już ponosi za to karę. W naszej własnej epoce, powiedział, plenią się prerafinowane koncepty i szalone eksperymenty - czego Grecy nie znieśliby ani przez chwilę. Choć mówił to z wielkim bólem - bowiem miłował literaturę na równi ze swym życiem - nie dostrzegał nic dobrego w obecnej twórczości i nie miał żadnych nadziei na przyszłość. Tu nalał sobie jeszcze jedną szklanekę wina.

Osądy te wstrząsnęły Orlandem; nie uszło jednak jego uwagi, że sam krytyk nie wydaje się wcale przygnębiony. Przeciwnie, im bardziej piętnował swą własną epokę, tym bardziej był zadowolony z siebie. Zachował w pamięci pewien wieczór w Cock Tavern przy Fleet Street, kiedy był tam Kit Marlowe i paru innych. Kit był w szampańskim humorze, dość wstawiony, za czym szła u niego skłonność do prawienia bzdur. Greene do dziś miał przed oczyma Kita unoszącego kufel i czkającego: „Do wszystkich diabłów, Bill (to do Szekspira), idzie wielka fala, a ty jesteś na jej szczycie”. Co miało oznaczać, wyjaśnił Greene, że stali u wrót wielkiej epoki w angielskiej literaturze, a Szekspir zostanie poetą pewnej rangi. Na swoje szczęście dwie noce później Kit został zabity w pijackiej burdzie, więc nie dożył czasów, kiedy miały się spełnić jego przepowiednie.

- Pocziwy głupiec - powiedział Greene - żeby wygadywać przy ludziach takie rzeczy. Wielka epoka! To mi dopiero wielka epoka, elżbietańska! Cóż nam zatem pozostało, mój Panie? - ciągnął, pieszcząc szklanekę wina między palcami, rozsiadłszy się wygodnie w fotelu. Musimy zadowolić się tym, co mamy, pielęgnować przeszłość i czcić tych pisarzy - jeszcze ich się kilku zachowało - którzy czerpią wzór ze starożytnych i piszą nie dla zapłaty, lecz dla Gloir. - (Orlando chętnie usłyszałby lepszą wymowę). - Gloir - powiedział Greene - jest ostrogą szlachetnych umysłów. Gdybym miał rentę w wysokości trzystu funtów rocznie, płaconą kwartalnie, żyłbym wyłącznie dla Gloir. Każdego ranka leżałbym w łóżku i czytał Cycerona. Naśladowałbym jego styl tak doskonale, że nikt nie potrafiłby nas odróżnić. To się nazywa pisanie powiedział Greene - to się nazywa Gloir. Ale do tego potrzebna jest renta.

Orlando zdążył już porzucić wszelkie nadzieje na omówienie z poetą swej własnej twórczości. Straciło to jednak znaczenie, gdyż rozmowa przeszła teraz na życiorysy i charaktery Szekspira, Bena Jonsona i całej reszty pisarzy, z któ

60

rymi Greene był w zażyłych stosunkach i o których miał w zanadru tysiące przezabawnych anegdot. Orlando uśmieł się jak nigdy. Tacy zatem byli jego bogowie! Połowa liczyła się między pijusów, wszyscy między amantów. Większość kłóciła się z żonami; żaden z nich nie był ponad kłamstwo czy najnędrniejszą intrygę. Bazgrali swą poezję na odwrocie kwitów z pralni i wręczali w drzwiach gońcowi od drukarza. Tak poszedł do druku *Hamlet*, nie inaczej *Lir*, nie inaczej *Otello*. Nic dziwnego, powiedział Greene, że w sztukach tych jest tak wiele usterek. Resztę czasu spędzali na libacjach i pohulankach w tawernach i piwiarniach: to, co tam mówiono, przerasta ludzkie pojęcie, a to, co tam wyczyniano, przyćmiewa najdziksze dworskie swawole. Greene snuł swą opowieść w duchu, który wprawił Orlanda w najwyższą rozkosz. Posiadał dar mimikry; który przywracał umarłych do życia i potrafił pięknie rozprawiać o książkach, pod warunkiem, że zostały napisane trzysta lat wcześniej.

Tak mijał czas, a Orlando poczuł ku swemu gościowi dziwnie mieszane uczucia sympatii i pogardy, podziwu i współczucia, jak również coś zbyt nieokreślonego, by dało się nazwać, lecz miało w sobie zarówno coś z lęku, jak i z fascynacji. Greene nieprzerwanie mówił o sobie, lecz z takim wdziękiem, że można było bez końca słuchać opowieści o jego febrze. To olśniewał dowcipem, to przerażał obrazoburstwem; to poczynął sobie frywolnie z imionami Boga i kobiety; to znów potrafił wyszperać w głowie tysiące ciekawostek; umiał przyrządzać sałatkę na trzysta różnych sposobów; wiedział wszystko, co człowiek wiedzieć może na temat mieszania win; grał na pół tuzinie instrumentów muzycznych i był pierwszą osobą, a może i ostatnią, która przypiekała kanapki z serem w olbrzymim włoskim kominku. Nie odróżniał pelargonii od goździka, dębu od buka, mastyfa od charta, owcy jednorocznej od jagnięcia, owsa od jęczmienia, ziemi ornej od ugoru; nie słyszał o płodozmianie; sądził, iż pomarańcze rosną w ziemi, a rzepy na drzewach; nade wszystko cenił krajobraz miejski -

wszystkie

61

te, i inne sprawy wielce zdumiały Orlanda, który nigdy wcześniej nie spotkał tego rodzaju osoby. Nawet pokojówki, które go nie znosiły, chichotały z jego dowcipów, a służący, którzy nie znosili go jeszcze bardziej, kręcili się w pobliżu, by posłuchać tych opowieści. Jeszcze nigdy dom tak nie kipiał witalnością - co dało Orlandowi wiele do myślenia, skłoniło do porównania swego dawnego sposobu życia z obecnym. Przypomnił sobie rozmowy o apopleksji króla hiszpańskiego bądź oszczerzeniu się suki, do jakich to konwersacji był nawykły; uzmysłowił sobie, że dzień mijał pomiędzy stajnią a szafą garderobianą; przypomnił sobie, jak lordowie chrapali nad winem i nie znosili, by ich kto budził. Uzmysłowił sobie, jak byli czynni i dzielni na ciele, jak leniwi i lękliwi na umyśle. Zmartwiony tymi przemyśleniami, niezdolny rozsądnie wypośrodkować, doszedł do wniosku, że wpuścił w swe progi morowego ducha niepokoju, który będzie po wsze czasy zakłócał mu sny.

W tej samej chwili Nick Greene doszedł do wniosku wręcz przeciwnego. Leżąc w porannej pościeli, na najmniejszych poduszkach wśród najgładszych kołder, wyglądając przez mansardowe okno na murawę, która przez trzy stulecia nie zaznała ni mlecza, ni łopianu, pomyślał, że jeśli nie zdoła się w jakiś sposób wymknąć, udusi się żywcem z braku powietrza. Wstając i słysząc gruchanie gołębi, ubierając się i słysząc szmer fontann, pomyślał, że dopóki nie usłyszy turkotu dwukółki na bruku Fleet Street, nie napisze ani jednej linijki. Jeśli to potrwa jeszcze dłuższy czas, pomyślał - lokaj w sali obok dokładał do ognia i nakrywał do stołu zapadną w sen i (tu ziewnął siarczyście) we śnie umrę.

Odnalazł zatem Orlanda w jego pokoju i wyjaśnił, że całą noc nie zmrzył oka z powodu ciszy. (Rzeczywiście, dom był otoczony parkiem o obwodzie piętnastu mil i murem wysokim na dziesięć stóp). Cisza, powiedział, jest dla jego nerwów rzeczą najprzykrzejszą. Zakończy swą wizytę, za pozwoleniem Orlanda, jeszcze tego ranka. Orlando odczuł pewną ulgę, lecz także wielką niechęć, by pozwolić mu

62

odejść. Dom, pomyślał, stanie się bez niego pusty. Przy rozstaniu (bowiem wcześniej nie było stosownej chwili, by o tym wspomnieć) zdobył się na śmiałość i wcisnął poecie swą sztukę o śmierci Herkulesa, prosząc o zdanie. Poeta zabrał sztukę; bąknął coś na temat Gloir i Cyclerona, lecz Orlando wszedł mu w słowo, obiecując wypłacać kwartalnie rentę; na co Greene, wzbraniając się tkliwymi słowy, wskoczył do powozu i już go nie było.

Gdy dyliżans odjechał, sala bankietowa jeszcze nigdy nie wydawała się tak wielka, tak okazała i tak pusta. Orlando wiedział, że nigdy nie znajdzie dość serca do przypiekania kanapek z serem we włoskim kominku. Nigdy nie nastarczy mu konceptu, by sypać dowcipami na temat włoskiego malarstwa; nigdy nie nastarczy mu zręczności, by mieszać poncz jak się należy; nie dane mu będą tysiące ciętych żartów i uszczypliwości. Jednak co za ulga nie słyszeć już tego swarliwego głosu, co za rozkosz być znów samemu, pomyślał Orlando wbrew sobie, uwalniając mastyfa z postronka; pies był przywiązany przez całe te sześć tygodni, gdyż na widok poety zawsze rzucał się na niego z zębami.

Nick Greene wysiadł tego samego popołudnia na rogu Fetter Street i znalazł wszystko z grubsza po staremu, znaczy się jejmość Greene rodziła w jednym pokoju dziecko, a Tom Fletcher pił w innym gin. Po podłodze wały się książki; kolację - o ile tak się to zwać godzi - podano na toaletce, na której dzieci zostawiły babki z piasku. Ale taka właśnie atmosfera sprzyja pisaniu; do czego się zaraz zabrał. Temat miał znakomity: *Magnat na zagrodzie* lub *W gościnie na magnackim dworze* - tak

zatytułuje swój nowy poemat. Złapawszy za pióro, którym jego synek łaskotał kota za uszami, i zanurzwszy je w kokilce, która służyła za kałamarz, Greene od ręki wysmażył pełną werwy satyrę. Baczył przy tym, aby nikt nie mógł mieć najmniejszych wątpliwości, kim jest ofiara jego prześmiewek. Najintymniejsze powiedzenia i nawyki Orlanda, jego zachcianki i dziwactwa, układały się w szczegółowy portret, aż po kolor włosów i z fran

63

cuska gardłowe „r”. Jakby tego było mało, Greene bez większych osłonek przytoczył całe fragmenty z arystokratycznej tragedii *Śmierć Herkulesa*, która przerosła jego najgorsze oczekiwania: arcypompacyjne pustosłowie.

Pamflet, który znalazł nabywców na kilka kolejnych wydań i przyniósł środki na pokrycie kosztów dziesiątego połogu jejmość Greene, wkrótce trafił w ręce samego Orlanda, przysłany przez życzliwych mu znajomych. Gdy przeczytał, od pierwszego do ostatniego słowa nie mrugnawszy nawet powieką, zadzwonił po lokaja; podał mu druk na wyciągnięcie szczypiec; polecił wrzucić w najplugawszą otchłań najsmrodliwszego śmietniska w całym majątku. Gdy lokaj odwracał się do wyjścia, zatrzymał go.

- Weźmiesz najściągłego konia w stajni - powiedział - i popędzisz na śmierć i życie do Harwich. Tam wsiądziesz na statek, który płynie do Norwegii. W psiarni samego króla kupisz najlepsze ogary królewskiej rasy, obojga płci. Przywieziesz je bez zwłoki. Bowiem - mruknął, wracając do swych książek, niemal niedosłyszalnie skończyłem z ludźmi.

Lokaj, który doskonale znał swe obowiązki, skłonił się i zniknął. Zadanie swe spełnił tak sprawnie, że nie minęły trzy tygodnie, a przywiódł na smyczy najwspanialsze ogary; jeszcze tego samego wieczoru suka porodziła pod stołem jadalnym miot ośmiu szceniąt. Orlando kazał je przenieść do swej sypialni.

- Bowiem - powiedział - skończyłem z ludźmi. Rentę wszakże wypłacał kwartalnie.

A zatem, w wieku lat z grubszą biorąc trzydziestu, ten młody magnat nie tylko zaznał wszelkich doświadczeń, jakie niesie z sobą w darze życie, ale i przekonał się, że wszystkie są bezwartościowe. Miłość i ambicja, kobiety i poeci to jednak marność. Literatura to farsa. W nocy po przeczytaniu satyry Greene' a *W gościnie na magnackim dworze*, zapalił wielkie ognisko z pięćdziesięciu siedmiu dzieł poetyckich, zatrzymując tylko *Dqb*, bowiem ten króciutki wiersz był ma

64

rzeniem jego dzieciństwa. Zostały już tylko dwie rzeczy, w których pokładał ufność: psy i natura; ogar i krzew róży. Jakże się skurczył świat, w całej swej różnorodności, życie w całej swej złożoności. Psy i krzew wyznaczały granice świata i życia. Czując, że wyrwał się spod potężnych zwałów iluzji i jest zupełnie obnażony, przywołał do siebie psy i ruszył przez park.

Tak długo przebywał w odosobnieniu, pisząc i czytając, że na poły zapomniał słodycze natury, w czerwcu tak świetne. Kiedy dotarł na to wysokie wzgórze, z którego w pogodne dni widać połowę Anglii ze skrawkiem Walii i Szkocji, cisnął się pod swój ulubiony dąb i poczuł, że jeśli do końca swych dni nie będzie potrzebował rozmawiać z innym człowiekiem; jeśli jego psy nie nauczą się ludzkiej mowy; jeśli już nigdy nie spotka poety ani księżniczki, przepędzi pisane mu lata życia w jako takim ukontentowaniu.

Przychodził w to miejsce dzień po dniu, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku. Widział, jak złocą się buki i prężą młode paprocie; widział sierp, potem tarczę księżycy; widział - ale czytelnik może sobie chyba wyobrazić dalszy ciąg opisu, gdzie wszystkie drzewa i rośliny w okolicy są w pierw zielone, później złote; wschodzą księżyce i zachodzą słońca; po zimie przychodzi wiosna, a po lecie jesień; po dniach nastają noce; a po nocach dnie; po burzy jest piękny czas; niewiele się zmienia przez dwieście czy trzysta lat, prócz odrobiny kurzu i kilku pajęczyn, które jedna staruszka potrafi zamieść w pół godziny; trudno oprzeć się wrażeniu, iż do tego samego wniosku można było dojść, stwierdziwszy po prostu, że „Czas mijał” (w nawiasie można by podać dokładne daty) i nic się nie wydarzyło.

Jednak choć czas każe zwierzętom i roślinom zakwitać i gasnąć z tak zdumiewającą punktualnością, na umysł człowieka nie działa niestety tak prosto. Ponadto, umysł człowieka wywiera równie osobliwy wpływ na cielsko czasu. Jedna godzina, jeśli zagnieździ się w niepojętym żywiole ludzkiego ducha, rozciąga się niekiedy do stokrotności swej

miary zegarowej; z drugiej strony, czasomierz umysłu potrafi akuratnie przedstawić upływ jednej godziny za pomocą jednej sekundy. Ta niebywała rozbieżność między czasem na zegarze a czasem w umyśle jest mniej znana, aniżeli na to zasługuje i powinna zostać bliżej zbadana. Jednakże żywotopis, którego zainteresowania są, jak już powiedzieliśmy, znacznie zawężone, musi ograniczyć się do jednego prostego stwierdzenia: kiedy ktoś, jak Orlando, osiągnął wiek lat trzydziestu, czas myślenia staje się niezmiernie długi, czas czynienia - niezmiernie krótki. Orlando wydawał zatem polecenia i zarządzał swym ogromnym majątkiem w oka mgnieniu; lecz gdy był sam na wzgórzu pod dębem, sekundy wzbierały i pęczniały do takich rozmiarów, iż zdawało się, że ich krople nigdy nie spadną. Co więcej, pęczniały od przedmiotów przedziwnie różnorodnych. Bowiem nie tylko stawały przed nim problemy, pod którymi ugięły się najmędrsi, chociażby: „Cóż jest miłość? Cóż przyjaźń? Cóż prawda?"; lecz z chwilą, gdy zaczął o nich myśleć, cała jego przeszłość, która wydawała mu się wyjątkowo długa i różnorodna, wsączała się w spadającą sekundę, nadymała ją po dziesięćkroć w stosunku do naturalnych rozmiarów, barwiła tysiącem odcieni i wypełniała wszelkimi nieczystościami wszechświata.

Na takim myśleniu (czy jakkolwiek to nazwiemy) przepędzał całe miesiące i lata swego życia. Nie będzie przesadą rzec, że wychodził po śniadaniu jako trzydziestolatek, a wracał na kolację jako co najmniej pięćdziesięciopięcioletek. Niektóre tygodnie przydawały jego metryce całego stulecia, inne w najlepszym razie trzech sekund. Razem to wszystko wzięwszy, zadanie zmiarkowania ludzkiej długowieczności (o zwierzętach nie mamy odwagi mówić) jest ponad nasze siły, bowiem z chwilą, gdy powiemy, że żywot trwa wieki, przypomina się nam, iż jest krótszy aniżeli sfrunięcie płatka róży na ziemię. Z dwóch mocy, które na przemian, a co jeszcze uciążliwsze, niekiedy jednocześnie owładają naszymi nieszczęsnymi czerepami - ulotność i rozwlekłość - Or

lando raz był pod wpływem bóstwa na słoniowych nogach, raz pod wpływem efemerycznej istoty na skrzydłach muchy. Życie zdawało mu się przeogromnie długie, a przecież mijało w okamgnieniu. Nawet gdy ciągnęło się bez końca, chwile pęczniały do granic możliwości, a on zdawał się kroczyć samotnie przez pustkowiec bezkresnej wieczności, nie było czasu na wygładzenie i odcyfrowanie tych gęsto zapisanych pergaminów, które trzydzieści lat spędzonych pośród ludzi ciasno zwinęło w jego sercu i umyśle. Na długo zanim skończył myśleć o miłości (dąb zdążył tuzin razy wypuścić liście i strząsnąć je na ziemię), musiała ustąpić pola ambicji, potem przyjaźni lub literaturze. A skoro pierwsze pytanie „Cóż jest miłość?” nie zostało rozstrzygnięte, powracało za najdrobniejszym podszeptem lub nawet samowolnie, spychając księgi, metafory czy „Po co człowiek żyje” na margines, a te znów czekały na każde osłabienie czujności rywala. Rozważania te były dłuższe, ponieważ bogato ilustrowane, nie tylko obrazami, jak choćby starej królowej Elżbiety, wyciągniętej na tapiserii swego łoża w szacie z różowego brokatu (tabakiera z kości słoniowej w dłoni i miecz o złotej rękojeści u boku), lecz także zapachami - była mocno uperfumowana - i dźwiękami: tego zimowego dnia w parku Richmond ryczały jelonki. A zatem myśl o miłości była zatopiona jak w bursztynie, w śniegu i zimie; w ogniu płonącym w kominkach; w rosyjskich kobietach, złotym mieczach i ryku jelonków; w siorbanii starego króla Jakuba, sztucznych ogniach i workach skarbów w ładowniach elżbietańskich żaglowców. Każdą jedną rzecz, którą próbował wyjąć z jej miejsca w umyśle, znalazł tak oblepioną inną materią jak bryła szkła, która po roku na dnie morza obrosła kośćmi i ważkami, monetami i warkoczami utopionych kobiet.

- Jeszcze jedna metafora, na Jowisza! - zakrzyknął, gdy to powiedział (co pokaże, jak nieporządnie i pokrętnie pracował jego umysł i wyjaśni, dlaczego dąb tyle razy wypuszczał i zrzucał liście, zanim Orlando doszedł do jakichś wniosków na temat miłości). - I jakież m Boa scos?

66 ~ 67

pytał siebie samego. - Dlaczego nie powiedzieć po prostu i zwyczajnie... - tu myślał przez pół godziny (czy też może przez dwa i pół roku?) jak po prostu i zwyczajnie powiedzieć, czym jest miłość. - Powyższa figura jest jawnie fałszywa - wywodził - albowiem żadna ważka, chyba że w zupełnie wyjątkowych okolicznościach, nie mieszkałaby na dnie morza. A jeśli literatura nie jest oblubienicą i nałożnicą prawdy, to czymże jest? - Niech to wszyscy diabli! - zakrzyknął. - Czemu mówić nałożnicą, jeśli powiedziało się już oblubienicą? Czemu po prostu nie powiedzieć, co się ma na myśli i mieć to z głowy?

Spróbował zatem powiedzieć, że trawa jest zielona, a niebo niebieskie, a tym samym przebłagać srogiego ducha poezji, wobec którego nadal, choć z wielkiej oddali, żywił cześć. - Niebo jest niebieskie - mówił - trawa zielona. Unosząc wzrok ujrzał, że, na wspaniałym, niebo jest jak chusty, które madonny tysiącami upuściły z włosów, a trawa mieni się i ciemnieje jak stadko dziewczyn umykających z zaczarowanego lasu przed objęciami włochatych satyrów. - Na me słowo - powiedział (gdyż nabrał niedobrego nawyku mówienia na głos) - nie widzę, by jedno było prawdziwsze od drugiego. Oba są z gruntu fałszywe. - Zdjęła go rozpacz, iż nie potrafi rozwiązać zagadnienia, czym jest poezja, a czym prawda i popadł w głębokie strapienie.

Skorzystamy z tej przerwy w monologu, by zadumać się, jakie to dziwne, że Orlando leżał tego czerwcowego dnia wsparty na łokciu; by zadumać się, czemu taki wspaniały, rozumny człowiek o zdrowym ciele, rumianych policzkach i tęgich kończynach - człowiek, który nigdy nie wahał się poprowadzić szarżę czy stanąć do pojedynku - był tak podatny na letarg umysłu, wręcz wobec niego bezradny, bowiem gdy pojawiło się pytanie o poezję czy też o Orlandową umiejętność składania rymu, tracił wszelką śmiałość jak mała dziewczynka w wiejskiej chacie, która nie może uchwycić się rąbka matki spódnicy. W naszym mniemaniu wydrwienie przez Greene'a jego tragedii zabolowało go równie

68

silnie jak wydrwienie przez księżniczkę jego miłości. Wróćmy jednak do sedna naszej historii.

Orlando nie ustawał w myśleniu. Patrzył na trawę, patrzył na niebo i usiłował wykoncypować, co powiedziałby o nich prawdziwy poeta, który drukuje swe wiersze w Londynie. Tymczasem pamięć (której obyczaj zostały już opisane) bez ustanku trzymała przed jego oczyma twarz Nicholasa Greene'a, jakby ten sardoniczny mężczyzna o grubych wargach, który dowiódł swej zdradliwości, był muzą we własnej osobie i jemu Orlando winien był składać hołd. Orlando skierował więc do niego w ten letni poranek wiele zwrotów zarówno prostych, jak i kunsztownych, lecz Nick Greene potrząsał szyderczo głową, mrużąc coś o Głotr, Cyceronie i śmierci poezji w naszych czasach. Nareszcie, powstawszy na nogi zmarznięty (była już zima), złożył jedną z najważniejszych przysiąg swego życia, oddał się bowiem w niewolę, od której próżno szukać moźolniejszej.

- Niech szczenę - powiedział - jeśli napiszę, bądź spróbuję napisać jeszcze choć jedno słowo dla rozrywki Nicka Greene'a czy muzy. Dobrze, źle bądź nijak, od dziś dnia będę pisał dla rozrywki swojej własnej. - Tu uczynił gest, jakby

potargał cały stos papierów i cisnął je w twarz tego szyderczego człowieka o grubych wargach. Gdy zamachnąc się na kundla kamieniem, podwija pod siebie ogon i umyka; z pamięci Orlanda umknął wizerunek Nicka Greene'a, a na jego miejsce nie przyszło nic nowego.

Jednakże Orlando nadal nie ustawał w medytacjach. Miał zresztą wiele do myślenia. Bowiem kiedy podarł swe manuskrypty, od razu również podarł opatrzony herbem zwój, który wystawił sobie samemu w samotności swego pokoju, mianując się, jak król mianuje ambasadorów, najpierwszym poetą swego narodu, najpierwszym pisarzem swej epoki, nadając swej duszy wiekuiącą nieśmiertelność, a swemu ciału grobowiec uwieńczony wawrzynami i nieuchwytnymi porpcami wiecznej czci narodu. Mimo tak podniosłej wymowy, podarł zwój i wrzucił do paki na śmieci.

69

- Sława - powiedział - jest jak - ponieważ nie było Nicka Greene'a, by go powstrzymał, począł folgować metaforom, z których wybierzemy tylko parę powściągliwszych - kaftan bezpieczeństwa, co pęta członki; jak koleczuga, co skuwa serce; jak malowana tarcza, co osłania stracha na wróble - i tak dalej, i tak dalej. Sedno tych wynurzeń jest następujące: podczas gdy sława ogranicza oraz stawia przeszkody, zapomnienie spowija człowieka jak mgła; zapomnienie jest mroczne, szczodre i swobodne; zapomnienie pozwala umysłowi bez przeszkód podążać swą drogą. Człowieka zapomnianego mrok miłosiernie pograża w swych odmętach. Nikt nie wie, dokąd człowiek ten zmierza lub skąd przybywa. Może poszukiwać prawdy i ją wypowiedzieć; tylko on jest wolny, tylko on jest prawdomówny, tylko on jest ze sobą w zgodzie. Zatopił się zatem w pogodnym nastroju, pod dębem, którego twarde, obnażone korzenie zdały mu się wygodnym siedziskiem.

Zatopiony przez długi czas w głębokich myślach, które tyczyły wartości bezpieczeństwa i rozkoszy bezimienności, bycia jak fala, która powraca do ogromnej macierzy morza; ujęty refleksją, że umysłu człowieka zapomnianego nie drażnią zazdrość i zawiść; że zapomnienie rozpędza w żyłach swobodne nurty szlachetności i wielkoduszności; pozwala dawać i brać bez podziękowań i czołobitności; a tacy byli chyba wszyscy wielcy poeci (choć jego znajomość greki była zbyt słaba, by mógł sobie potwierdzić to przypuszczenie), tak, jak sądził, musiał pisać Szekspir, tak musieli budować budowniczkowie, bezimiennie, nie potrzebując ni hołdów, ni podziękowań, lecz tylko pracy za dnia i być może odrobiny piwa wieczorem. Jakież to podziwu godne życie - pomyślał, rozprostowując nogi pod dębem. - Czemu nie zaznać go od razu, w tej chwili? Myśl ta uderzyła go jak pocisk. Ambicja runęła jak ciężarek sondy. Wyswobodzony ze zgagi wzgardzonej miłości, zranionej próżności i wszystkich innych ukłuc i użądleń, jakimi godziło w niego usłane pokrzywami życie, gdy pożądał sławy, otworzył oczy, które były

cały czas otwarte, lecz widziały tylko myśli, i ujrzał, w dole pod wzgórzem, swój dom.

Stał tam we wczesnych promieniach wiosennego słońca. Wyglądał raczej jak miasto niż jak dom, ale miasto zbudowane nie bez ładu i rozmysłu, wedle kaprysu raz tego, raz owego człowieka, lecz roztropnie, przez jednego architekta, któremu przyświeca jedna idea. Dziedzińce i budynki, szare, czerwone, śliwkowe, stały w należyтым porządku i symetrycznie; dziedzińce były raz okrągłe, raz prostokątne; na tym tryskała fontanna, na tamtym wznosił się pomnik; budynki były raz niskie, raz strzeliste; tu stała kaplica, tam dzwonnica; pośrodku zieleniła się trawa, pięły w niebo cedry, skrzyły barwami kwiaty; całość była objęta uściskiem potężnego muru, lecz tak dobrze rozplanowana, że wszystko miało dość miejsca, by się wygodnie usadowić; z niezliczonych kominów bezustannie wił się dym. Ta ogromna, lecz uporządkowana budowla, która mogła pomieścić tysiąc ludzi i dwa tysiące koni, została wzniesiona, jak sądził Orlando, przez bezimiennych rzemieślników. Żyli tutaj, przez więcej stuleci, niż potrafię zliczyć, zapomniane pokolenia mego zapomnianego rodu. Żadne z tych Ryszardów, Janów, Ann, Elżbiet nie zostawiło po sobie świadectwa swej własnej osoby, wszyscy jednak, robiąc szpadlami i igłami, kochając się i rodząc dzieci, pozostawili ten dom.

Jeszcze nigdy dom nie wyglądał szlachetniej, bardziej ludzko. Czemu zatem pragnął wynieść się ponad tych ludzi? Zdało mu się próżne i w najwyższym stopniu zarozumiałe próbować prześcignąć to bezimienne dzieło stworzenia, trud owych znikniętych dłoni. Lepiej być nieznanym i pozostawić po sobie kamienny łuk, piwniczkę, mur, na którym dojrzewają brzoskwinie, aniżeli spłonąć jak meteor, nie pozostawiając ani pyłka.

- Przecież - powiedział wzruszony, patrząc na wielki dwór uspiiony pośród zieleni - nieznanymi lordowie, którzy tam mieszkali, nigdy nie zapomnieli odłożyć czegoś dla tych, którzy przyjdą po nich, aby mieli za co naprawić ciek

70 ~ 71

nący dach, usunąć zwalone drzewo. W kuchni zawsze czekał ciepły kąpiel dla starego pasterza, jadło dla głodnych. Ich puchary były zawsze wypolerowane, choć zmogła ich choroba, a okna oświetlone, choć leżeli na łożu śmierci. Choć liczyli się między lordów, gotowi byli popaść w zapomnienie razem z kretolapem i murarzem. Zapomniani lordowie, bezimienni budowniczkowie - tak ich opiewał ze wzruszeniem zadającym zupełny kłam tym z krytyków, którzy nazywali go zimnym, obojętnym, gnuśnym (prawda jest taka, że cecha, której szukamy, często leży tuż po drugiej stronie muru); tak opiewał swój dom i ród z wyborną elokwencją. Kiedy jednak przyszło do *peroratio* - a czymże jest mowa bez *peroratio* - zająknął się. Pragnąłby zakończyć zgrabną figurą, w której wyraziłby chęć pójścia w ich ślady i dołożenia swej cegiełki do ich budowli. Ponieważ budowla już teraz zajmowała powierzchnię siedmiu akrów, dołożenie choćby jednej cegiełki wydawało się zbyt ciężkie. Czy w *peroratio* można wspomnieć o sprzętach? Czy można mówić o krzesłach, stołach i chodniczkach wzdłuż łóżek? Albowiem czego wymaga *peroratio*, tego zarazem potrzebuje dom. Pozostawiwszy na razie mowę nie dokończoną,

zszedł ze wzgórza, zdecydowany poświęcić się odtąd wyposażeniu dworu. Gdy na polecenie Orlanda stawiała się u jego boku jejmość Grimsditch, już nieco postarzała, w jej oczach zaświeciły łzy. Ramię w ramię przechadzali się po domu.

Wieszak na ręczniki w kształcie konia w sypialni króla („Mój Boże, to był przecież król Kuba”, powiedział, sugerując, że upłynęło już wiele dni od czasu, gdy pod ich dachem nocował król; jednakże okropne czasy parlamentowania minęły i Anglia znów miała Koronę) miał tylko trzy nogi; w gabinecie wiodącym do pokoju pania księżniczki nie było stojaków na dzbany; kopiąc swą wstrętną fajkę, imć Greene zrobił plamę na dywanie, której jejmość Grimsditch i Judy, choć szorowały jak najęte, nie zdołały usunąć. Kiedy przyszło porachować, ile wyniesie urządzenie wszystkich trzystu sześćdziesięciu pięciu sypialni domu pali

sandrowymi krzesłami i cedrowymi komodami, srebrnymi miednicami, porcelanowymi misami i perskimi dywanami, ujrzał, że sprawa nie będzie łatwa; jeżeli ostanie się kilka tysięcy funtów z jego majątku, starczy jedynie na zawieszenie kilku korytarzy tapiseriami, ustawienie misternie rzeźbionych krzesel w jadalni i zaopatrzenie królewskich komnat sypialnych w lustra ze szczerzego srebra i krzesła z tego samego kruszcu (do którego żywił pozbawioną umiaru namiętność).

Zabrał się gorliwie do pracy, czego niezaprzeczalny dowód znajdziemy w jego księgach rachunkowych. Rzućmy okiem na wykaz ruchomości, które w owym czasie nabył, pomijając zanotowane na marginesie wydatki.

- Nadto, pięćdziesiąt sztuk hiszpańskich koców, tyleż zasłon z karmazynowej i białej tafty, do nich lambrekiny z białej satyny wyszywane karmazynowym i białym jedwabiem.

- Nadto, siedemdziesiąt złotych satynowych krzesel i sześćdziesiąt taboretów, wraz ze stosownymi pokrowcami z klejlonki.

- Nadto, sześćdziesiąt siedem stołów z orzecha.

- Nadto, siedemnaście tuzinów skrzyń, a w każdym tuzinie pięć tuzinów weneckich szklanicy.

- Nadto, sto i dwa chodniki, każdy długości trzydziestu jardów.

- Nadto, dziewięćdziesiąt siedem poduszek z karmazynowego adamaszku, obrębionych srebrną koronką, nadto podnóżki z tkaniny i stosowne krzesła.

- Nadto, pięćdziesiąt kandelabrow na tuzin świec każdy.

Już zaczynamy ziewać, tak bowiem na nas działa każdy spis: Przerwywamy tylko dlatego, że katalog jest nużący, nie dlatego, że na tym się kończy. Liczy dalsze dziewięćdziesiąt stron, a cała wydatkowana suma wyniosła wiele tysięcy czyli całe miliony na nasze pieniądze. Jeśli zaś tak mijał dzień, nocą lord Orlando koncyptował, ile kosztowałoby

72 ~ 73

zrównanie z ziemią miliona krecich nor, jeśliby zapłacić ludziom dziesięć pensów za godzinę; bądź znowuż ile pudów gwoździ po pięć i pół pensa za ćwierć kwarty potrzeba na naprawę płotu wokół parku, który miał piętnaście mil obwodu. I tak dalej, i tak dalej.

Historia, jak powiadamy, jest nużąca, bowiem jeden kredens mało się różni od drugiego, a jedna krecia nora od miliona innych. Odbył przy okazji wiele miłych podróży, zaznał pięknych przygód. Tak na przykład znalazł zajęcie całemu miastu ślepych koronczarek pod Brugią, by zszyły mu zasłonę do łoża ze srebrnym baldachimem; ciekawa mogłaby też być opowieść o jego przygodzie z Maurem w Wenecji, od którego kupił (lecz dopiero dobywszy miecza) sekretarę z laki. Dzieła urządzania domu nie brakowało też różnorodności. Oto nadjeżdżały bowiem, ciągnione przez zaprzęgi końskie z Sussex, wielkie drzewa, które piłowano wzdłuż i układano w posadzki na korytarzach; to znów skrzynia z Persji, wypchana wełną i trocinami, z której mozolnie wyjmował jeden jedyny talerz czy pierścień z topazem.

Nadszedł jednak dzień, kiedy w salach nie było już miejsca na kolejny stół; na stołach na kolejną konsolę, na konsolach na kolejną misę; w misach na kolejną garść *pot-pourri*\*; na nic nigdzie nie było miejsca; innymi słowy, dom był urządzony. W ogrodzie śnieżyczki, krokusy, hiacynty, magnolie, róże, lilie, astry, dalia we wszelkich odmianach, grusze, jabłonie, wiśnie i morwy, jak też niezwykła różnorodność rzadkich, zakwitających krzewów, drzew i roślin wiecznie zielonych; tak gęsto oplatały się wzajemnie korzeniami, że nie było ni skrawka jałowej ziemi, ni skrawka nie ocienionej murawy. Nadto sprowadził dzikie ptactwo o barwnym upierzeniu i dwa malajskie niedźwiedzie, które za hardością obyczajów skrywały, był przekonany, wierne i poczciwe serca.

Wszystko było gotowe. Kiedy zapadał wieczór, kiedy wnętrza rozświetlały niezliczone srebrne lichtarze, a deli

\* Mieszanina płatków róż, aromatycznych korzeni i ziół.

katne powiewy błędzące korytarzami marszczyły niebieskie i zielone arrasy (myśliwi zdawali się cwałować, a Dafne umykać); kiedy srebra błyszcząły, laka świeciła, a drwa płonęły; kiedy rzeźbione fotele rozpościerały zapraszająco ramiona, a na ścianach pływały delfiny z syrenami na grzbietach; kiedy to i wszystko inne było gotowe wedle jego upodobania, Orlando przemaszerował korytarzami w asyście ogarów i uczuł w duszy radość. Miał już kanwę, na której osnuje swe *peroratio*. Być może lepiej będzie zacząć mowę od początku. Przechadzając się po domu odniósł jednak wrażenie, że czegoś jeszcze brakuje. Fotele i stoły, choćby najbogaciej złożone i rzeźbione, sofy, wsparte lwimi łapami na smukłych łabędzich sztychach, łoża choćby z najmniejszego łabędziego puchu, same w sobie nie wystarczą. Niebawem dodają im waloru ludzie,

którzy na nich siedzą, którzy w nich leżą. Orlando urządził zatem co niemiara niezwykle wystawnych balów dla okolicznej magnaterii i szlachty. Trzysta sześćdziesiąt pięć sypialni rzadko stało pustych. Goście przepychali się na pięćdziesięciu dwóch schodach. Trzystuosobowa czeladź uwijała się w spiżarniach. Bankiety wydawano niemal co wieczór. Nic zatem dziwnego, że aksamit wkrótce się wyświecił, a Orlando wydał połowę swego majątku. Zyskał jednak szacunek sąsiadów, pełnił w hrabstwie z tuzin urzędów i rokrocznie obdarowywany był tyłomazami tomami poezji, które wdzięczni poeci dedykowali jego lordowskiej mości dość wylewnymi słowami. Choć bowiem strzegł się przed wchodzeniem w zażyłość z pisarzami i trzymał się z dala od kobiet obcej krwi, zarówno kobietom, jak i poetom okazywał niezwyklej hojność, za którą płacono mu uwielbieniem.

Lecz kiedy goście ucztowali i swawolili w najlepsze, Orlando często uciekał w zacisze swego pokoju. Kiedy zamknęły się zań drzwi i mógł mieć pewność, że nikt mu nie zakłóca samotności, wyjmował stary manuskrypt, którego karty zeszyte były jedwabną nicią skradzioną z matczynej przybornika, a na tytułowej stronie widniał skreślony chłó

74 [ 75

pięcą ręką napis: *Dąb. Poemat wierszem*. Pisał na tych kartach, póki wybiła północ bądź jeszcze dłużej. Jako że z równą pasją wykreślał zapisane wersy, pod koniec roku bywało ich znacznie mniej niż na początku, toteż wyglądało, że w trakcie tworzenia wiersz zmierza ku unicestwieniu. Historykowi literatury przystoi zauważyć, że niebywale zmienił się styl Orlanda. Kwiecistość została ukrócona; wielosłowie powściągnięte; gorące krynice krzepły w epoce prozy. Sam pejzaż dokoła mniej spływał girlandami, dzikie róże mniej się gęstwiły i jeżyły kolcami. Być może zmysły nieco stępsiały, a miód i śmietanka mniej kusily podniebienie. Nie można wątpić, że na zmianę stylu wywarła też wpływ lepsza kanalizacja ulic i lepsze oświetlenie domów.

Pewnego dnia z wielkim mozołem zapisywał w kajecie - *Dąb. Poemat wierszem*. - kolejnych parę linijek, gdy w kąci jego oka zagościł cień. Nie był to cień, jak się wkrótce przekonał, lecz postać bardzo wysokiej damy w czapce jeździeckiej i mantyli, która szła dziedzińcem pod jego oknami. Jako że był to najbardziej wewnętrzny z dziedzińców, a dama zupełnie mu nie znana, Orlando nie mógł pojąć, jak się tu dostała. Trzy dni później ujrzał tę samą zjawę, a w środę w południe ponownie. Tym razem Orlando ruszył w jej ślady, a ona najwyraźniej nie obawiała się zdemaskowania, jako że zwołała kroku i spojrziała mu prosto w oczy. Każda inna kobieta przychycona na prywatnych gruntach jego lordowskiej mości by się lękała; każda inna kobieta o tej twarzy, nakryciu głowy i aparycji naciągnęłaby mantylę na głowę, aby skryć swe oblicze. Bowiem dama niczego bardziej nie przypominała aniżeli zająca; zająca zaskoczona, lecz upartego; zająca, nad którego płochliwością zwycięża wielka i nieroztropna czupurność; zająca, który siedzi na tylnych łapach i wbija w swego prześladowcę wielkie wylupiaste ślepia; butnie nastroszone uszy dygoczą, czujny nos drży. Ten jednak zając liczył sześć stóp wzrostu, do czego należy dodać staromodne nakrycie głowy. Dopełziona dama zmierzyla Orlanda spojrzeniem, w którym zmagaly się ze sobą płochliwość i czupurność.

Wpierw poprosiła, z należnym, choć nieco niezgrabnym dygnięciem, o wybaczenie za najście. Po czym, prężąc się znów na wysokość bodaj sześciu stóp i dwóch cali, oznajmiła - z takim jednak szczebiotem i nerwowym chichotaniem, iż Orlando sądził, że ma przed sobą zbiega z przytułku dla obłąkanych - że zwie się arcyksiężna Harriet Griselda von Finster-Aarhorn Scand-op-Boom, włości rumuńskich. Ponad wszystko pragnie zawrzeć z nim znajomość, rzekła. Wynajęła pokoje nad piekarnią w Park Gates. Widziała jego obraz i dostrzegła w nim wizerunek swej siostry, która - hi, hi! ho, ho! - dawno zmarła. Przebywa z wizytą na dworze angielskim. Jest kuzynką królowej. Król jest człowiekiem bardzo poczciwym, lecz rzadko kładzie się spać trzeźwy. Tu znów zaśmiała się i zachichotała. Słowem, nie było rady, jak tylko zaprosić ją do środka i poczęstować szklanicą wina.

Pod dachem jej maniry odzyskały wyniosłość przyrodzoną rumuńskiej arcyksiężnej, toteż rozmowie zagroził brak spontaniczności; szczęściem dała się poznać jako znawczyni win, co u kobiet rzadkie, jak również poczyniła pewne uwagi na temat broni palnej i obyczajów sportowych w swym kraju. Zerawszy się wreszcie na nogi, oznajmiła, że przyjdzie z wizytą nazajutrz, znów dygnęła zamasyście i opuściła pałac. Nazajutrz Orlando wybrał się na konną przejażdżkę; następnego dnia odwrócił się plecami; trzeciego dnia zaciągnął zasłonę. Czwartego padało, a że nie mógł pozwolić, by dama zmkła i nie było mu też niemiłe jej towarzystwo, zaprosił ją do środka i zasięgnął jej opinii w kwestii, czy odziedziczona po przodku zbroja została wykonana przez Jacobiego czy Toppa. Skłaniał się ku Toppowi. Rozmówczyni była odmiennego zdania - bardzo mało istotne, jakiego. Pewne znaczenie dla naszej opowieści ma to, że, ilustrując swój wywód dotyczący działania części do

76 [ 77

datkowych, arcyksiężna Harriet przymierzyła złoty nagolennik do nogi Orlanda.

Już zostało powiedziane, że posiadał parę najkształniejszych nóg, jakie kiedykolwiek nosiły szlachcica.

Może zawinił sposób, w jaki zapięła sprzączkę na kostce, bądź jej przykucnięta postawa, bądź długie odosobnienie Orlanda, bądź naturalne przyciąganie płci, bądź burgund, bądź ogień w kominku - zawinić mogła każda z tych przyczyn; z pewnością bowiem trzeba mówić o winie, gdy magnat krwi Orlanda, przyjmując w swym domu damę, damę wiele lat od siebie starszą, o twarzy długiej na jard i wylupiastych oczach, do tego odzianą cokolwiek idiotycznie, w mantylę i płaszcz



jeździecki, mimo ciepłej pory roku - trzeba mówić o winie, gdy magnatem owym tak nagle i gwałtownie owłada namiętność, że musi wyjść z pokoju.

Jakiego rodzaju namiętność, mógłby ktoś spytać? Odpowiedź jest dwulicowa jak miłość sama. Bowiem miłość ale zostawmy na chwilę miłość w spokoju, gdyż właściwe zdarzenie przedstawiało się następująco:

Kiedy arcyksiężna Harriet Griselda schyliła się, by zapiąć sprzączkę, Orlando usłyszał w oddali, z nagłą i niewytłumaczalnie, trzepot skrzydeł miłości. Daleki pierzasty poszum rozbudził w nim tysiące wspomnień o pędzących wodach, cudownych chwilach w śniegu i niewierności podczas powodzi; dźwięk przybliżał się; Orlando pokraśniał i zadrżał; był wzruszony, choć poprzysiągł nigdy nie przypuścić do siebie wzruszenia; był gotów wnieść dłonie i pozwolić skrzydlatemu wcieleniu piękna osiąść na swych ramionach, gdy - o zgrozo! - w pokoju zadudnił skrzekliwy dźwięk, jaki wydają urzędujące na drzewach kruki; światło zmroczyły obrzydliwe czarne skrzydła, zazgrzytały głosy, opadły żdzbla słomy, gałązki, pióra; na ramionach Orlanda wylądował najcięższy, najszkardniejszy z ptaków; którym jest sęp. W tej sytuacji wybiegł z pokoju i posłał lokaja, by odprowadził arcyksiężnę Harriet do jej powozu.

Bowiem miłość, do której możemy teraz powrócić, ma

78

dwa oblicza: jedno białe, drugie czarne; dwa ciała: jedno gładkie, drugie kosmate. Ma też dwie dłonie, dwie stopy, dwa ogony, słowem, wszystkie członki są zdwojone, a każda para jest swym wzajemnym przeciwieństwem. Tak są wszakże ze sobą ściśle zespolone, że nie sposób ich rozdzielić. Tym razem miłość Orlanda poczęła swój lot zwrócona ku niemu twarzą białą, ciałem gładkim i cudnym. Coraz była bliżej i bliżej, niosąc przed sobą aromaty najczystszej rozkoszy. Całkiem z nagłą (zapewne na widok arcyksiężnej) wykręciła piruet, odwróciła się drugim bokiem i ukazała się czarna, włochata, nieprzystojna; na ramiona Orlanda szkaradnie i obrzydliwie sfrunął sęp pożądania, nie rajski ptak miłości. Więc wybiegł; więc wezwał lokaja.

Lecz nie tak łatwo się pozbyć owej harpii. Mało że arcyksiężna nadal zamieszkiwała u piekarza - Orlanda dniem i nocą nawiedzały najszkardniejsze zjawy. Na próżno, jak się zdawało, wyposażył swój pałac srebrem i zawiesił ściany arrasami, skoro w każdej chwili na jego biurko mogło sfrunąć unurzane w łajnie ptaszysko. To trzepotało pomiędzy krzesłami, to maszerowało niezgrabnie korytarzami, to znów siedziało ociężale na kracie kominka. Kiedy je przepędził, wracało i dziobało w szybę, póki nie pękła.

Zdawszy sobie zatem sprawę, że pałac nie nadaje się do mieszkania oraz że należy przedsięwziąć kroki, by natychmiast położyć temu kres, uczynił to, co uczyniłby każdy młody człowiek na jego miejscu, to jest poprosił króla Karola, by wysłał go do Konstantynopola jako ambasadora nadzwyczajnego. Król przechadzał się po Whitehall. Z Nell Gwyn u ramienia. Bombardowała go orzeszkami laskowymi. Tysięczna szkoda, westchnęła kochliwa dama, że takie nogi wyfruwają się z kraju.

Los był jednak nieubłagany; Nell zdążyła tylko posłać mu przez ramię jeden pocałunek, nim Orlando pożegłował w morze.

### III

Jest, w istocie, wysoce niefortunne i pożałowania godne, iż w tym właśnie okresie kariery Orlanda, kiedy odgrywał arcyważną rolę w życiu publicznym swego kraju, dysponujemy najskąpszymi wiadomościami na jego temat. Wiemy, że obowiązki swe wypełniał nad podziw sumiennie - *vide* Order Łaźni i tytuł książe. Wiemy, że położył zasługi w arcydelikatnych rokowaniach pomiędzy królem Karolem a Turkami - świadectwem są traktaty w podziemiach Archiwum Narodowego. Jednakże wszczęta za jego urzędu rewolucja oraz wybuchły w jej następstwie pożar, tak uszkodziły bądź zniszczyły wszelkie dokumenty, z których można by zaczerpnąć wiarygodne informacje, iż jesteśmy przymuszeni przedstawić żałośnie niepełny obraz wydarzeń. Częstokroć papier przysmolony był do najbrudniejszego odcienia brązu w środku najważniejszego zdania. Właśnie kiedy zamierzaliśmy rozwikłać jakąś zagadkę, która od stuleci nękała historyków, w manuskrypcie była dziura tak wielka, że wszedłby w nią palec. Uczyniliśmy wszystko, co w naszej mocy, by zwęglone fragmenty, które się zachowały, złączyć w jakąś całość; często jednak konieczne było domniemywać, snuć domysły, a nawet uciekać się do pomocy wyobraźni.

Dzień Orlanda przebiegał, jak się zdaje, mniej więcej tak. Około siódmej wstawał, owijał się w długi turecki szlafrok, zapalał krótkie cygaro obcięte z obu końców i wspierał się łokciami na parapecie. Tak stał, najpewniej pogrążony w transie, i spoglądał na miasto w dole. O tej godzinie mgła słała się tak gęsto, że kopuły Santa Sofia i innych kościołów zdawały się lewitować; gdy mgła rzedła, banie okazywały się jednak silnie przytwierdzone; oto rzeka; oto most Galata; pielgrzymi w zielonych turbanach, bez oczu i nosów, błagający o jałmużnę; bezpieczeństwa psy grzebiące w odpadkach; kobiety w szalach; nieprzeliczone osły; mężczyźni z długimi tykami na koniach. Wkrótce całe miasto rozbrzmiewało trzaskaniem pejczów, biciem w gongi, zawołaniami do modlitwy, chłostaniem mułów i stukotem miedzianych obręczy kół, a pod same wzgórza Pera dolatywał kwaśny odór fermentującego chleba, kadzidła i przypraw, który wydawał się oddechem zapalczego, wielobarwnego, barbarzyńskiego ludu. Trudno sobie wyobrazić, pomyślał, rozkoszując się rozedrganym w słońcu widokiem, coś mniej przypominającego hrabstwa Surrey i Kent czy miasta Londyn i Tunbridge Wells. Na prawo i

lewo piętrzyły się w nagiej, kamiennej chwale niegościnnie azjatyckie góry, z przywieszonymi do zboczy zamkami przywódców zbójceckich; nie było wszakże ani jednej plebanii, ani dworu, ani wiejskiej chaty, ani dębu, wiązu, fiołka, powoju czy eglantyny. Żadnych żywopłotów, których cień sprzyjałby kwitnieniu paproci, żadnych łąk, gdzie pasłyby się owce. Domy były białe jak skorupki jajek i równie nagie. Jakże go zdumiało, że on, Anglik do szpiku kości, aż po najgłębsze tajnie serca rozkoszuje się tym dzikim pejzażem, wciąż patrzy i patrzy na te przełęcze i odległe wyniosłości, planując samotne piesze wędrówki szlakami przetartymi tylko przez kozy i pasterzy; że żywi gorące uczucia do jasnych, kwitnących o każdej porze roku kwiatów, miłuje skołtunione beapzańskie psy ponad swe skandynawskie ogary; że łapczywie wciąga w nozdrza kwaśną, ostrą woń ulic. A może gdy nasze rycerstwo wyprawiało się na krucjaty, któryś z mych przodków przygodził sobie jakąś czerkieską chłopkę? Uznał to za możliwe, zwrócił uwagę na ledwie dostrzegalną śniadość swej karnacji, po czym, wróciwszy do środka, wziął kąpiel.

Godzinę później, naleźycie wypachniony, ufryzowany i namaszczony, przyjmował wizyty sekretarzy i innych wysokich urzędników, niosących, jeden po drugim, czerwone szkatuły, które ulegały tylko jego złotemu kluczowi. Skrywały papiery najwyższej wagi, z których zachowały się jedynie szczątki: jakiś zdobny zawijas, jakaś pieczęć nieodłączna od skrawka spalonego jedwabiu. Choć więc trudno nam cokolwiek orzec o ich treści, możemy zaświadczyć, że Orlando nie próżnował, odciskając w wosku pieczęci, przymocowując na rozmaite sposoby różnobarwne wstążki, wystawiając kopie dokumentów i zdobiąc floresami wersaliki, aż przychodziła pora obiadu - wystawnego posiłku z trzydziestu może dań.

Po obiedzie lokaje oznajmiali, że u drzwi stoi zaprzężony w szóstkę koni powóz. Orlando jechał złożyć wizytę innym ambasadorom i dygnitarzom, a przodem biegli purpurowi janczarzy, powiewając nad głowami wielkimi strusimi wachlarzami. Ceremoniał był zawsze ten sam: janczarzy bili wachlarzami w główny portal, który otwierał się natychmiast, ukazując wielką komnatę, bogato wyposażoną. Wewnątrz usadowione były dwie postacie, przeważnie obojga płci. Wymieniano głębokie ukłony. W pierwszej sali wolno było wspominać tylko o pogodzie. Stwierdziwszy, że jest pogodnie bądź deszczowo, gorąco bądź zimno, ambasador przechodził do następnej komnaty, gdzie znów zrywały się na jego powitanie dwie osoby. Tu dozwolone było jedynie porównywanie Konstantynopola z Londynem jako miejsc zamieszkania; ambasador mówił naturalnie, że woli Konstantynopol, gospodarze natomiast, że choć nigdy tam nie byli, wołają Londyn. W następnej komnacie należało poświęcić wiele uwagi zdrowiu króla Karola i sułtana. W kolejnej rozprawiano o zdrowiu ambasadora oraz żony gospodarza, lecz pobieżniej. W dalszej ambasador chwalił meble gospodarza, zaś gospodarz strój ambasadora. W następnej podawano słodkości, które gospodarz srodze ganił, zaś ambasador wynosił pod niebiosa. Ukoronowaniem ceremoniału

82

było palenie fajki i picie kawy; choć jednak starannie czynono zadość rytuałowi, w fajce nie było tytoniu, a w filiżance kawy, w przeciwnym bowiem razie organizm ludzki nie wytrzymałby takiego obciążenia. Bowiem, ledwo dokończywszy jednej takiej wizyty, ambasador udawał się z następną. Tego samego ceremoniału w dokładnie tym samym porządku przestrzegano sześć czy siedem razy w domach innych wielkich dygnitarzy, toteż często była późna noc, nim ambasador dotarł z powrotem do domu. Choć Orlando dopełniał tych obrzędów z godną podziwu pieczołowitością i nigdy nie przeczył, że stanowią bodaj najważniejsze spośród obowiązków dyplomaty, bez wątpienia był nimi znudzony, a niekiedy tak rozpaczliwie przygnębiony, iż wołał zjeść kolację w towarzystwie swych psów. Słyszano nawet, jak odzywa się do nich w swej własnej mowie. Niekiedy, mówiono, wymykał się za bramy swej rezydencji w takim przebraniu, iż straż go nie rozpoznawała; mieszał się z tłumem na moście Galata; przechadzał po bazarach; zdejmował buty i dołączał do wiernych w meczetach. Pewnego razu, gdy Orlando oficjalnie leżał złożony febrą, pasterze pędzący na targ kozy donieśli, iż widzieli angielskiego lorda na szczycie góry i słyszeli, jak modli się do swego Boga. Sądzono, iż lordem owym był Orlando, a modlitwą wyrecytowaną na głos wiersz, bowiem wiadano, że nadal nosi na sercu gęsto zapisany manuskrypt. Kiedy zaś ambasador był sam w pokoju, służba słyszała pod drzwiami, jak nuci coś dziwnym, śpiewnym głosem.

Musimy uczynić, co w naszej mocy, by z takich właśnie okrucich zbudować obraz życia i charakteru Orlanda w owym czasie. Do dziś istnieją pogłoski, legendy i anegdoty, nietrwale i nie potwierdzone, na temat pobytu Orlanda w Konstantynopolu (zacytowaliśmy tylko kilka z nich). Dowodzi to, że posiadał, będąc w kwiecie wieku, ową moc poruszania wyobraźni i przykuwania oka, dzięki której człowiek pozostaje żywy w pamięci ludu na długo po tym, jak zacierają się fakty historyczne. Na tę tajemniczą moc składa

się piękno, wysokie urodzenie i pewien niepowtarzalny dar, który z braku lepszego słowa nazwiemy wdziękiem. Jak powiedziała Sasza, płonął w nim „milion świec”, choć on sam nie potrudził się zapalić ani jednej. Poruszał się jak łania, nie potrzebując w ogóle myśleć o swych nogach. Mówił zwyczajnym głosem, a echo odpowiadało jak srebrny gong. Owiany był zatem pogłoskami. Stał się przedmiotem uwielbienia wielu kobiet i niektórych mężczyzn. Nie było konieczne, aby kobiety owe zamieniły z nim choć słowo, czy nawet kiedykolwiek widziały go na oczy; jawiła im się w wyobraźni, szczególnie pośród romantycznych krajobrazów czy o zachodzie słońca, postać szlachetnego magnata w jedwabnych pończochach. Owładnął wyobraźnią zarówno bogatych, jak i biednych i niekształconych. Pastuchy, Cyganie, ujeżdźcze mułów, do dziś śpiewają pieśni o angielskim lordzie, „co szmaragdy swe wrzucił do studni”; słowa te ponad wszelką

wątpliwość odnoszą się do Orlanda, który w chwili wściekłości bądź upojenia zerwał z siebie klejnoty i cisnął do fontanny, skąd wyłowił je paż. Jest jednak rzeczą dobrze znaną, że ta romantyczna moc usidlenia wyobraźni często współwystępuje ze skrajnie zdystansowaną naturą. Jak się zdaje, Orlando nie zawarł żadnych przyjaźni. O ile wiadomo, z nikim się nie związał. Pewna wielka dama przybyła aż z Anglii, aby być blisko niego i narzucała mu się ze swym towarzystwem, lecz on nadal tak niestrudzenie wypełniał swe obowiązki, że nie minęło dwa i pół roku lewantyńskiego ambasadorowania, gdy król Karol zasygnalizował zamiar podniesienia go do wyższej rangi szlacheckiej. Zawistni powiadali, że to Nell Gwyn złożyła hołd swemu wspomnieniu o kształtnej nodze Orlanda. Ponieważ jednak widziała go tylko raz, i to będąc zajęta bombardowaniem swego królewskiego patrona laskowymi orzeszkami, jest wielce prawdopodobne, że tytuł książęcy otrzymał na konto swych zasług, nie gołeni.

Tu musimy przerwać, jako że dotarliśmy do niezwykle ważnego punktu w jego drodze życiowej. Nadanie tytułu książęcego zbiegło się bowiem z bardzo głośnym, lecz rozmaicie relacjonowanym wydarzeniem, które musimy teraz jak najsumienniej opisać, mając za kanwę jedynie spalone papiery i strzępki wstążek. Po zakończeniu ramadanu, na pokładzie fregaty pod dowództwem Sir Adriana Scrope'a, przybył Order Łaźni oraz dyplom szlachecki. Orlando wydał z tej okazji najświetniejszą ucztę, o jakiej kiedykolwiek słyszano w Konstantynopolu. Noc była pogodna, tłum olbrzymi, a okna ambasady jasno oświetlone. Znowu brakuje szczegółów, bowiem wszelkimi świadectwami epoki zajął się ogień, pozostawiając jedynie szczątki, fascynujące, lecz w najważniejszych punktach mało wymowne. Z dziennika Johna Fennera Brigge'a, angielskiego oficera marynarki, który należał do zaproszonych gości, wnosimy jednak, że ludzie wszelkich narodowości „tłoczyli się jak śledzie w beczce” na dziedzińcu. Tłum napierał tak niesympatycznie, że Brigge wkrótce wspiął się na drzewo judaszowe, aby zyskać lepszy ogląd wydarzeń. Pośród tubylców rozeszła się pogłoska (co jeszcze raz dowodzi tajemniczej władzy Orlanda nad ich wyobraźnią), że ma się dokonać jakiś cud. „Toteż - pisze Brigge (manuskrypt jest jednak mocno podziurawiony i osmalony, co zupełnie uniemożliwia odcyfrowanie niektórych zdań) - kiedy uleciały w niebo race, zdjęła nas głęboka obawa, czy tubylczej ludności nie ogarnie [...] dla nas w najwyższej mierze nieprzyjemne konsekwencje [...] na wzglądzie angielskie damy, chwyciłem, przyznając, za rękojeść korda. Szczęśliwie - pisze dalej swym nieco napuszonym stylem - obawy te zdały się, na chwilę obecną, bezzasadne, a obserwując postawę tubylców, doszedłem do przekonania, iż cenny był ów pokaz naszych umiejętności w sztuce pirotechnicznej, choćby dla tej przyczyny, że ukazał im całą wyższość rasy brytyjskiej. W rzeczy samej, widok był wspaniały ponad wszelkie opisanie. Na przemian chwaliłem Pana, iż dozwolił [...] i smuciłem się, że moja biedna, droga matka [...] Na rozkaz Ambasadora, długie okna, które tak przydają blasku orientalnej architekturze, bowiem choć pod

84 ~ 85

wieloma wzglądami zacofani [...] zostały otworzone. Wewnątrz ukazało się naszym oczom żywe tableau, czy też spektakl teatralny, w którym angielskie panie i panowie [...] na twarzach maski, dzieło niejakiego [...] Słowa ginęły w rozgwarze, lecz widok tyłu krajanów, odzianych w najelegantsze i najdostojniejsze stroje, poruszył we mnie uczucia, których bynajmniej się nie wstydzę, lecz nie potrafię [...] Właśnie zamierzałem zwrócić baczną uwagę na zaskakujące zachowanie pewnej damy, którego celem było skupienie na sobie wzroku wszystkich obecnych i okrycie hańbą swej płci i ojczyzny, kiedy” - niestety zламаł się konar drzewa judaszowego, porucznik Brigge spadł na ziemię, po czym pod tą datą zanotował już tylko swą wdzięczność wobec opatrności (która odgrywa w dzienniku niepoślednią rolę) i szczegółową naturę swych obrażeń.

Tak się szczęśliwie składa, że panna Penelope Hartopp, córka generała tego samego nazwiska, widziała tę scenę od wewnątrz i zawarła dalszy ciąg opowieści w liście, również mocno uszkodzonym, który ostatecznie dotarł do jej przyjaciółki w Tunbridge Wells. Panna Penelope nie pozostawała w tyle za rycerskim oficerem w ochach i achach: „Zachwycające - wykrzykuje po dziesięćkroć na jednej stronie - cudowne [...] słowa nie potrafią oddać [...] złota zastawa [...] kandelabry [...] Negrowie w pluszowych pantalonach [...] piramidy lodu [...] fontanny grzanego wina [...] galarety przedstawiające okręty Jego Królewskiej Mości [...] łabędzie przedstawiające lilie wodne [...] ptactwo w złotych kłatkach [...] panowie w szkarłatnym welurze [...] fryzury pań co najmniej na sześć stóp [...] katarynki [...] Imć Peregrine powiedział, że wyglądam nadzwyczaj cudownie, co powtarzam tylko Tobie, bo wiem [...] Och, jakże mi było za Wami wszystkimi tęskno! [...] przerasta wszystko, co widziałyśmy w Pantiles\* [...] morza napitków [...] niektórych panów zmgóło [...] Lady Betty zachwycająca [...] Biedna

\* Kasyo w Tunbridge Wells, podówczas popularnym uzdrowisku.

Lady Bonham popełniła niefortunny błąd i usiadła, nie mając pod sobą krzesła [...] panowie wszyscy bardzo wytworni [...] tysiąc razy myślałam sobie, jaka szkoda, że nie ma Ciebie i najdroższej Betsy [...] Wszyscy jednak przyznali, bo któż byłby tak wstrętny, żeby zaprzeczać, iż najjaśniejszym blaskiem świecił, wszystko inne przyćmiewając, sam Ambasador. Cóż za noga! Cóż za oblicze!! Cóż za książęce maniery!!! Widzieć go, jak wchodzi do sali! Widzieć go, jak wychodzi! I coś takiego interesującego w wyrazie twarzy, że czuje się, do końca nie wiedząc dlaczego, iż ten człowiek doznał cierpienia! Mówią, że przyczyną była kobieta. Potwór bez serca! ! Miała czelność splamić honor naszej słabej płci!!! Jest niezonaty, połowa tutejszych pań szaleje z miłości do niego[...] Tysiące, tysiące całusów dla Toma, Gerry'ego, Petem i najdroższego Mew" (chodzi przypuszczalnie o kota).

Z lektury ówczesnej „Gazette” wnosimy, że „Gdy zegar wybił dwunastą, pan Ambasador zjawił się na środkowym balkonie, zawieszonym bezcennymi dywanikami. Sześciu Turków z imperialnej straży przybocznej, każdy wzrostu ponad

sześciu stóp, dzierżyło pochodnie po jego prawej i lewej stronie. Przywitała go salwa rac i wielki krzyk tłumu, na który Ambasador odpowiedział, kłoniąc się głęboko i wygłaszając kilka słów podziękowania w języku tureckim, którym wyuczył się biegle władać. Po czym zbliżył się Sir Adrian Scope, w pełnym rynsztunku brytyjskiego admirała; Ambasador ukląkł na jedno kolano; Admirał zawiesił wstęgę najszlachetniejszego Orderu Łaźni na szyi Ambasadora, poczem przypiął mu na piersi odznakę Gwiazdy; na to zbliżył się statecznym krokiem inny jegomość z korpusu dyplomatycznego, który zarzucił na ramiona Ambasadora książęce szaty, a na karmazynowej poduszce wręczył mu książęcy koronet".

Nareszcie, z nieskończonym majestatem i gracją, w pierw skłoniwszy się głęboko, potem dumnie wyprężywszy, Orlando ujął w dłonie złoty wianuszek liści truskawkowych

86 ~ 87

i złożył go, gestem, który na zawsze zapisał się w sercach wszystkich obecnych, na swych skroniach. W tej właśnie chwili wszczęto pierwsze niepokoje. Albo lud oczekiwał cudu - mówi się, że prorokowano złoty deszcz z nieba - który się nie zdarzył, albo był to ustalony sygnał do ataku; nikt do końca nie wie; kiedy jednak diadem spoczął na skroniach Orlando, podniosła się wielka wrzawa. Zagrzmiały dzwony; nad krzyki ludu wzniosły się gardłowe zawołania proroków; wielu Turków padło na kolana i dotknęło czołami ziemi. Pod naporem tubylców otwarły się któreś drzwi. Tuszca wpadła do sali bankietowej. Kobiety podniosły krzyk. Pewna dama, która umierała ponoć z miłości do Orlando, złapała za kandelabr i cisnęła nim o podłogę. Co mogłoby się wydarzyć, gdyby nie obecność Sir Adnana Scrope'a i oddziału brytyjskich marynarzy, strach pomyśleć. Admirał polecił zadać w hejnałówki; setka marynarzy natychmiast stanęła na jego rozkazy; wzburzenie tłumu poskromiono i przed rezydencją ambasadora, przynajmniej na czas jakiś, zapanował spokój.

Dotychczas znajdujemy się na twardym, choć raczej ciasnym gruncie potwierdzonej prawdy. Nikt jednak nie wie dokładnie, co się zdarzyło w późniejszych godzinach tej nocy. Świadek wartowników i innych osób zdaje się wszakże dowodzić, że całe towarzystwo opuściło ambasadę, którą jak zwykle zamknięto na noc o godzinie drugiej. Widziano, jak ambasador podążył do swojego pokoju; nadal przybrany w insygnia swej rangi, i zatrząskuje za sobą drzwi. Niektórzy mówią, że zamknął je na klucz, co również miał w zwyczaju czynić. Inni utrzymują, iż dalej w noc, na dziedzińcu pod oknami ambasadora, słyszeli muzykę na sielską nutę, jaką grają pasterze. Pracznka, której nie pozwalał zasnąć ból zęba, widziała ponoć postać mężczyzny, odzianego w płaszcz lub szlafrok, która pojawiła się na balkonie. Potem ujrzała kobietę, mocno wyzawijaną, lecz najprawdopodobniej z szeregow chłopstwa, która wspięła się na balkon po zrzuconej przez mężczyznę linie. Tam, powiedziała pracznka, objęli się namiętnie „niczym kochankowie" i weszli razem do pokoju, zaciągając zasłony przed ludzkim okiem.

Następnego ranka księcia, jak godzi się go teraz nazywać, jego sekretarze znaleźli pogrążonego w głębokim uśpieniu pośród mocno zgniecionej pościeli. W pokoju panował niejaki bałagan: diadem stoczył się na podłogę, a płaszcz i podwiązka leżały w nieładzie na krześle. Stół zaścieniony był papieryskami. Z początku nic nie wzbudziło podejrzeń, jako że ciężka noc musiała dać się ambasadorowi we znaki. Kiedy jednak minęło południe, a on nadal spał, wezwano doktora. Ten zaaplikował medykamenty, jakich użyto poprzednim razem: plastry, pokrzywy, środki wymiotne i tak dalej, lecz bez powodzenia. Orlando spał i spał. Jego sekretarze uznali za swój obowiązek przejrzeć papiery na biurku. Wiele było zapisanych poezją, w której częstokroć wzmiankowano o drzewie dębowym. Znalazły się również rozmaite dokumenty urzędowe i prywatne papiery dotyczące zarządzania angielskimi majątkami Orlando. Na koniec natrafili jednak na dokument znacznie większej wagi. Był to, ni mniej, ni więcej, akt małżeństwa - należycie podpisany, poświęcony i opieczętowany - zawartego pomiędzy „Tego Lordowską Mością Orlandem, Rycerzem Podwiązki [etc., etc., etc.] a Rosiną Pepitą, tancerką, z ojca nieznanego, lecz wedle wieści gminnej Cygana, z matki także nieznannej, lecz wedle wieści gminnej handlarzki starym żelastwem na targu koło mostu Galata". Sekretarze spojrzeli po sobie z konsternacją. Tymczasem Orlando nadal spał. Od rana do wieczora wypatrywali, czy nie daje jakich znaków życia, prócz tego, że oddychał miarowo, a lice rumieniły się, jak zazwyczaj, głębokim różanym odcieniem. Uczynili wszystko, co potrafi nauka i ludzka przemyślność, by go obudzili! ~~~~ wszakże nadal spał.

Siódmego dnia letargu (czwartek, It? ~a:;: t t~c~dt pierwszy strzał tej straszliwej i krwawej insurekcji, której pierwsze objawy wykrył porucznik Bngge. Turkowie powstali przeciwko sułtanowi, podpalili miasto, a każdego cudzo

88 ~ 89

ziemca, który wpadł im w ręce, traktowali mieczem bądź kijem. Kilku Anglików zdołało uciec; jak się jednak można było spodziewać, dyplomaci z ambasady brytyjskiej woleli umrzeć w obronie czerwonych szkatulek, bądź, w przypadkach ekstremalnych, połknąć pęk kluczy, aniżeli pozwolić im wpaść w ręce Saracena. Rozbójnicy wtargnęli do pokoju Orlando, lecz jako że sprawiał wrażenie martwego, nie ruszyli go, a jedynie zrabowali koronę książęcą i insygnia Rycerza Podwiązki.

I oto znów pogrążamy się w czarnych mrokach historii, a przecież - dałyby nieba, żeby były czarniejsze! Dałyby nieba, nieledwie zakrzykną nasze serca, żeby były tak czarne, że aż nieprzejrzałe! Dałyby nieba, abyśmy mogli wziąć pióro i postawić słowo „Koniec" u spodu tej stronicy! Dałyby nieba, abyśmy mogli oszczędzić czytelnikowi tego, co nastąpi i powiedzieć mu zwyczajnie, że Orlando umarł i został pochowany. Tu jednak, niestety, prawda, szczerłość i rzetelność, surowi bogowie, co trzymają straż przy kałamarzu biografu, wołają „Nie!" Przykładając do ust srebrne surmy, żądają jednym tchnieniem „Prawdy! Prawdy!" znów wołają i jeszcze raz, jednym głosem grzmia „Prawdy i tylko Prawdy!"

W której to chwili - chwała niech będzie niebiosom, bowiem daje nam to trochę oddechu - uchylają się delikatnie drzwi, jakby ustępując technieniu najłagodniejszego i najświętszego zefiru, po czym wchodzi trzy postacie. Przodem kroczy Czysta, której czoło zdobią nici najbielszej jagnięcej wełny; której włosy to lawina puszystego śniegu; w której dłoni spoczywa białe pióro dziewiczej gęsi. Za nią, lecz krokiem stateczniejszym, podąża Niepokalana, której czoło okala jak wieżyca gorejącego, lecz nie trawiącego ognia, soplowy diadem; jej oczy to czyste gwiazdy, a jej palce, gdy dotkną, zmrożą aż do kości. Zaraz za nią, jakby kryjąc się w cieniu swych stateczniejszych siostr, podąża Cnotliwa, najkruchsza i najurodziwsza z nich trzech, która skąpi swego oblicza jak młody księżyc, cienki, sierpowaty i na poły scho

90

wany pośród obłoków. Wszystkie zbliżają się do środka pokoju, gdzie Orlando nadal leży uśpiony. Czyniąc dłonią gest zarazem wdzięczny i władczy, pierwsza przemawia Czysta:

- Stróżką jestem uśpionej łani; drogi mi śnieg i księżyc wschodzący, i srebrzyste morze. Mymi szaty okrywam pstrokate kurze jaja i moregowatą muszlę morską; okrywam występki i nędzę. Na wszystko, co kruche, mroczne i wątpliwe, sływa mój welon. Zmilczcie zatem, ostawcie welon. Oko nie widziało, ucho nie słyszało!

Lecz surmy grzmia:

- A kysz, Czysta, a kysz! Przemawia tedy Niepokalana:

- Ja jestem ta, której dotyk zamienia w lód, której spojrzenie obraca w kamień. Wstrzymałam gwiazdę, co tańczy na niebie i falę, co opada. Niebosiężne Alpy są mi mieszkaniem; gdy idę, me włosy ślą błyskawice; gdzie spojrzę, sięję śmierć. Miał zbudzić Orlanda ze snu, zmrozę go do kości. Oko nie widziało, ucho nie słyszało!

Lecz surmy grzmia:

- A kysz, Niepokalana, a kysz!

Mówi tedy Cnotliwa, tak cicho, że ledwie słycać:

- Ja jestem ta, którą mężczyźni zwą Cnotliwa. Jestem dziewicą i na wieki nią pozostanę. Nie dla mnie żyzne pola, urodzajne winnice. Wszystko, co się mnoży, jest mi wstrętne; gdy zakwitają jabłonie bądź rozradzają się stada, czmycham; płaszcz spada mi z ramion. Włosy skrywają me oczy. Nic nie widzę. Oko nie widziało, ucho nie słyszało!

Lecz surmy znów grzmia:

- A kysz, Cnotliwa, a kysz!

Gestami smutnymi i żałościami trzy siostry biorą się za ręce i tańczą powoli, zrzucając welony i śpiewając:

- Nie wychodź, prawdo, z twej czeluści szkaradnej. Skryj się głębiej, prawdo trwogę budząca. Obnażasz bowiem na okrutne wejście słońca to, czego wiedzieć nie trzeba, czego czynić nie trzeba; zrywasz zasłonę z hańby; co mroczne, ty oświetlasz. Kryj się, kryj!

91

Tu czynią gest, jakby chciały okryć Orlanda swymi woalami. Tymczasem surmy dalej grzmia:

- Prawda, i tylko prawda!

Na co siostry próbują zarzucić welony na czary trąb, by je zagłuszyć, lecz na próżno, bowiem teraz wszystkie surmy huczają unisoń:

- Won, siostry szkaradne!

Siostry tracą rezon i jęczą jednym głosem, nadal krążąc i powiewając welonami:

- Niegdyś było inaczej! Lecz mężczyźni już nas nie chcą, a kobiety nami gardzą. Odchodzimy więc, odchodzimy. Ja (mówi Czysta) na kurzą grzędę. Ja (mówi Niepokalana) do wciąż dziewiczych wzgórz Surrey. Ja (mówi Cnotliwa) do każdego przytulnego zakątka, gdzie jest obfitość powoju i zasłon w oknach. - Bowiem tam, nie tutaj (mówią wszystkie razem, biorąc się za ręce i czyniąc gesty pożegnania i rozpacz w stronę łoża, na którym spoczywa uśpiony Orlando) nadal mieszkają, w gnieździe i buduarze, urzędzie i sądzie, ci, którzy nas miłują; ci, którzy nas czczą, dziewice i mieszczanie; prawnicy i doktorzy; ci, którzy zakazują; ci, którzy odmawiają; ci, którzy szanują, nie wiedząc dlaczego; ci, którzy chwala, nie rozumiejąc; nadal bardzo liczebne (chwała niech będzie niebiosom) plemię ludzi porządnych; którzy wolą nie wiedzieć; pragną nie wiedzieć; miłują mrok; ci nas nadal wielbią, i nie bez przyczyny, bowiem dałyśmy im bogactwo, dostatek, pociechę, wygodę. Do nich odchodzimy, was opuszczamy. Pójdźmy, siostry, pójdźmy! Nie dla nas to miejsce.

Zabierają się w pośpiechu, powiewając woalami nad głową, jakby przesłaniając coś, na co nie śmia spojrzeć, po czym zamykają za sobą drzwi.

Zostaliśmy zatem zupełnie sami w pokoju ze śpiącym Orlandem i trębaczami. Trębacze, ustawiwszy się w szereg według porządku, po raz ostatni dmą co sił w płucach:

- PRAWDA!

Na co Orlando się przebudził.

92

Przeciągnął się. Uniósł. Stał przed nami zupełnie nagi, a ponieważ surmy dęły: Prawda! Prawda! Prawda!, nie mieliśmy wyboru, jak tylko wyznać - był kobietą.

Dźwięk surm umilkł, a Orlando stał nagusieńki. Żadna ludzka istota, od samego początku świata, nie wyglądała bardziej zachwycająco. Kształt jego łączył w sobie krzepkość mężczyzny z gracją kobiety. Gdy tak stał, srebrne surmy wciąż grały na tę samą nutę, jakby żał im było utracić cudny widok, który powołały do życia ich fanfary, a Czysta, Niepokalana i Cnotliwa, powodowane niechybnie ciekawością, podglądały przez drzwi i rzuciły szatę podobną rękownikowi na nagi kształt, lecz, niestety, chybiły o kilka cali. Orlando przejrzał się od góry do dołu w długim zwierciadle, nie okazując najmniejszego zmieszania, po czym udał się, przypuszczalnie, wziąć kąpiel.

Skorzystamy z tej przerwy w postępach fabuły, aby poczynić pewne spostrzeżenia. Orlando stał się kobietą - temu nie sposób zaprzeczyć, lecz wszelkie inne przymioty Orlando pozostały dokładnie takie, jakie były. Zmiana płci, choć miała wpłynąć na przyszłość Orlando, zupełnie nie wpłynęła na jego tożsamość. Twarz pozostała, jak dowodzą portrety, niemal taka sama. Jego pamięć cofała się przez wszystkie okoliczności z dawnego życia, nie napotykając żadnej przeszkody. Dostrzegał pewną mglistość, jakby do przejrzystej sadzawki pamięci wpadło kilka ciemnych kropli; pewne wydarzenia nieco się przyćmiły, ale to wszystko. Przemiana odbyła się bezboleśnie, całkowicie i nie wzbudziła w Orlandzie żadnego zadziwienia. Biorąc to pod uwagę i utrzymując, że taka zmiana płci jest wbrew naturze, wiele osób pragnęło za wszelką cenę dowieść: (1) że Orlando zawsze był kobietą, (2) że Orlando jest teraz mężczyzną. Niechaj zdecydują biologowie i psychologowie. Nam wystarczy stwierdzenie prostego faktu: Orlando był mężczyzną do wie

93

ku lat trzydziestu, kiedy to stał się kobietą i pozostał nią do dziś.

Niech jednak inne pióra biorą na warsztat pleć i płciowość; my co tchu uciekamy od takich obmierzłych tematów. Orlanda - gdyż, aby nie wyłamywać się z przyjętych w naszej\* mowie reguł, tak ją musimy na przyszłość nazywać - umyła się już i odziała w tureckie płaszcze i spodnie, które mogą nosić zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Przyszedł czas, by rozważyć swą sytuację. Że sytuacja ta była w najwyższym stopniu niebezpieczna i kłopotliwa, narzuca się z całą mocą każdemu czytelnikowi, który życzliwie śledził losy bohaterki. Młoda, szlachetnie urodzona, piękna - dla damy o jej pozycji nie sposób wyobrazić sobie sytuacji delikatniejszej od tej, w której znalazła się po przebudzeniu. Nie mielibyśmy jej tego za złe, gdyby pociągnęła za sznurek dzwonka, krzyknęła czy omdlała. Orlanda była jednak najzupełniej opanowana. Każde jej działanie było w najwyższym stopniu celowe, można by nawet sądzić, że sobie to wszystko ukartowała. Najpierw starannie przejrzała rozłożone na stole papiery; zabrała te, które zdawały się zapisane wierszem i ukryła na piersi; przyzwalała swego psa Seleuchiego (który, ledwie żywy z głodu, przez te wszystkie dni wiernie warował przy jej łóżku), nakarmiła go i uczesała; po czym wsunęła za pas parę pistoletów; nareszcie owinęła wokół swej osoby kilka sznurów szmaragdów i pereł - najpiękniejszych, jakie zna Orient - które należały do ambasadorskiej garderoby. Co uczyniwszy, wychyliła się z okna, zagwizdała przeciągle, po czym zesła sfatygowanymi i skrwawionymi schodami, na których poniewierały się papierzyska, traktaty, depesze, pieczęcie, pałeczki laku i tak dalej. Znalazła się zatem na dziedzińcu. Tam, w cieniu olbrzymiego figowca, czekał stary Cygan na osiołku. Za uźdę trzymał drugiego. Orlanda wskoczyła na grzbiet zwierzęcia; tak oto, na osiołku, w towarzystwie wynędzniałego psa i sta

\* A ściślej biorąc, naszej.

rego Cygana, ambasador Wielkiej Brytanii na dworze sułtana opuścił Konstantynopol.

Jechali przez kilka dni i nocy; spotkały ich rozmaite przygody, niektóre za sprawą ludzi, niektóre za sprawą natury, a we wszystkich Orlanda odznaczyła się męstwem. Po tygodniu dotarli w górzystą okolicę Broussa, gdzie obozowało wówczas cygańskie plemię, z którym sprzymierzyła się Orlanda. Często spozierała na te góry z balkonu ambasady; często pragnęła tam być; a znalezienie się tam, gdzie się być pragnęło, umysłem o skłonnościach refleksyjnych zawsze daje do myślenia. Przez jakiś czas jednak zbyt się rozkoszowała swoją przemianą, by niepokoić się myśleniem. Wystarczającą rozkoszą był brak dokumentów do opieczętowania lub podpisania, kaligramów do wyrysowania, wizyt do złożenia. Cyganie szli za trawą; gdy jej nie nastarczało, przenosili się w inne miejsce. Orlanda myła się w strumieniach, jeżeli w ogóle to czyniła; nie przynoszono jej żadnych szkatulek, czerwonych, niebieskich czy zielonych; w całym obozowisku nie było żadnego klucza, nie mówiąc już o złotym kluczu; co się zaś tyczy składania „wizyt”, nie znano nawet tego słowa. Doiła kozy; zbierała chrust; od czasu do czasu kradła kurze jajo, zawsze jednak kładąc w jego miejsce monetę bądź perłę; pędziła bydło na pastwisko; pracowała w winnicy; udeptywała winogrona; piła z bukłaka; a gdy przypominała sobie, że o tej porze dnia powinna była udawać, że pije kawę z pustej filiżanki i zaciąga się dymem z fajki, w której nie ma tytoniu, wybuchała głośnym śmiechem, odkrawała sobie następną pajdę chleba i błagała starego Rustuma, by dał jej pyknąć z fajki nabitej krowim łajnem.

Cyganie, z którymi bez wątpienia musiała utrzymywać konszachty jeszcze przed rewolucją, uważali ją za swoją (a jest to najwyższy komplement ze strony każdego narodu); jej ciemne włosy i ciemna cera potwierdzały przekonanie, że jest, z urodzenia, jedną z nich, że jako niemowlę została porwana z orzechowca przez angielskiego księcia i wywie

94 ~ 95

ziona do tej barbarzyńskiej krainy, gdzie ludzie mieszkają w domach, bowiem są zbyt słabowici i schorowani, by wytrzymać na powietrzu. Choć zatem, wskutek swego wychowania, pod wieloma względami im ustępowała, gotowi byli jej pomóc, by

stała się taka jak oni; nauczyli ją sztuki serowarstwa i koszykarstwa, wprowadzili w tajniki złodziejstwa i łapania ptaków we wyniki, nieobca była im nawet myśl, że Orlanda mogłaby poślubić kogoś spośród nich.

Orlanda zaraziła się jednak w Anglii pewnymi nawykami czy chorobami (za co kto zeche je uznać), których, jak się zdaje, nie można się pozbyć. Pewnego wieczoru, gdy wszyscy siedzieli wokół obozowego ogniska, a nad wzgórzami Tesalii gorzał zachód słońca, Orlanda zakrzyknęła: - Jakie pyszne!

(Cyganie nie znają słowa „piękny”. To jest najbliższy ekwiwalent).

Wszyscy młodzi ryknęli gromkim śmiechem. Niebo pyszne, to ci dopiero! Starszych jednak, którzy spotkali w swym życiu więcej cudzoziemców, ogarnęły podejrzenia. Zauważyli, że Orlanda siedziała czasem całymi godzinami, nic nie czyniąc, prócz tego, że spoglądała to tu, to tam; napotykali ją na wierzchołku jakiegoś wzgórza, wpatrzoną przed siebie, nieważne, czy kozy się pasły czy wałęsały. Zaczęli przypuszczać, że posiada inną aniżeli oni wiarę, a starsi ludzie nie wykluczali, że wpadła w sidła najohydniejszego i najokrutniejszego ze wszystkich bogów, to jest natury. Niewiele się mylili. Angielska choroba, umiłowanie natury, była jej wrodzona, a że tutaj natura była jakże bujniejsza i potężniejsza aniżeli w Anglii, Orlanda wpadła w jej ręce jak nigdy przedtem. Przypadłość jest zbyt dobrze znana i, niestety, zbyt często opisywana, by wymagała ponownego omówienia, chyba że bardzo pobieżnego. Były góry, były doliny, były strumienie. Wspinająca się na góry, wędrowała dolinami, siadała nad brzegami strumieni. Wzgórza przyrównywała do wałów obronnych, do piersi synogarlic, do boków bydła. Kwiaty przyrównywała do porcelany, a murawę do wyświeconych

96

tureckich dywaników. Drzewa były zwiędłymi wiedźmami, owce szarymi głazami. W gruncie rzeczy wszystko było czymś innym. Na szczycie góry napotkała niewielki staw i nieomal dała nura do wody w poszukiwaniu zawartej tam, jak sądziła, mądrości; a kiedy z wierzchołka góry dojrzała w oddali, za morzem Marmara, wyżyny Grecji i rozpoznała (wzrok miała niezrównany) Akropol z paroma białymi pasmami, które wzięła za Partenon, dusza w niej wezbrała wraz z gałkami ocznymi, i Orlanda modliła się, by mogła czerpać z majestatu gór, zaznać spokoju i pogody wyżyn i tak dalej, i tak dalej, jak to wszyscy wielbiciele natury mają w zwyczaju. A gdy spozierała w dół, czerwony hiacynt czy purpurowy irys wyrwał z jej piersi okrzyk uniesienia na cześć dobroci, piękności natury; znów unosząc wzrok, ujrzała niebosiężnego orła, wyobraziła sobie jego wzloty i czyniła swymi własnymi. W drodze do domu pozdrowiała każdą gwiazdę, każdy wierzchołek górski i każde ognisko straży, jakby płonęły tylko dla niej; a gdy nareszcie padła na swą matę w namiocie Cyganów, nie mogła się powstrzymać, by znów nie wykrzyknąć: „Jakie pyszne! Jakie pyszne!” (Rzecz to bowiem ciekawa, iż choć istoty ludzkie posiadają tak niedoskonałe środki porozumiewania się, że mówią „pyszne”, mając na myśli „piękne” i na odwrót, wołają ścierpieć szyderstwo i nieporozumienie, aniżeli zachować jakiegokolwiek przeżycie dla siebie). Wszyscy młodzi Cyganie zaśmiali się, ale Rustum el Sadi, starzec, który przywiózł Orlandę z Konstantynopola na swym osiołku, siedział w milczeniu. Nos miał jak bułat, policzki zryte żłobieniami, jakby wieki całe smagane żelaznym gradem; był smagły i bystrooki, siedząc i pykając z fajki świdrował Orlandę wzrokiem. Żywił najgłębsze podejrzenie, że jej bogiem jest natura. Pewnego dnia znalazł ją we łzach. Wziął to za oznakę, że jej bóg ukarał ją, i powiedział, że wcale nie jest zdziwiony. Pokazał jej palce swej lewej dłoni, zwiędłe od mrozu; pokazał jej prawą stopę, zmiażdżoną przez kamień. Oto, powiedział, co jej bóg czyni ludziom. Kiedy odrzekła, że to „takie piękne”, użył

97

wszy angielskiego słowa, potrząsnął głową; kiedy powtórzyła, wpadł w gniew. Ujrzał, że Orlanda nie wierzy w to, w co wierzy on; choć mądry był i sędziwy, to wystarczyło, by go rozeźlić.

Ta różnica zdań zaniepokoiła Orlandę, która do tej pory była w pełni szczęśliwa. Czy natura jest piękna czy okrutna, dumiała; a wtedy zadała sobie pytanie, czym jest to piękno; czy jest w przedmiotach, czy tylko w niej samej; z czego zrodziło się pytanie o naturę rzeczywistości, co z kolei zatracęło o miłość, przyjaźń, poezję (jak podczas dni spędzonych na wzgórzach w kraju); które to rozmyślenia, jako że nie mogła się z nikim podzielić ani słowem, wzbudziły w niej silną jak nigdy tęsknotę za piórem i inkaustem.

- Ach, gdybym tylko mogła pisać! - zakrzyknęła (w osobliwym zrozumiałstwie tych, co piszą, sądziła bowiem, że słowa zapisane docierają do innych). Nie miała inkaustu, a papieru jak na lekarstwo. Inkaust sporządziła jednak z jagód i wina; a znalazłszy kilka marginesów i nie zapisanych miejsc w manuskrypcie *Dębu*, zdołała, wymyśliwszy rodzaj stenografii, opisać krajobraz w długim poemacie wierszem bez rymów oraz wystarczająco zwięźle przeprowadzić dalszy ciąg dialogu z sobą samą na temat piękna i prawdy. Na długie godziny napelniało ją to ogromną szczęśliwością. Lecz Cyganie zrobili się podejrzliwi. Wpierw spostrzegli, że mniej biegle aniżeli dotychczas doi kozy i wyrabia ser; potem, że często waha się, nim odpowie; a pewnego razu śpiący chłopiec zbudził się przełęczony, czując na sobie jej wzrok. Czasem nieswojo czuło się całe plemię, liczące wiele tuzinów dorosłych ludzi. Brało się to z odczucia (a ich czucie było bardzo przenikliwe, znacznie wyprzedzające ich słownictwo), że cokolwiek robią, rozsypuje się im w dłoniach na popiół. Staruszka wyplatająca koszyk, chłopiec obdzierający owcę ze skóry, śpiewali bądź nucili z ukontentowaniem przy swej pracy, kiedy Orlanda powracała do obozowiska, kładła się koło ognia i wpatrywała w płomienie. Nie potrzebowała nawet na nich patrzeć,

a czuli, że oto jest ktoś, kto wątpi (podajemy przybliżony przekład z dialektu cygańskiego); oto ktoś, kto nie robi nic dla samego robienia; nie patrzy dla samego patrzenia; oto ktoś, kto nie wierzy ani w koźlą skórę, ani w koszyk, lecz widzi w

nich (tu rozglądali się z lękiem po namiocie) coś innego. Chłopca i staruszkę zaczynało wtedy dręczyć niejasne, lecz arcyniemile uczucie. Łamali witki; przecinali sobie palce. Wypełniał ich ogromny gniew. Pragnęli, żeby Orlanda wyszła z namiotu i już nigdy do nich nie powróciła. Przyznawali wszakże, że jest pogodna i życzliwa, a jedna z jej pereł wystarczy, by kupić najlepsze stado kóz w okolicy.

Powoli Orlanda zaczęła odczuwać, że istnieje różnica między nią a Cyganami, która budzi w niej wahanie, czy rzeczywiście powinna wyjść za mąż i osiąść wśród nich na zawsze. Z początku tłumaczyła to sobie tym, że pochodzi z pradawnego, cywilizowanego narodu, natomiast Cyganie to ludek 'ciemny, niewiele lepszy od dzikusów. Pewnego wieczoru, gdy wypytywali ją o Anglię, nie bez dumy opisała pałac, w którym przyszła na świat: jak to miał trzysta sześćdziesiąt pięć sypialni i należał do jej rodziny od czterystu czy pięciuset lat. Jej przodkowie byli hrabiami, a nawet księżętami, dodała. Tu znów zauważyła, że Cyganie czują się nieswojo, lecz już nie gniewnie jak wtedy, gdy wychwalała piękno natury. Teraz byli uprzejmi, lecz zatroskani, podobnie jak ludzie dobrze urodzeni, kiedy ktoś obcy wyzna swój niski stan bądź ubóstwo. Rustum wyszedł za nią ~ namiotu i powiedział, że nie musi się martwić, nawet jeśli jej ojciec naprawdę był księciem i posiadał wszystkie te sypialnie i meble, które opisała. Nie upadnie za to w niczyich oczach. Ogarnął ją wstyd, jakiego jeszcze nigdy nie zaznała. Jasne było, że Rustum i inni Cyganie poczytują sobie czterystuletni czy pięciusetletni rodowód za najędźniejszy z możliwych. Ich własne rodziny miały za sobą co najmniej dwa lub trzy tysiące lat. Dla Cygana, którego przodkowie zbudowali piramidy na całe stulecia, zanim narodził się Chrystus,

98 ~ 99

genealogia Howardów i Plantagenetów była nie lepsza i nie gorsza aniżeli genealogia Smithów i Jonesów: obie były niewarte wzmianki. Co więcej, skoro chłopiec od kóz mógł się pochwalić tak starożytnymi korzeniami, w pochodzeniu z odległych czasów nie było nic czcigodnego bądź pożądanego; wagabundzi i żebracy stali na równi z magnatami. Prócz tego, choć stary Cygan zbyt był uprzejmy, by mówić wprost, było jasne, że nie zna bardziej przyziemnej ambicji nad posiadanie setek sypialni (rozmawiali na szczycie wzgórza, była noc, wokół nich piętrzyły się góry), skoro nasza jest cała ziemia. Orlanda zrozumiała, że widziany oczyma Cygana książę jest niczym innym jak wyzyskiwaczem i rabusiem, który zagarnia ziemię i pieniądze ludziom niewiele sobie te rzeczy ceniącym i nie przychodzi mu do głowy nic lepszego, aniżeli wybudować trzysta sześćdziesiąt pięć sypialni, kiedy wystarczyłaby jedna, a najlepiej żadna. Nie mogła zaprzeczyć, że choć jej przodkowie gromadzili pole za polem, dom za domem, tytuł za tytułem, nie było wśród nich świętych, bohaterów czy wielkich dobroczyńców. Nie miała też odpowiedzi na argument (Rustum był nazbyt dżentelmenem, aby się z nim nastęrczać, lecz Orlanda zrozumiała), że człowiek, który dbałby o to, czego dokonali jego przodkowie trzysta bądź czterysta lat wcześniej, zostałby napiętnowany - a najdosadniej przez własną rodzinę - jako wulgarny parweniusz, awanturnik *i nouveau riche*.

Usiłowała zaprzeczyć tym argumentom metodą znajomą, acz dookolną: uznała, że to właśnie życie cygańskie jest prostackie i barbarzyńskie; w niedługim czasie zrodziło to między nimi wiele złej krwi. W istocie takie różnice zdań wystarczą niekiedy za przyczynę rozlewu krwi i rewolucji. Za mniejsze przewiny łupiono miasta, a miliony męczenników wołały cierpieć na pału, aniżeli ustąpić choćby o krztynę w omawianych tu kwestiach. Serce człowieka nie zna silniejszej namiętności niż żądza nakłonienia innych do własnych przekonań. Nic tak nie podcina korzeni szczęścia człowieka, nic nie napęlnia go takim gniewem aniżeli poczucie,

że inny stawia nisko, co on ceni wysoko. Wigowie i torysi, Partia Liberalna i Partia Pracy - o cóż walczą, jak nie o własny prestiż? Nie umiłowanie prawdy, lecz żądza zwycięstwa burzy dzielnicę przeciw dzielnicy, w jednej parafii rodzi pragnienie upadku drugiej. Każda bowiem bardziej szuka spokoju ducha i podporządkowania sobie innych aniżeli tryumfu prawdy i wyniesienia na piedestał cnoty. Ale zostawmy to moralizowanie historykowi, bo jest nudne jak stojąca woda.

- Czterysta siedemdziesiąt sześć sypialni nic dla nich nie znaczy - westchnęła Orlanda.

- Woli zachód słońca od stada kóz - mówili Cyganie. Co było robić, Orlanda nie miała pojęcia. Zostawić Cyganów i zostać na powrót ambasadorem, zdawało się jej nieznośne. Równą niemożliwością zdawało się jednak zostać na zawsze tam, gdzie nie było ani inkaustu, ani papieru, ani rewerencji dla Talbotów, ani szacunku dla mnogości sypialni. Łamała więc sobie nad tym głowę, pewnego pięknego ranka na zboczach góry Atos, pilnując kóz. Wtem natura, w której pokładała zaufanie, albo spletała figła, albo dokonała cudu - znów opinie są nazbyt rozbieżne, żeby orzec cokolwiek z całą pewnością. Orlanda wpatrywała się dość niepocieszona w strome zbocze. Był już środek lata i gdy musielibyśmy do czegoś przyrównać okoliczny krajobraz, przyrównalibyśmy go do suchej kości, do szkieletu owcy, do ogromnej trupiej czaszki wyżartej przez tysiąc sępów. Upał był uciążliwy, a nieduży figowiec, pod którym siedziała Orlanda, kładł tylko na jej lekkiej szacie cienie listków %gowych.

Wtem, na łysy stok naprzeciw, padł cień, skąd - nie wiadomo. Ściemniał, a wkrótce tam, gdzie chwilę wcześniej była naga skała, pojawiła się zielona wklęsłość. Na oczach Orlandy wklęsłość rozrosła się wzdłuż, wszędy i w głąb, po czym w zbocz góry powstała wielka przestrzeń podobna do parku. Wewnątrz Orlanda dojrzała falistą murawę, tu i ówdzie dęby, skaczące z gałęzi na gałąź drozdy. Widziała



łanie zwinnie przemykające z cienia w cień, słyszała bzyczenie owadów, a nawet łagodne westchnienia i pomruki letniego angielskiego dnia. Gdy tak patrzyła czas jakiś w upojeniu, jął padać śnieg; wkrótce cały pejzaż został przebarwiony z żółtego światła słonecznego w fiołkowe cienie. Ujrzała jadące drogami ciężkie wozy załadowane pniami drzew, które, jak wiedziała, zamierzano pociąć na opał; i wtedy zjawiły się dachy, dzwonnice, wieże i dziedzińce jej własnego domu. Śnieg padał miarowo, słyszała, jak zsuwa się z dachu i packa o ziemię. Z tysiąca kominów poszedł dym. Wszystko jawiło się tak klarownie i drobniawo, że widziała kawkę dziobiącą w śniegu robaki. Potem fiołkowe cienie stopniowo pogłębiły się i zamknęły wokół wozów, trawników i wielkiego pałacu. Wszystko połknęły. Po trawiastej wklęsłości nie było ani śladu, przed oczyma Orlandy znów widniało rozpalone zbocze, jakby obgryzione do kości przez tysiąc sępów. Orlanda załapała się gorącymi łzami, a wróciwszy do obozowiska Cyganów, powiedziała, że musi pożeglować do Anglii nie dalej jak następnego dnia.

Fortunne było to dla niej postanowienie. Młodzi Cyganie już uknuli jej śmierć. Honor, mówili, tego wymaga, bowiem Orlanda nie myśli jak oni. Przykro by im jednak było poderżnąć jej gardło, więc z radością powitali wieść o jej wyjeździe. Przychylnym zrządzeniem losu w porcie stał już pod żaglami angielski frachtowiec, gotowy do drogi powrotnej. Urwawszy kolejną perłę z naszyjnika, Orlanda nie tylko opłaciła swój wojaż, lecz i wypchała portfel banknotami. Choć chciałaby je złożyć w darze Cyganom, wiedziała, że gardzą bogactwem. Musiała się zadowolić uściskami, które z jej strony były szczerze.

102

IV

Za kilka gwinei, które pozostały ze sprzedaży dziesiątej perły ze sznura, Orlanda sprawiła sobie garderobę strojów noszonych podówczas przez kobiety i siedziała teraz na pokładzie „Enamoured Lady” w ubiorze młodej Angielki wysokiego urodzenia. Osobliwe to, lecz prawdziwe, że aż do tej chwili niemal nie powstała w jej głowie kwestia jej własnej płci. Być może obojętność tę spowodowały tureckie szarawary, które dotychczas nosiła; a Cyganki, z wyjątkiem paru istotnych szczegółów, różnią się bardzo niewiele od Cyganów. W każdym razie dopiero gdy poczuła dyby sukien wokół nóg, a kapitan szarmancko zaproponował, iż rozepnie dla niej markizę na pokładzie, ze zdumieniem zdała sobie sprawę, jakie jej pozycja niesie ze sobą uciążliwości i przywileje. Zdumienie to było jednak odmiennego rodzaju, niżby można oczekiwać.

Jego przyczyną nie była bowiem po prostu i wyłącznie myśl o tym, jak zachować czystość. W zwykłych okolicznościach cudnej urody młoda kobieta podróżująca samotnie nie myślałaby o niczym innym; cały gmach kobiecej przedsiębiorczości ufundowany jest na tym kamieniu węgielnym; czystość jest ich klejnotem, kluczem do skarbcza, którego bronią do szaleństwa, a okradzione z niego giną. Wszak jeśli przez trzydzieści z górą lat było się mężczyzną, a do tego ambasadorem, jeśli trzymało się w ramionach królową, jak również, o ile można polegać na naszych informatorach, parę innych dam mniej wyniosłego stanu, jeśli poślubiło się

103

Rosinę Pepitę i tak dalej, zapewne nie jest to podstawą do aż tak wielkiego wstrząsu. Wstrząs, jakiego doznała Orlanda, miał naturę arcyżołoną i nie daje się streścić w kilku słowach. Nie taimy, że nikt jej nigdy nie oskarżył o przynależność do tych bystrych umysłów, które w minutę docierają do sedna problemu. Zajęło jej całą podróż, nim zdołała powziąć morał ze swego wstrząsu, toteż równie niespiesznie pójdziemy tropem jej rozumowania.

Przebóg - pomyślała, otrząsnąwszy się z szoku i wyciągnąwszy wygodnie pod markizę - jest to przyjemny, leniwy sposób na życie, nie da się ukryć. Wszelako - pomyślała, zamachawszy nogami - mieć coś takiego na sobie to istna zaraza. Z drugiej strony materiał (kwiecista brokatela) jest najcudniejszy w świecie. Nie pamiętam, żeby moja cera (tu położyła dłoń na kolanie) prezentowała się kiedyś równie korzystnie. Czy mogłabym jednak skoczyć za burtę i pływać w takim stroju? Nie! Musiałabym powierzyć się opiece marynarza. Czy mam coś przeciwko temu? Ba, trudne pytanie... - westchnęła, natrafiwszy na pierwszy gruzeł w gładkiej przędzy swego wyvodu.

Nim zdołała go rozsuptać, nadeszła kolacja, i właśnie wtedy sam kapitan - Nicholas Benedict Bartolus, szlachetny i postawny kapitan morski - rozsuptał go za nią, nakładając jej wędzonej wołowiny.

- Odrobinę tłuszczu, pani? - spytał. - Utnę pani tyci kawałek, nie większy od paznokietka. - Na te słowa od stóp go głów przeszło ją rozkoszne drżenie. Zaśpiewały ptaki; ruszyły strumienie. Dało się to porównać z uczuciem nieopisanej rozkoszy na pierwszy widok Saszy, setki lat wcześniej. Wtedy była myśliwym, teraz zwierzyną. Kto zaznaje większej ekstazy? Mężczyzna czy kobieta? A może przeżycia te są sobie równe? Nie, pomyślała, to jest najrozkoszniejsze (podziękowała kapitanowi, lecz odmówiła), odmówić i widzieć, jak marszczy czoło. No dobrze, skoro się upiera, ale zupełnie maleńki kawałek. To było najrozkoszniejsze ze wszystkiego, ustąpić i ujrzeć, jak się uśmiecha. Bowiem nie ma nic ulubieńszego - pomyślała, wróciwszy do swego wyvodu na kanapce pod markizą niż opierać się i ustępować; ustępować i opierać się. Dalibóg, nic nie wprawia di s: y w taki błogostan. Nie jestem więc pewna - kontynuowała - czy mimo wszystko nie rzucę się za burtę, by po~woić się wyratować Marynarzowi.

(Trzeba pamiętać, że była jak dziecko, k. ~ pierwszy raz weszło do ogrodu bądź dostało pierwszy domek dla lalek; jej wywody nie znalazłyby uznania u kobiet dojrzałych, które miały dość czasu, aby się z tą problematyką zaznajomić).

- Ale co my, młode chłopcy w kambuzie „Marie Rose”, mawialiśmy o kobiecie, która rzucała się za burtę, aby pozwolić się wyratować marynarzowi? - powiedziała. Co to było za słowo? Ach, już mam... (Ale musimy słowa tego poniechać; miało wydźwięk arcyjemny i brzmiało fałszywą nutą na ustach damy). - Przebóg! Przebóg! znów zakrzyknęła, sumując myśli. - Muszę zatem szanować zdanie drugiej płci, choćbym je miała za monstualne? Choćbym musiała nosić suknie, choćbym nie mogła pływać, choćbym miała być wyratowywaną przez marynarza, na Boga - zakrzyknęła - muszę! - Na co opadł ją smutek. Szczera z natury, niechętna wszelkiego gatunku obłudzie, nie znajdowała przyjemności w grze pozorów. Uważała to za okrężną drogę zabierania się do rzeczy. Wszelako, pomyślała, jeżeli kwiecista brokatela, przyjemność bycia wyratowaną przez marynarza - jeżeli to wszystko można osiągnąć tylko okrężną drogą, widać trzeba chodzić okrężną drogą. Przypomniała sobie, że jako młody mężczyzna żądała od kobiet, ażeby były posłuszne, czyste, wypachnione i najszykowniej odziane. Teraz będę musiała zapłacić swoją własną osobą za tamte pragnienia - pomyślała. - Albowiem kobiety nie są (sądząc po mych własnych krótkich doświadczeniach z tą płcią) posłuszne, czyste, wypachnione i najszykowniej odziane ze swej natury. Przymioty te, bez których mogą im być odmówione wszelkie rozkosze życia, potrafią osiągnąć jedynie drogą najzmudniejszej samodyscypliny. Trzeba ufryzować włosy - myślała - co zabierze mi co rano godzinę; trzeba popatrzeć w lustro, kolejna godzina; trzeba wdziać gorset i zasznurować; trzeba się umyć i upudrować; trzeba się przebierać z jedwabów w koronki, z koronek w brokatelę; trzeba być czystą od Nowego Roku po Świętego Sylwestra... Niecierpliwie potrząsnęła stopą, obnażając łydkę na cal lub dwa. Żeglarz na maszcie, który akurat patrzył w dół, doznał wstrząsu tak gwałtownego, wstrząsu, że powinęła mu się noga i tylko cudem ocalił życie. Skoro już sam widok mych kostek oznacza śmierć dla porządnego człowieka, który niechybnie ma na utrzymaniu żonę i dzieci, muszę je zasłonić - pomyślała. Wszelako nogi nie należały do najnowszych wśród jej wdzięków. Do czego to doszło - jęła myśleć - że cała piękność kobieca musi pozostać w ukryciu, aby żeglarz nie spadł z rei.

- Niech ich zaraza! - rzekła, po raz pierwszy zdając sobie sprawę, czego w innych okolicznościach zostałyby nauczona jako dziecko, a mianowicie uświęconych obowiązków, jakie niesie ze sobą kobiecość.

A kiedy już stanę na angielskiej ziemi - rozważała już nigdy z mych ust nie uleci przekleństwo. Już nigdy nie huknę mężczyzny w głowę, nie powiem mu, że łże w żywe oczy, nie wyjmę miecza i skroś go nie przeszyję, nie usiądę między równymi sobie, nie włożę diademu, nie pójdę w procesji, nie skażę nikogo na śmierć, nie stanę na czele wojsk, nie pocwałuję wzdłuż Whitehallu na rumaku, nie będę paradować z siedemdziesięcioma dwoma medalami na piersi. Wszystko, co mi będzie dozwolone, kiedy już stanę na angielskiej ziemi, to nalewać herbatę i pytać mych panów, czego sobie do niej życzą. Z cukrem, wasza mość? Ze śmietanką? - Dokończywszy swej tyrady, z przerażeniem spostrzegła, jak niskie wyrabia sobie zdanie o drugiej płci, męskiej, przynależność do której napawała ją ongiś dumą. - Spaść z rei - myślała - ujrzawszy kostki kobiety;

ubrać się pstrokato jak błazen i paradować ulicami, by wzbudzić w kobietach podziw; zabronić kobiecie kształcenia, aby się z ciebie nie śmiała; być w niewoli byle dzierlatki w spódnicach, a nosić się jak pan stworzenia: O nieba! Jakich z nas robią głupców, jakimi głupcami jesteśmy! - W jej słowa wkradła się pewna niejasność: mogło się wydawać, że w równej mierze stawia pod pręgierz obie płcie, jakby do żadnej nie należała; i rzeczywiście, póki co zdawała się żyć w wiecznym wahaniu; była mężczyzną, była kobietą; znała tajemnice, dzieliła słabości jednych i drugich. Trudno sobie wyobrazić bardziej dezorientujący stan umysłu. Nie była jej dana pociecha ignorancji. Unosiła się jak piórko na wietrze. Nic zatem dziwnego, że gdy przeciwstawiała jedną płć drugiej i w każdej znajdowała moc najhaniebniejszych ułomności, nie będąc pewną, do której przynależny - nic zatem dziwnego, że miała właśnie zakrzyknąć, iż wróci do Turcji i znów zostanie Cyganką, gdy kotwica z wielkim pluskiem runęła w morze; żagle sfrunęły na pokład, a Orlanda spostrzegła (tak była zatopiona w myślach, że od kilku dni nie wiedziała, co się wokół dzieje), że statek zakotwiczył koło wybrzeża Italii. Kapitan natychmiast poprosił przez posłańca, by zaszczyliła go swym towarzystwem w wyprawie barkasem na brzeg.

Wróciwszy następnego ranka, wyciągnęła się na kanapce pod swą markizą i czyniąc zadość przyzwyczajeniu, udrapowała fałdy sukien wokół kostek.

Choć głupie jesteśmy i mizerne przy płci drugiej - pomyślała, kontynuując zdanie, którego onegdaj nie dokończyła - a oni, zbrojni w każdy oręż, odmawiają nam nawet znajomości alfabetu - (widać już z tych początkowych słów, że w nocy musiało wydarzyć się coś, co ją popchnęło ku płci niewieściej, gdyż mówiła bardziej jak mówią kobiety aniżeli mężczyźni, wszelako z pewnym ukontentowaniem) - to przecież spadają z masztu. - Tu ziewnęła szeroko i zapadła w sen. Kiedy się zbudziła, statek żeglował gnany rześką bryzą tak blisko wybrzeża, że można było dostrzec,

iż tylko splecione korzenie jakiegoś starego drzewa oliwnego zdają się powstrzymywać wioski chybotające na szczytach skał od pluśnięcia w morze. Doszedł ją zapach pomarańcz słany przez miliony drzew, tak gęsty, że niemal kroplisty. Tuzin delfinów, kręcąc ogonami, coraz skakało wysoko w powietrze. Wyciągając przed siebie ramiona (ramiona, jak się zdążyła zorientować, nie są równie zgubne w skutkach co kostki) podziękowała niebiosom, że nie paradyje Whitehallem na bucefale, ani nie skazuje człowieka na śmierć. Lepszy to los - pomyślała - być odzianą w nędzę i ignorancję, które są mrocznymi szaty płci niewieściej; lepszy to los pozostawić innym władanie światem; lepszy to los wyzbyć się wojennej ambicji, umiłowania władzy i wszelkich innych męskich żądz, jeżeli można dzięki temu pełniej doświadczyć najwznioślejszych rozkoszy, jakie zna dusza ludzka, a rozkosze owe to - powiedziała na głos, jak miała w zwyczaju będąc głęboko poruszoną - kontemplacja, samotność, miłość.

- Chwała niech będzie Panu, że jestem kobietą! zawołała, i miała właśnie wpaść w sidła wielkiego głupstwa (gorszego nie znają ani mężczyźni, ani kobiety), jakim jest pycha przynależności do własnej płci, gdy zastanowiło ją jedno słowo, które, wbrew naszym najusilniejszym staraniom, zakradło się do ostatniego zdania: Miłość. - Miłość - powiedziała Orlanda. Natychmiast, taka jest porywca, miłość przybrała ludzki kształt; taka jest pyszna. Bowiem gdzie inne myśli chętnie pozostają w oderwaniu, tej nic nie zaspokoi, póki nie przybierze cielesnych kształtów, nie wdzieje mantyli i spódnicy, gorsetu i pończoch. A że wszystkie miłości Orlandy były dotąd kobietami, teraz, wskutek grzesznej opieszałości ludzkiej powłoki w dostosowywaniu się do konwencji, choć sama była kobietą, nadal kochała kobietę; a jeśli świadomość przynależności do tej samej płci cokolwiek ważyła, to tyle, że przyspieszała i pogłębiała te uczucia, które Orlanda żywiła jako mężczyzna. Wszystkie przypuszczenia, wszystkie tajemnice, dawniej pograżone w mroku, stały się jasne. Ciemność, która rozdziela płcie i hołubi w sobie niezliczone nieczystości, rozwiła się, a jeśli jest coś w tym, co orzekł poeta\* o prawdzie i pięknie, uczucie Orlandy zyskało na pięknie to, co utraciło na fałszu. Nareszcie poznała Saszę do głębi, a radość z tego odkrycia. Łapczywość tych wszystkich skarbów, jakie zostały jej objawione, wprowadziła ją w takie uniesienie i ekstazę, że huknęło jej koło ucha jak wystrzał armatni, gdy męski głos powiedział:

- Pani pozwoli - męską ramię pomogło jej wstać. a palce człowieka z trzymasztowym żaglowcem wytatuowanym na środkowym palcu wskazały na widnokrąg. - Skąły Anglii, pani - rzekł kapitan, po czym zsalutował dłonią wymierzoną uprzednio w niebo.

Orlanda ponownie przeżyła szok, jeszcze gwałtowniejszy aniżeli uprzednio.

- Jezu Chryste! - zawołała.

Szczyściem, widok ojczyznoego kraju ~~~~; :vebytności tłumaczył zarówno jej szok, jak i wykrzyknienie, bo inaczej miałyby trudne zadanie, próbując opisać kapitanowi Bartolusowi sprzeczne uczucia, jakie się w niej kłębiły. Jak mu rzec, że ona, która drży teraz na jego ramieniu, była niegdyś księciem i ambasadorem? Jak mu wyłożyć, że ona, otulona jak lilia fałdami brokateli, ścinała głowy i zlegała z rozwiązłymi kobietami pośród worków ze skarbami w ładowniach statków korsarskich w letnie noce, kiedy kwitły tulipany i buczały pszczoły koło Wapping Old Stairs? Nawet sobie samej nie umiała wyłożyć potężnego szoku, jaki ją przeszedł, gdy dziarska prawa dłoń kapitana wskazała na nadmorskie skały Wysp Brytyjskich.

- Opierać się i ustępować - szepnęła - jakież rozkoszne; ścigać i poskramiać, jakież szlachetne; postrzegać i rozumować, jakież wzniosłe. - Ani jedno z tych słów. tak zestawionych, nie wydawało się jej niewłaściwe; wsze

\* Keats.

lako, gdy kredowe skały majaczyły coraz bliżej, czuła się winna, zniesławiona, nieczysta, co u osoby, która nigdy sobie tym nie zaprzętała umysłu, było dość osobliwe. Podpływali coraz bliżej i bliżej, aż widać było gołym okiem zbieraczy kopru morskiego, w połowie wysokości skały. Patrząc na nich, czuła, że w jej duszy kołacze jak szydca zjawia, która w każdej chwili może zebrać suknie i rozpląnąć się w powietrzu, Sasza utracona, Sasza - wspomnienie, którego realności właśnie tak zaskakująco dowiodła, Sasza, która swą mimiką, gestami, grymasami okazywała swój brak szacunku wobec skał i zbieraczy kopru; a kiedy marynarze zaczęli śpiewać: „A więc żegnajcie nam, hiszpańskie damy!”, słowa te zagrały echem w zasmuconym sercu Orlandy, bowiem choć przybicie do brzegu oznaczało wygodę, oznaczało przepych, oznaczało rangę i wpływy (bowiem niechybnie złapie jakiegoś księcia i będzie trząść, prawem księżęcej małżonki, połową Yorkshire), to jednak, jeśli by miało również oznaczać układność, niewolę, grę pozorów, odmawianie jej miłości, krępowanie jej członków, sznurowanie jej ust i powściągnięcie jej języka, wołałaby zawrócić wraz ze statkiem i raz jeszcze pożegłować do Cyganów.

Wśród tej gonitwy myśli powstało jednak coś - rzeczywistego czy wyobrazonego, na kształt kopuły z gładkiego, białego marmuru - co miało taki powab dla jej rozgorączkowanej imaginacji, że przypadła ku temu jak rączy rój wazek obsiada szklany klosz, który chroni jakąś kruchą roślinę. Kapryśnym zrządzeniem wyobraźni forma tej rzeczy przywiodła jej na myśl najdawniejsze, najbardziej uporczywe wspomnienie - mężczyzny o wielkim czole w salonie jejmość Stewkley, który siedział i pisał, a raczej szukał czegoś wyrokiem, lecz z pewnością nie jej, bowiem choć stała wystrojona, a była chłopcem wielce urodziwym, wyglądał jakby wcale jej nie spostrzegł - a zawsze, kiedy o nim myślała, myśl otulała się, jak wschodzący księżyc wzburzonymi wodami, płachtą srebrzystego spokoju. Jej dłoń (drugą nadal miał w swej pieczy kapitan) powędrowała ku piersi,

gdzie bezpiecznie schowane były stronicie jej wiersza. Podziało to na nią jak dotknięcie talizmanu. Natrętne pytania o swą płęć, jaka jest i co znaczy, odeszły w cień; myślała już tylko o poetyckiej glorii, a wielkie wersety z Marlowe'a, Szekspira, Bena Jonsona, Miliona zaczęły nieść się i dudnić, jakby w wieży katedralnej jej umysłu złota dusza uderzyła w złoty dzwon. Prawda jest taka, że wizerunek marmurowej kopuły, którą jej oczy z początku spostrzegły tak mgliście, że nasunęła jej skojarzenie z czołem poety i wzniesła chmurę myśli z zupełnie innej dziedziny, nie był tworem wyobraźni, lecz rzeczywistością; gdy statek mknął w górę Tamizy, gnany przychylną bryzą, wizerunek wraz ze wszystkimi skojarzeniami ustąpił miejsca prawdzie i objawił się, ni mniej, ni więcej, jako kopuła potężnej katedry ogromniejąca pośród zębów białych wież.

- Święty Paweł - powiedział kapitan Bartolus, który stał u jej boku. - Wieża Londyńska - ciągnął. - Szpital w Greenwich, wzniesiony w hołdzie pamięci królowej Marii przez męża, Jego Wysokość świętej pamięci Wilhelma III. Opactwo

Westminsterskie. Izby Parlamentu. Słynne te budowle zjawiały się kolejno, jakby powołane do istnienia jego słowami. Był piękny wzniosły poranek. Między łodzi sunęły od brzegu do brzegu. Oczom powróconego podróżnego rzadko ukazuje się weselsze czy też ciekawsze widowisko. Orlanda wychyliła się znad dziobu, w zachwyceniu. Jej oczy zbyt długo patrzyły na dzikusów i naturę, aby ich nie olśniły wspaniałości miasta. A zatem to jest kopuła Świętego Pawła, którą imię Wren wybudował pod jej nieobecność. Opodal, czupryna złotych włosów wykwiłała ze strzelistej kolumny - kapitan Bartolus był u jej boku, by ją poinformować, że to Monument\*; za jej nieobecności miasto trawiła zaraza i pożar, wyjaśnił. Choć robiła, co mogła, by je powstrzymać, do jej oczu cisnęły się łzy, póki, przy

\* Kolumna dorycka projektu Christophera Wrena, zbudowana w latach 1671-1677 na pamiątkę wielkiego pożaru Londynu w 1666 r

pomniawszy sobie, że kobiecie przystoi płakać, dała im folę. Tutaj, pomyślała, był wielki karnawał. Tutaj, gdzie fale klaszczą o brzeg, stał Pawilon Królewski. Tutaj po raz pierwszy spotkała Saszę. Gdzieś tutaj (spojrzała w mieniące się wody) widywali, zamarniętą do szpiku kości na swej łodzi, przekupkę z jabłkami na podółku. Cały ten splendor i zepsucie przeminęły. Przeminięła też ciemna noc, straszliwa ulewa, gwałtowna nawała powodzi. Tutaj, gdzie żółte góry lodowe pędziły, wirując z załogą zdjętych grozą nieszczęśliwych na szczycie, płynęło stado łabędzi, pysznych, wyniosłych, wspaniałych. Sam Londyn przeszedł zupełną metamorfozę, odkąd go ostatni raz widziała. Zachowała miasto w pamięci jako skupisko czarnych domków o krzaczastych brwiach. Ze słupów koło Bramy Temple uśmiechały się głowy buntowników. Bruki cuchnęły odpadkami i nieczystościami. Teraz, gdy statek żeglował koło Wapping, tu i ówdzie prześwitywały szerokie, porządne gościńce. Okazałe powozy ciągnięte przez zaprzęgi dobrze wykarmionych koni stały u bram domów, których wykusze, wielkie szyby w oknach, polerowane gałki u drzwi świadczyły o zamożności i niejakej godności właścicieli. Damy w kwiecistych jedwabiach (przyłożyła do oczu lornetę kapitana) stapały po podwyższonych trotuarach. Mieszczanie w haftowanych płaszczach zażywali tabaki na rogach ulic w świetle latarni. Wpadły jej w oko rozmaite szyldy rozkołysane na wietrze, a z tego, co było na nich namalowane, mogła sobie w jednej chwili przedstawić tysiące sprzedawanych wewnątrz towarów: tytoń, sukna, jedwabie, złoto, srebro, rękawiczki, pachnidła. A gdy statek płynął na kotwiczowisko koło London Bridge, nie pozostało jej nic innego, jak patrzeć w okna kafejek, gdzie, jako że pogoda sprzyjała, wielka liczba porządnymi obywateli rozsiadła się na tarasach, z porcelanowymi talerzami przed sobą, glinianymi fajkami w pogotowiu; ktoś czytał wiadomości z gazety, reszta przerywała mu wybuchami śmiechu i komentarzami. A gdzie owe tawerny, gdzie owe lwy salonowe, gdzie owi poeci? spytała kapitana Bar

tolusa, który ucieszył się, że może ją poinformować, iż w tej właśnie chwili - jeśli zechce skrócić nieco główkę i spojrzeć za jego małym palcem, o, tam - mijają „Drzewo Kokosowe”, gdzie - tak, to on - można zobaczyć imię Addisona przy kawie; dwaj pozostali dżentelmeni - tutaj, pani, odrobinę na prawo od lampy, jeden garbaty, drugi nie różny od pani czy mnie - to byli imię Dryden i imię Pope\*. - Nędzne łajdaki - powiedział kapitan, przez co rozumiał, że są papistami - ale mają olej w głowie, bez dwóch zdań - dodał, i pospieszył na dziób, by doglądnąć lądowania statku.

- Addison, Dryden, Pope - powtórzyła Orlanda, niby zakłęcie. Przez chwilę widziała wysokie góry nad Broussa, w następnej postawiła stopę na ojczystej ziemi.

Teraz Orlanda miała się przekonać, jak niewiele znaczą porywy namiętnego serca wobec żelaznego oblicza prawa, prawa twardszego aniżeli kamienie London Bridge, sroższego aniżeli paszcza armaty. Zaledwie wróciła do swego domu w Blackfriars, kiedy procesja gońców, emisariuszy z Bow Street i innych sądów, uzmysłowiła Orlandzie, że pod jej nieobecność wytoczono jej trzy procesy, jak również bez liku innych, pomniejszych spraw sądowych, z owymi procesami powiązanych. Podstawowe zarzuty przeciw niej brzmiały: (1) że nie żyje, a zatem nie posiada prawa do żadnej własności; (2) że jest kobietą, co właściwie wychodzi na to samo; (3) że jest angielskim księciem poślubionym niejakej Rosini Pepicie, tancerce, z którą ma trzech synów, a synowie owi, oświadczywszy, że ich ojciec zmarł, zażądali w spadku całego poń majątku. Oddalenie tak poważnych zarzutów wymaga, oczywiście, czasu i pieniędzy. Na co

\* Kapitan był w błędzie, jak się można przekonać, zaglądając do pierwszego lepszego podręcznika literatury; nie była to jednak pomyłka złośliwa, wobec czego nie będziemy jej korygować. (V.W.)

rozpraw wszystkie jej dobra opieczętowano, a tytuły zawieszono. W sytuacji zatem wysoce niejednoznacznej, niepewna, czy jest żywą czy martwą, mężczyzną czy kobietą, księciem czy nikim, udała się do swej wiejskiej siedziby, gdzie, do czasu zapadnięcia wyroku, uzyskała zezwolenie sądu na pobyt w charakterze *incognito* czy też, jak się mogło okazać, *incognita*.

Gdy przybyła na miejsce, był piękny grudniowy wieczór, padał śnieg, a fiołkowe cienie padały ukośnie jak owego dnia na szczycie góry w Broussa. Wielki pałac bardziej miasto przypominał aniżeli dom, brązowy i niebieski, różowy i purpurowy pośród śniegu, a wszystkie kominy dymiły niestrudzenie jakby natchnione własnym życiem. Orlanda nie mogła powstrzymać okrzyku zachwytu, gdy ujrzała swój dom, spokojny i ogromny, spoczywający na łąkach. Gdy zielony powóz wjechał do parku i turkotał po podjeździe między drzewami, płowe jelenie uniosły głowy jakby w oczekiwaniu, po czym, jak zauważono, miast okazać właściwą swemu rodzajowi płochliwość, ruszyły za powozem i stanęły na dziedzińcu, gdy zajechał. Niektóre poruszały rogami, inne grzebały kopytami w ziemi, gdy spuszczone stopień i Orlanda wysiadła. Jeden ponoć ukląkł przed nią na śniegu! Nim zdążyła sięgnąć ręką kołatki, oba skrzydła wielkiej bramy rozwarły się, a tam, z lampami i pochodniami w górze, stali jejmość Grimsditch, imię Dupper i cała świta sług wyszłych jej na powitanie. Porządek ceremonii powitalnej zakłócił wpierw Kanut, skandynawski ogar, który rzucił się na swą panią z takim zapamiętaniem, że

nieomal przewrócił ją na ziemię, a potem jejmość Grimsditch, którą tak rozsadały wzruszenia, że choć chciała skłonić się uprzejmie, wydusiła tylko: ,

- Jaśnie panie! Jaśnie pani! Jaśnie pani! Jaśnie panie! Orlanda ukoła ją serdecznymi całusami w oba policzki. Następnie imć Dupper zaczął czytać z pergaminu, lecz pośród szczekania psów, dęcia w rogi przez myśliwych i ryczenia do księżycy przez daniele, które korzystając z zamie szania, weszły na dziedziniec, nie posunął się wiele naprzód. Wkrótce całe towarzystwo rozpierchło się po domu, otoczywszy wprawdzie ciasno swą panią i wszelkimi możliwymi sposobami okazawszy wielką radość z jej powrotu.

Nikt choćby na chwilę nie zdradził się z podejrzeniem, że Orlanda nie jest tą samą osobą co dawny Orlando. Jeśli w ludzkich umysłach powstały jakiegokolwiek wątpliwości, zachowanie jeleni i psów wystarczyło, by je rozwiać, bowiem nieme stworzenia, jak dobrze wiadomo, są znacznie lepszymi sędziami tożsamości i charakteru niżli my sami. Ponadto, powiedziała tego wieczoru jejmość Grimsditch, znad filiżanki chińskiej herbaty, do imć Duppera, jeśli jej pan jest teraz panią, to nigdy nie widziała cudniejszej, a gdyby przyszło jej między nimi wybierać, niezły miałaby ambaras; oboje zostali hojnie obdarowani przez niebiosy łaskami; podobni byli jak dwie brzoskwinie na jednej gałęzi. Bogiem a prawdą, powiedziała jejmość Grimsditch, uderzając w konfidencjonalny ton, już dawno miała swoje podejrzenia (tu pokiwała głową bardzo tajemniczo), nie jest wcale a wcale zdziwiona (tu pokiwała głową bardzo przemądrzałe), a nawet, rzecz trzeba, znajduje w tym wielką pociechę; tyle bowiem ręczników. do pocerowania, zasłony w salonie kapelana nadjedzone przez mole - czas najwyższy, żeby domem zajęła się kobieca ręka.

- No i czas na małych Jaśnie Paniczów i Jaśnie Panienni - dodał imć Dupper, z racji swego świętego urzędu uprawniony do wygłaszania sądów w tak delikatnej materii.

Gdy starzy służący gawędzili w izbie czeladnej, Orlanda wzięła srebrną świecę i znów wędrowała przez sale, korytarze, dziedzińce, sypialnie; znów spojrzała na nią mroczne oblicze to strażnika pieczęci, to szambelana, jej antenatów; to spoczęła na tronie, to wyciągnęła się rozkosznie na kanapie; spostrzegła, że arras faluje jak dawniej; patrzyła, jak myśliwi cwałują na koniach, „Dafne umyka jak na skrzydłach; zboczyła dłoń, miłym sercu zwyczajem z dzieciństwa, w strumieniu żółtego światła, które księżyc sęczył przez her

bowego lamparta w oknie; ślizgała się po polerowanych klepkach podłogi korytarza; dotknęła to jedwabiu, to satyny; cieszyła oczy gracją rzeźbionych delfinów; uczesała włosy srebrnym grzebieniem króla Jakuba; zanurzyła twarz w *pot-pourri*, sporządzonym według przepisu Wilhelma Zdobywcy sprzed setek lat, z tych samych róż; patrzyła na ogród i wyobrażała sobie uśpione krokusy, drzemiące dalie; ujrzała krule nimfy bielące się w śniegu i wielkie cisowe żywopłoty, czerniawe i grube jak dom; ujrzała oranżerie i rozłożyste niespłiki. Wszystko to ujrzała, a każdy obraz i dźwięk, chaotycznie przez nas pisany, wypełniał jej serce taką żądzą życia i balsamem radości, że wreszcie, do cna znużona, weszła do kaplicy i zapadła w stary czerwony fotel, w którym jej przodkowie zwykli słuchać nabożeństw. Tu zapaliła fajkę (obyczaj ten przywiozła ze sobą ze Wschodu) i otworzyła modlitewnik.

Była to niewielka księga - oprawna w aksamit, zeszyta złotą nicią - którą trzymała w dłoni Maria, królowa . Szkotów, na szafocie; okiem wiary dało się wykryć brązową plamę, ponoć ślad królewskiej krwi. Lecz jakie zbożne myśli wzbudziła księga w Orlandzie, jakie uśmierzyła wszeteczne pasje, któż śmie wyrokować, skoro ze wszystkich łączności duchowych wspólnota duszy z Bogiem jest najbardziej nieprzenikniona? Powieściopisarz, poeta, historyk, wszyscy stają bezradni przed tymi drzwiami. Nie oświeca nas też sam wierzący. Bo czyż jest bardziej od innych gotów umrzeć, chętniej dzieli się swymi dobrami? Czyż nie utrzymuje tylu pokojówek i koni do powozu co cała reszta? A przecież mówi, że wyznaje wiarę, wedle której dobra są marnościami, a śmierć czymś pożądanym. W modlitewniku królowej, prócz plamy krwi, był też pukiel włosów i okruch ciasta; Orlanda dodała teraz do tych pamiątek listek tytoniu, a gdy tak czytała i paliła, ten jakże ludzki rozgardiasz włosy, placek, plama krwi, tytoń - nastroił ją kontemplacyjnie i natchnął stosownym do okoliczności pietyzmem, choć powiada się, że nie utrzymywała stosunków z ogólnie

przyjętym Bogiem. Trudno wszakże o bezczelniejszą, choć zarazem powszechniejszą supozycję, aniżeli ta, iż nie ma innych bogów prócz jednego i nie ma innych religii prócz naszej. Orlanda, jak się zdaje, miała swą własną wiarę. Z całą religijną żarliwością tego świata rozważała teraz swe grzechy i niedoskonałości, które ubożyły jej ducha. Litera S pomyślała - to wąż w rajcu poety. Mimo najlepszych chęci, w pierwszych strofach Dębu było nadal zbyt wiele tych grzesznych płazów. Lecz „S”, jej zdaniem, to nic w porównaniu z częstką „ac”. Imiesłów współczesny to sam diabeł, pomyślała (jesteśmy teraz w miejscu, gdzie wierzy się w diabły). Ujść takim pokusom to pierwszy obowiązek poety, powzięła konkluzję, bowiem ucho jest przedsiódką duszy, toteż poezja potrafi skuteczniej znieprawić i zniszczyć aniżeli żądza czy proch. Powołanie poety jest zatem najwznioślejsze ze wszystkich. Jego słowa sięgają tam, gdzie nie dochodzą słowa innych. Byłe piosenka Szekspira więcej uczyniła dobrego dla ubogich i wszetecznych aniżeli wszyscy filantropi i kaznodzieje pod słońcem. Nigdy zatem dość czasu, nigdy dość wysiłku włożonych w to, by słowa niosące nasze przesłanie były wierniejsze. Musimy formować nasze słowa, aż staną się cieniuseńką tylko osłonką dla naszych myśli. Myśli są od Boga i tak dalej. Oczywiście jest zatem, że Orlanda znów oddała się w jasyr swej własnej religii, którą czas tylko umocnił pod jej nieobecność, oraz że szybko nabywała współwystępującego - tolerancji.

- Stając się dorosła - rzekł - Tracę pewne złudzenia - powiedziała, zamykając modlitewnik królowej Marii - może, by zyskać inne - po czym zesła między grobowce, gai; ,: kosri jej przodków.

Nawet jednak kości przodków, Sir M i l i < . ; v ; ise' a i reszty, utraciły nieco ze swej świętości, odkąd owej nocy Rustum el Sadi pokazał jej szerokim gestem góry Azji. Ledwie trzysta czy czterysta lat wcześniej te szkielety były ludźmi, przed którymi stała kariera w świecie jak przed każdym współczesnym parweniusem, i jak każdy parweniusz zrobili karierę, zdobywając domy i posady, podwiązki i wstęgi, podczas gdy poeci, ludzie wielkiego umysłu i urodzenia, woleli spokój prowincji, a za wybór swój zapłacili skrajną nędzą i teraz handlowali gazetami na Strandzie bądź pasali owce na polach. Rozważania te wzbudziły w Orlandzie wyrzuty sumienia. Stojąc w krypcie, pomyślała o piramidach egipskich i złożonych pod nimi kościach, a rozległe pustkowie górz dźwigających się nad morzem Marmara zdały się jej, na chwilę, godniejszym mieszkaniem aniżeli ten dwór o wielu pokojach, gdzie żadne łożo nie obyło się bez koldry, a żaden srebrny talerz bez srebrnej pokrywy.

Stając się dorosła - pomyślała, biorąc świecę. - Tracę złudzenia, być może, by zyskać inne. Przeszła długim korytarzem do swej sypialni. Niemiała to być przemiana, i kłopotliwa, ale ciekawa, pomyślała, wyciągając nogi ku płonącym drwom (gdyż nie było wokół żadnych marynarzy), i spojrzała wstecz na wędrowną swą własną osobę przez przeszłość jak na szpaler wielkich gmachów.

Jakże kochała dźwięki jako chłopiec, a kanonadę prędkich sylab z czyichś ust miała za najpiękniejszą z poezji. Potem - może za sprawą Saszy i ówczesnego rozczarowania - w jej ekstazę wsiąkała jakaś czarna kropla, która przemieniła rapsodię w niemrawość. Powoli otworzył się w niej labirynt o wielu salach, które trzeba zwiedzać z pochodnią, nie wierszem, lecz prozą; pamiętała, z jaką pasją zgłębiała tego doktora z Norwich, Browne'a, którego księgę miała teraz pod ręką. W samotności po awanturze z Greene'em, ukształtowała w sobie, czy też chciała ukształtować (bowiem to trwa całe wieki) ducha zdolnego stawić czoło przeciwnościom. „Będę pisać - powiedziała wtedy - co pisać lubię”. I tak skreśliła dwadzieścia sześć woluminów. Wszelako, mimo podróży i przygód, i głębokich przemyśleń, i zwrotów raz w tę, raz w tamtą stronę, znajdowała się dopiero w stadium kształtowania. Co miała przynieść przyszłość, wiedziały tylko niebiosy. Przemiana była ustawiczna, może nigdy nie ustanie. Niebosiężne szańce myśli, zwyczajnie, które zdawały się równać trwałością skale, waliły się jak cienie pod dotknięciem innego umysłu, zostawiając nagie niebo, rozbłysłe świeżymi gwiazdami. Tu podeszła do okna i rozwarła je, mimo chłodu. Wychyliła się w mżyste powietrze nocy. Usłyszała, jak w lesie warczy lis, w zaroślach szeleści bażant. Usłyszała, jak śnieg zsuwa się z dachu i pać! uderza o ziemię.

- Na mój żywot - zakrzyknęła - to tysiąc razy lepsze niż Turcja! Rustumie! - zawołała, jakby wiodła z nim spór (zdolność zachowania sporu w umyśle i kontynuowania go z kimś, kogo nie było, aby jej zaprzeczyć, znowu dowodziła rozwoju jej duszy) - nie miałeś racji. To lepsze niż Turcja. Włosy, ciasto, tytoń, z jakich różności się składamy - powiedziała (mając na myśli modlitewnik królowej Marii). - Jakąż fantasmagorią jest umysł i miejscem schadzek niepodobieństw! W jednej chwili pogardzamy swym pochodzeniem i stanem, pragniemy zatracić się w ascezie; w następnej tęsknimy za aromatem starej ścieżki w ogrodzie, płaczymy za śpiewem drozda. - Jak zawsze oszołomiona mnogością rzeczy, które wymagają wyjaśnienia, które odciskają swą treść, nie pozostawiając żadnych wskazówek co do swego znaczenia, wyrzuciła fajkę za okno i poszła do łóżka.

Następnego ranka, aby nie dać ujść tym myślom, wyjęła pióro i papier i zabrała się na nowo za *Dqb*, bowiem mieć pod dostatkiem inkaustu i papieru, kiedy przedtem człowiek radził sobie z pomocą jagód i pustych marginesów, to rozkosz ponad wszelkie pojęcie. Wykreślała więc jakąś frazę w odmetach rozpaczy, to znowu wpisywała inną w szale uniesienia, gdy wtem na arkusz padł cień ~;iechu schowała manuskrypt.

Jako że okna jej wychodziły na najbarde :a~?rznny dziedziniec, jako że wydała polecenia, by nikogo do niej nie wpuszczać, jako że nikogo nie знаła, a z punktu widzenia prawa nie istniała, z początku cień zdumiał ją, potem oburzył, a na koniec (gdy uniosła głowę i ujrzała jego przyczynę) przepełnił weselem. Był to bowiem cień znajomy, cień groteskowy, cień nie mniejszej osobistości, aniżeli arcyksiężna Harriet Griselda von Finster-Aarhorn Scand-op-Boom, włości rumuńskich. Człapała przez dziedziniec w swym starym czarnym płaszczu jeździeckim i mantyli. Nie zmieniała się ani o włos. A zatem to jest kobieta, co wygnała ją z Anglii! Tu było gniazdo tego wstrętnego sępa - a oto samo fatalne ptaszysko! Na myśl, że uciekła aż do Turcji, by nie dać się uwieść wdziękom arcyksiężnej (mocno już wyblakłym), Orlanda zaśmiała się na głos. W jej widoku było coś niewyraźalnie komicznego. Nic tak nie przypominała, co już wcześniej przyszło Orlandzie na myśl, jak monstualnego zająca. Miała wylupiaste oczy, zakłęśte lice, tupet na głowie. Zatrzymała się, jak zając siedzący w zbożu na tylnych łapach, i wlepiła wzrok w Orlandę, która odwzajemniła z okna spojrzenie. Gdy się już napatrzyły, nie pozostało nic innego, jak zaprosić gościa do środka. Wkrótce dwie panie raczyły się pozdrowieniami, podczas gdy arcyksiężna strzepywała śnieg z mantyli.

Zaraza z kobietami - pomyślała Orlanda w duchu, idąc do kredensu po wino - ani na chwilę nie zostawią człowieka w spokoju. Nie masz bardziej wścibskiego, ciekawskiego, intryganckiego gatunku ludzi. Wyjechałam z Anglii właśnie ażeby uwolnić się od tej tyczki, a tutaj... - odwróciła się, by poczęstować arcyksiężną winem, i oto w jej miejscu stał wysoki mężczyzna w czerni. Na kracie kominka leżała sterta ubrań. Orlanda była sam na sam z mężczyzną.

Przeobrażenie to podwójnie ją zbulwersowało. Przywołało zupełnie zapomnianą świadomość jej własnej płci, a także jego płci, na tyle już odległą, że równie odpychającą. Orlandzie zrobiło się słabo.

- Ach! - zakrzyknęła, kładąc dłoń na piersi. - Jakże mnie pan przeraża!

- Łagodna istoto! - zawołała arcyksiężna, padając na jedno kolano, a jednocześnie przytykając szklanicę kordiału do ust Orlandy. - Wybacz szalbierstwo, jakim ci wyrządził!

Orlanda wypila wino, a arcyksiężę uklął: 'riow;~ł jej dłoń.

By się zbyt nie rozwodzić, przez dziesis . . .;~5~ ~ wielkim wigorem odgrywali role mężczyzny i kobiety, po czym wrócili do naturalnej rozmowy. Arcyksiężna, którą na przyszłość zwać jednak będzie trzeba arcyksięciem - a zatem arcyksiężę opowiedział swą historię: ujrzał portret Orlanda i zapalał do niego beznadziejną miłością; aby osiągnąć swe cele, przebrał się za kobietę i zamieszkał nad piekarnią; był w rozpacz, gdy Orlando zbiegł do Turcji; usłyszał o jego przemianie i pospieszył oddać się na jej usługi (tu jego hi, hi! ho, ho! stały się nieznośne). Bowiem dla niego, powiedział arcyksiężę Harry, ona była i zawsze będzie arcydziełem, klejnotem, najdoskonalszym wcieleniem swej płci. Owe górne słowa bardziej przemawiałyby do serca, gdyby nie zostały okraszone najdziwniejszej maści hiami i hohami.

- Jeśli to jest miłość - powiedziała do siebie Orlanda, patrząc na stojącego arcyksięcia, teraz z punktu widzenia kobiety - jest w niej coś wysoce niedorzecznego.

Padając na kolana, arcyksiężę Harry złożył jej gorejącą namiętnością ofertę małżeńską. Wyznał jej, że w kufrze na swym zamku trzyma około dwudziestu tysięcy dukatów. Że ma więcej ziemi aniżeli jakikolwiek szlachcic angielski. Poluje się tam niezrównanie: może jej obiecać melanz kuropatw i cietrzewi, z jakim nie może iść w zawody żadne angielskie ani też szkockie wrzosowisko. Prawda, że bażanty cierpią pod jego nieobecność na pypeć, a łanie ronią młode, ale to da się naprawić i naprawi się z jej pomocą, gdy zamieszkają razem w Rumunii.

Gdy mówił, w jego wypuszczonych na wierzch oczach zalśniły łzy i popłynęły piaskowymi żłobieniami w jego długich i kościstych licach.

121 I

Że mężczyźni płaczą równie często i nierozumnie jak kobiety, Orlanda wiedziała ze swych własnych doświadczeń jako mężczyzna; zaczęła jednak mieć świadomość, że kobiety powinny być zbulwersowane, jeżeli mężczyźni okazują w ich obecności uczucia, toteż była zbulwersowana.

Arcyksiężę poprosił o wybaczenie. Dość panował nad sobą, by powiedzieć, że opuszcza ją teraz, lecz wróci nazajutrz po odpowiedź.

Był wtorek. Arcyksiężę przyszedł w środę, przyszedł w czwartek, przyszedł w piątek, przyszedł też w sobotę. Prawda, że każda wizyta rozpoczynała się od miłosnego wyznania, lecz potem następował czas na długie milczenie. Siedzieli po obu stronach kominka; arcyksiężę wywraçał niekiedy pogrzebacze, Orlanda je podnosiła. Arcyksiężę rozwodził się wtedy nad losami, do których strzelał w Szwecji, a Orlanda pytała, czy były to bardzo duże losie, na co arcyksiężę odpowiadał, że nie tak duże jak renifery, do których strzelał w Norwegii; na co Orlanda pytała, czy zastrzelił kiedyś tygrysa, a arcyksiężę odpowiadał, że zastrzelił albatrosa, na co Orlanda pytała (ze skrywanym ziewnięciem), czy albatros jest tak wielki jak słoń, a arcyksiężę mówił - niechybnie coś bardzo dorzecznego, lecz Orlanda tego nie słyszała, bowiem patrzyła na swe przybory do pisania, na niebo za oknem, na drzwi. Na co arcyksiężę mówił „Ubóstwiam panią” dokładnie w tej samej chwili, gdy Orlanda mówiła „O, zaczyna padać”, co wprawiało oboje w wielkie zakłopotanie, oblewało szkarłatem i odbierało mowę. W istocie Orlanda odchodziła od zmysłów, szukając tematów do rozmowy i gdyby nie wynalazła gry o nazwie „siadmucha”, w której można niewielkim wysiłkiem umysłu stracić wielkie sumy pieniędzy, bodajby go poślubiła. Jak się go pozbyć z kretesem, nie wiedziała, lecz ów prosty koncept, wymagający tylko trzech kostek cukru i dostatku much, wybawił ją od kłopotliwych rozmów i konieczności zamążpójścia. Arcyksiężę stawiał bowiem pięćset funtów do szylinga, że mucha siądzie na tej, a nie na innej kostce. Mieli zatem zajęcie na cały ranek: patrzyli na muchy (z natury niemrawe o tej porze roku, toteż często i godzinę potrafiły krążyć pod sufitem), aż wreszcie jakaś piękna bolimuszka podjęła decyzję i rozstrzygnęła zakład. Wiele setek funtów zmieniło właściciela, a arcyksiężę, urodzony hazardzista, zaklinał się, że natężeniem emocji gra przewyższa wyścigi konne i ślubował, że nigdy mu się nie znudzi. Lecz Orlandę wkrótce ogarnęło znużenie.

- Cóż z tego, że jestem piękną kobietą w kwiecie wieku - spytała - skoro muszę spędzać każdy poranek na oglądaniu bolimuszek z jakimś arcyksięciem?

Zaczęła się brzydzić widokiem cukru, a muchy przyprawiały ją o zawroty głowy. Jakieś wyjście z tarapatów być musi, sądziła, lecz w niewieściach arkanach była nadal nieporadna, a że nie mogła już rąbnąć mężczyzny w głowę czy też przeszyć go rapierem, oto na jaki wzięła się sposób. Złapała bolimuszkę, delikatnie wycisnęła z niej życie (owad był już na poły martwy, w przeciwnym razie życzliwość Orlandy wobec bezbronnych istot nie byłaby jej na to pozwoliła) i kroplą gumy arabskiej przyklepiła do kostki cukru. Kiedy arcyksiężę spoglądał w sufit, zręcznie zamieniła kostkę z tą, na którą postawiła pieniądze, po czym, zawoławszy „Siad! Siad!”, oświadczyła, że wygrała zakład. Umyśliła sobie, że arcyksiężę, znawca sportu i wyścigów konnych, wykryje oszustwo, a że kantowanie w „siadmusze”, jak i w innych grach hazardowych, należy do najohydniejszych zbrodni i ludzie są za to dożywotnio zsyłani między małpy w tropiki, liczyła, że arcyksiężę okaże na tyle męstwa, by nie chcieć mieć z nią już nic wspólnego. Nie doceniła jednak prostoty ducha uroczonego szlachcica. Nie był zawołanym ekspertem od much. Martwa niczym się dla niego nie różniła od żywej. Powtórzyła swą sztuczkę dwadzieścia

razy i zapłacił jej ponad siedemnaście tysięcy dwieście pięćdziesiąt funtów (co wychodzi około czterdzieści tysięcy osiemset osiemdziesiąt pięć funtów, sześć szylingów, osiem pensów na nasze pieniądze), nim Orlanda dokonała zamiany tak ostentacyjnie, że podstęp nie uszedł nawet niewinnych oczu arcyksięcia.

122 ( 123

Gdy nareszcie poznał prawdę, nastąpiła bolesna scena. Arcyksiążę zerwał się na nogi. Oblał szkarłatem. Jego licami popłynęły, jedna po drugiej, łzy. Że wygrała od niego fortunę, to drobnostka - nie żałował tego; że jest zdolna, by go oszukać, trochę go zabołało; lecz że kantowała, to niewybaczalne. Niemożliwością jest, powiedział, kochać kobietę, która nie przestrzega reguł gry. Tu do cna się załamał. Szczęściem, rzekł, przyszedłszy nieco do siebie, nie było świadków. Jest przecież w końcu tylko kobietą, powiedział. Słowem, w swym rycerskim sercu gotował dla niej przebaczenie i skłonił się, by przeprosić za niegodny dżentelmena język, gdy Orlanda przypieczętowała sprawę, wrzucając mu, gdy skłonił swą dumną głowę, ropuchę za koszulę.

Trzeba sprawiedliwie powiedzieć, że nieskończenie wolałaby rapier. Ropuchy to stworzenia zbyt oślizłe; żeby je chętnie ukrywać na swej osobie przez cały ranek. Wszakże jeśli rapiery są zakazane, trzeba się uciec do ropuch. Ponadto ropuchy i śmiech potrafią czasem, wspólnymi siłami, dokonać więcej aniżeli zimna stal. Zaśmiała się. Arcyksiążę pokraśniał. Zaśmiała się. Arcyksiążę zaklął. Zaśmiała się. Arcyksiążę trzasnął drzwiami.

- Chwała niech będzie niebu! - zawołała Orlanda, dalej roześmiana. Usłyszała turkot kół powozu pędzącego z szaleńczą prędkością dziedzińcem. Usłyszała, jak klekoczą drogą. Hałas był coraz to niklejszy, aż zupełnie zgasł.

- Jestem sama - powiedziała Orlanda, na głos, gdyż nie było komu jej podsłuchać.

Że cisza po zgiełku jest głębsza, nadal wymaga potwierdzenia nauki, lecz że samotność bardziej się uwidacznia, gdy dopiero co odszedł zalotnik, przysięgłoby wiele kobiet. Gdy turkot kół powozu arcyksięcia zamierał, Orlanda czuła, że coraz bardziej się od niej oddala: (1), arcyksiążę (co jej nie przeszkadzało); (2) fortuna (co jej nie przeszkadzało); (3) tytuł (co jej nie przeszkadzało); (4) bezpieczeństwo i ceremoniał życia małżeńskiego (co jej nie przeszkadzało); lecz czuła także, że życie się od niej oddala, i amant.

- Życie i amant - mruknęła; podeszła do sekretery, zanurzyła pióro w inkauscie i napisała: Życie i amant wers nie do rymu i nie do sensu z wcześniejszym tekstem, czyli dysertacją na temat właściwej metody kąpieli owiec dla zapobiegania świerzbowi. Przeczytała ~ ~ ~ zarumieniła się i powtórzyła:

- Życie i amant. - Odłożywszy nu i-: ; \_ doszła do swej sypialni, stanęła przed lustrem i poprawiła perły na szyi. Później, jako że perły źle idą w parze z bawełnianą matką w kwiaty, przebrała się w gołąbkową taftę, następnie w taftę koloru kwiatu brzoskwini, następnie w winny brokat. Może zdałaby się szczypta pudru, a gdyby jeszcze zasnąć - o tak - brew włosami, będzie zupełnie niczego sobie. Potem wsunęła stopy w szpiczaste pantofelki i naciągnęła na palec pierścień ze szmaragdem. - Już - powiedziała, gdy wszystko było gotowe, i zapaliła srebrne lichtarze po obu stronach lustra. Jakaż kobieta nie rozgorzałaby rozkoszą, ujrawszy ognisty spektakl w śniegu, jaki ujrzała Orlanda - bowiem wokół zwierciadła biegły śnieżyste ścieżyny, a ona była jak jezioro ognia, płonący krzew, a płomień świec wokół jej głowy jak srebrzyste listowie; a może też szkło było zieloną wodą, a ona syreną strojną w perły, syreną w pieczarze zawodzącej tęskliwie, by wioślarze wychylili się i wypadli ze swych łodzi spragnieni jej objęć; tak mroczna, tak jasna, tak jędrna, tak miękka była, tak zdumiewająco uwodzicielska, że po tysiącokroć szkoda, iż nie było nikogo, kto powiedziałby jej prozaicznie i prosto z mostu: „Do licha, pani, jesteś piękność wcielona”, co nie kłóciło się z prawdą. Wiedziała o tym nawet Orlanda (która nie miała nieskromnych wyobrażeń co do swej osoby), gdyż pojaśniała spontanicznym uśmiechem właściwym kobietom, gdy ich własna uroda, która zdaje się wcale do nich nie przynależać, skropi się jak para i ni z tego, ni z owego spojrzy na nie z lustra - tym właśnie pojaśniała uśmiechem, po czym nastawiła uszu, a usłyszawszy tylko szelest liści i świergot jaskółek, westchnęła: - Żarcie i amant - po czym od

124 / 125 I

wróciła się na pięcie z niezwykłą raptownością, zerwała perły z szyi, zrzuciła satyny z ramion, wyprężyła się jak struna w zwykłych czarnych bryczesach pierwszego lepszego szlachcica i zadzwoniła na służbę. Kiedy przyszedł kamerdyner, poleciła, by zaraz był gotów do drogi powóz z szóstką koni. Nagle sprawy wzywają ją do Londynu. Nie minęła godzina od wyjazdu arcyksięcia, gdy Orlanda opuściła dom.

Jako że za oknem powozu migał zwyczajny angielski krajobraz, nad którym zbyteczne się rozwodzić, skorzystamy ze sposobności, by bardziej szczegółowo, aniżeli mieliśmy wówczas możliwość, rozwinąć kilka uwag, które tu i ówdzie wśliznęły się do naszej opowieści. Można było na przykład zauważyć, że Orlanda schowała swe manuskrypty, gdy jej przeszkodzono, że patrzyła w lustro długo i uporczywie, a teraz wreszcie, gdy jechała do Londynu, dało się spostrzec, że wzdryga się i tłumi krzyk, gdy konie galopują prędzej, niżby sobie życzyła. Umiar w ocenie swego pisania, próżność wobec swej osoby, obawa o swe bezpieczeństwo - wszystko to zdaje się sugerować, że nasze niedawne stwierdzenie - powiedzieliśmy, że stając się kobietą, Orlando nic a nic się nie zmienił - przestało być bez reszty prawdziwe. Stawała się nieco skromniejsza, jak to kobiety, co do swego umysłu, a nieco próżniejsza, jak to kobiety, co do swej osoby. Jej wrażliwość tu się wyostrzała, gdzie indziej gasła. Wiele z tego można złożyć na karb zmiany stroju, powiedzą niektórzy filozofowie\*. Choć błahą drobnostką zdaje się strój, mówią oni, ważniejsze pełni obowiązki, aniżeli tylko chronić nas przed zimnem. Strój zmienia nasz pogląd na świat, jak również pogląd świata na nas. Dla przykładu, kiedy kapitan Bartolus ujrzał



spódnicę Orlandy, bezzwłocznie kazał rozpiąć dla niej markizę, namawiał, by nałożyła sobie jeszcze jeden plasterk wędzonej wołowiny

\* Carlyle.

i zaprosił ją na wspólną wyprawę barkasem na brzeg. Czułe te atencje z pewnością nie byłyby jej spotkały, gdyby jej spódnice, miast swobodnie powiewać, byłyby obcisłe wzorem bryczesów. A gdy się nas darzy czułą atencją, przystoi to jakoś odwzajemnić. Orlanda pokłoniła się; na wszystko przystała; schlebiała humorom tego dobrego człowieka, czego by nie uczyniła, gdyby kapitan zamiast bryczesów nosił spódnice, a zamiast munduru z galonami - satynowy gorset. Wiele zatem znajduje poparcia pogląd, że to stroje noszą nas, a nie odwrotnie; choć każemy im przybrać kształt ramienia czy piersi, one kształtują nasze serca, nasze mózgi, nasze języki wedle swego upodobania. Jako że więc przez dłuższy czas nosiła spódnice, w Orlandzie dała się dostrzec pewna przemiana, widoczna nawet, jeśli czytelnik zechce rzucić okiem na stronę 85\*, w jej twarzy. Jeżeli porównamy obraz Orlanda-mężczyzny z Orlandą-kobietą, ujrzymy, że choć bez wątpienia są jedną i tą samą osobą, nie obeszło się bez pewnych zmian. Mężczyzna ma dłoń swobodną, by w każdej chwili chwycić za miecz, kobieta używa swojej, by nie zsunęły się jej z ramion satyny. Mężczyzna patrzy światu prosto w twarz, jakby świat ten został stworzony ku jego potrzebom i urobiony ku jego upodobaniom. Kobieta zerka na świat z ukosa, pytająco, a nawet podejrzliwie. Gdyby nosili te same stroje, możliwe że i spojrzenie na świat mieliby to samo.

Taki jest pogląd niektórych filozofów, i to niegłupich, lecz ogólnie rzecz biorąc skłaniamy się ku innemu. Różnica pomiędzy płciami kryje się, na całe szczęście, bardzo głęboko. Stroje są symbolem czegoś znacznie mniej naskórkowego. Wybór kobiecych strojów i kobiecej płci podyktowała

\* Korzystamy z okazji, by nadmienić, iż pierwotne opracowanie życiorysu Orlanda opatrzone było skorowidzem. Ponieważ postęp, jaki się od tego czasu dokonał w naukach historycznych zrewidował niektóre z supozycji autorki, traktujemy jej utwór raczej jako powieść biograficzną aniżeli dzieło naukowe *sensu stricto* i skorowidz pomijamy.

126 ~ 127

przemiana, jaka zaszła w samej Orlandzie. Być może tylko wyraziła bardziej otwarcie aniżeli zazwyczaj - a otwartość była, zaiste, sednem jej natury - coś, co przydarza się większości ludzi, lecz nie zostaje tak bez ogródek wypowiedziane. Tu bowiem raz jeszcze napotykamy dylemat. Wprawdzie jedna płeć jest od drugiej różna, lecz mieszają się ze sobą. W każdej ludzkiej istocie zachodzi chwiejność między jedną płcią a drugą i często tylko strój pozwala zachować pozór męski bądź niewieści, a pod spodem kryje się coś wręcz przeciwnego niż na wierzchu. Powikłań i pomyłek z tego zrodzonych doświadczył każdy. W tym jednak miejscu zostawiamy rozważania ogólne; zwrócimy już tylko uwagę na osobliwe skutki, jakie cała ta sprawa wywarła na samej Orlandzie.

Bowiem właśnie owo pomieszanie żywiołów męskiego i kobiecego, które naprzemiennie brały w niej górę, często nadawało jej sprawowaniu nieoczekiwany obrót. Wścibskie przedstawicielki jej własnej płci zachodziłyby, dajmy na to, w głowę, czemu Orlanda, skoro jest kobietą, nigdy nie ubiera się dłużej niż dziesięć minut? I czy nie dobiera sobie stroju jakby na chybił trafił, czy nie nosi go dość niedbale? Później by wszakże dodały, iż nie ma w niej za grosz męskiego konwencjonalizmu i umiłowania władzy. Posiada do przesady czułe serce. Nie może znieść, gdy kto na jej oczach batoży osiołka czy topi kocięta. Z drugiej znów strony, niechybnie by spostrzegły, że brzydzi się sprawami domostwa, wstaje o świcie i latem, nim wszędzie słońce, jest już pośród pól. Żaden rolnik nie znał się lepiej od niej na uprawie. W opilstwie mogła iść w zawody z najlepszymi i lubiła się hazardować. Dobrze jeździła konno i potrafiła wziąć szóstkę koni do galopu przez London Bridge. Zauważono by znowuż jednak, że choć dzielna i żywiołowa jak mężczyzna, na widok innej osoby w niebezpieczeństwie dostawała najzupełniej niewieścich palpacji. Za najlżejszym poduszczeniem wybuchała płaczem. Była nieuczona z geografii, nie cierpiała matematyki i trzymała się jej pewne przesady po

128

wszechniejsze wśród kobiet aniżeli wśród mężczyzn, dajmy na to, że podróżować na południe, to podróżować z góry na dół. Czy zatem Orlanda była mężczyzną czy kobietą, powiedzieć trudno i na razie się tego nie rozstrzygnie, gdyż jej powóz turkotał już po kocich łbach. Dotarła do swego domu w mieście. Spuszczono stopnie; otwarto żelazne bramy. Wchodziła do domu swego ojca w Blackfriars, który, choć modny świat raptownie porzucał to przedmieście, nadal był zacnym, przestronnym pałacem, z ogrodami biegnącymi ku rzece i urokliwym gajem orzechowym na przechadzki.

Tu uwiła sobie gniazdko i bezzwłocznie jęła się rozglądać za tym, co ją do miasta przywiodło - to jest, za życiem i amantem. Co do pierwszej rzeczy można mieć wątpliwości, drugą znalazła bez najmniejszego trudu dwa dni po przyjeździe. Przybyła do miasta we wtorek. W czwartek poszła na spacer wzdłuż Mall, jak miały wówczas w zwyczaju znaczniejsze osoby. Ledwo zdążyła pokonać jeden czy dwa zakręty alei, kiedy wpadła w oko zgrai ordynusów, którzy chodzą tam, by się przyglądać lepszym od siebie. Gdy ich mijała, prosta kobieta z dzieckiem na piersi postąpiła krok do przodu, bez żenady zajrzała Orlandzie w twarz i zawołała:

- Boże kochany, przecie to Jaśnie Pani Orlanda! Jej towarzysze stłoczyli się dokoła i po chwili Orlanda stała się ośrodkiem zainteresowania mieszczan i kupieckich małżonek, chcących nasycić oczy widokiem heroiny osławionego procesu. Taką bowiem ciekawość wzbudziła ta sprawa w umysłach prostych ludzi. Napór tłumu byłby ją postawił w arcyniewygodnym położeniu - zapomniała, że damy nie powinny pokazywać się same w miejscach publicznych - gdyby natychmiast nie przyszedł jej z pomocą wysokiego wzrostu dżentelmen, który podał jej ramię. Był to arcyksiążę. Na jego

widok zdjęła ją przykrość, ale i rozbawienie. Mało, że ów wielkoduszny magnat przebaczył jej, ale by jej dowiedzieć, iż nie wziął sobie zbyt do serca igraszki z ro

129

puchą, kazał wykonać klejnot w kształcie tego gada i teraz wręczył go Orlandzie, pomagając jej wsiąść do powozu, po czym powtórzył swe oświadczenia.

Najpierw motłoch, potem arcyksiążę i klejnot, dość powiedzieć, że jechała do domu do granic rozeźlona. Nie można zatem pójść na spacer, żeby nie zostać na pół uduszoną, nie otrzymać szmaragdowej ropuchy i nie usłyszeć oświadczeń od arcyksięcia? Ujrzała wszystko w przychylniejszym świetle, gdy nazajutrz znalazła na stole przy śniadaniu tuzin bilecików od najzaciejszych dam w całym kraju - lady Suffolk, lady Salisbury, lady Chester%eld, lady Tavistock i inne - które jak najuprzejmiej służyły jej o łączących ich rody pradawnych więzach i dopraszały się łaski zawarcia z nią znajomości. Nazajutrz, czyli w sobotę, wiele z tych wielkich dam osobiście złożyło jej wizytę. We wtorek, około południa, ich lokaje przynieśli zaproszenia na rozmaite rauty, biesiady i zebrania. Orlanda została zatem rzucona, z wielkim pluskiem, na wielkie wody londyńskiej socjety.

Dać wierny prawdziwie wizerunek londyńskiej socjety z tego, a zgoda z dowolnego okresu, przekracza możliwości biografa czy historyka. Zadanie to można powierzyć tylko tym, którzy prawdy mało potrzebują i wcale jej nie szanują - poetom i powieściopisarzom - bowiem jest to jeden z tych przypadków, gdzie prawda nie istnieje. Nic nie istnieje. Cała rzecz jest miazmatem, mirażem. Żeby się wyrazić jaśniej: Orlanda powracała do domu z któregoś z owych rautów o trzeciej czy czwartej nad ranem z licami jak świąteczna choinka i oczyma jak gwiazdy. Rozwiązywała sznur różkę, przemierzała dwadzieścia razy pokój, rozwiązywała następną sznurówkę, znów przemierzała pokój. Często nad kominami Southwark gorzało słońce, nim sobie wypersadowała, że trzeba iść do łóżka, gdzie kręciła się i wierciła, śmiała i wdychała przez jaką godzinę lub dłużej, nim wreszcie usnęła. A o co ten cały rwetes? O socjetę. A cóż takiego uczyniła socjeta, by sprawić rozsądną damę w stan

takiego poruszenia? Mówiąc prostym językiem, nic. Choćby nie wiedzieć, ile szukała nazajutrz w pamięci, Orlanda nie mogła sobie przypomnieć ani jednego słowa, które coś by znaczyło. Lord O. był szarmancki. Lord A. uprzejmy. Markiz C. uroczy. Imię M. dowcipny. Kiedy jednak usiłowała sobie przypomnieć, na czym polegała owa szarmanckość, uprzejmość, urok czy dowcip, sądziła, że pamięć odmawia jej posłuszeństwa, gdyż nie potrafiła niczego nazwać. Zawsze było tak samo. Do następnego dnia nic się nigdy nie uchowało, lecz gorączka chwili była przejmująca. Zmuszeni jesteśmy zatem wnioskować, że socjeta to jeden z owych wywarów, które dobre gospodynie podają na gorąco w czas Bożego Narodzenia, a których smak zależy od właściwego połączenia i wymieszania tuzina rozmaitych składników. Zabierz jeden składnik, a wywar będzie mdły. Zabierz lorda O., lorda A., lorda C. lub imię M., a każdy z osobna jest niczym. Wymieszaj ich razem, a złączą się w najpocowniejszy bukiet, w najpowabniejszy aromat. Wszelako to upojenie, ten powab całkowicie wymykają się naszej analizie. W jednej zatem i tej samej chwili socjeta jest wszystkim i niczym. Socjeta jest najpotężniejszą miksturą, jaką zna świat, a zarazem zupełnie pozbawiona jest istnienia. Tylko takie monstra jak poeci i powieściopisarze mogą sobie z nią dać radę; ową wszystko-nicością ich dzieła rozdęte są do okazałych rozmiarów; z ochotą i najlepszą wolą im zatem temat socjety pozostawiamy.

Idąc za przykładem naszych poprzedników, powiemy zatem tylko, że socjeta za panowania królowej Anny błyszczała nieporównanym blaskiem. Zyskać przystęp do wielkiego świata było celem każdej dobrze urodzonej osoby. Przymioty towarzyskie członka socjety osiągnęły doskonałość. Ojcowie kształcili swych synów, matki kształciły swe córki. Edukacja żadnej z płci nie była pełna, jeżeli nie zawierała nauki dobrego ułożenia, sztuki pokłonu i dygnięcia, władania mieczem i wachlarzem, pielęgnacji uzębienia, prowadzenia nogi, giętkości kolana, właściwych sposo

130 ~ 131

bów wchodzenia i wychodzenia z pokoju i tysiąca etceterów, jakie natychmiast narzucają się każdemu, kto sam w wielkim świecie bywał. Skoro Orlanda zaszczyla sobie na pochwałę królowej Elżbiety za sposób, w jaki obeszała się z misą wody różanej jako chłopiec, musimy przyjąć, że była wystarczająco wyszkolona, by zdać egzamin. Prawdą jest wszakże, iż znamionowało ją roztargnienie, które niekiedy czyniło ją niezdarną; miała skłonność do dumania o poezji, podczas gdy należało rozmyślać o tafcie; jej krok był, jak na kobietę, bodaj odrobinę zbyt sprężysty, a jej gesty, będąc porywczymi, zagrażały niekiedy bezpieczeństwu zastawy stołowej.

Może ta drobna ułomność wystarczyła, by zrównoważyć blask jej prezencji, może też Orlanda odziedziczyła o jedną kropelkę za dużo owego czarnego humoru, który płynął w żyłach całego jej narodu, dość powiedzieć, że przebywała w wielkim świecie ledwo ze dwa tuziny razy, a już dało się słyszeć, gdyby towarzyszył jej ktoś prócz spaniela Pippina, jak mówi do siebie: - Co, u licha, się ze mną dzieje? Okazją po temu był wtorek, dnia 16 czerwca 1712 roku, zaraz po powrocie z wielkiego balu w Arlington House. Na niebie był świt, a ona ściągała pończochy. - Nie dbam o to, jeśli do końca mych dni nie spotkam żywej duszy! zawołała Orlanda, wybuchając płaczem. Amantów miała tuziny; lecz życie, które przecież też, na swój sposób, się liczy, umknęło jej. - Czy to - spytała, pomimo że nie było komu odpowiedzieć - czy to - dokończyła jednak, mimo wszystko, rozpoczęte zdanie - ludzie nazywają życiem? - Spaniel na znak współczucia uniósł przednią łapę. Spaniel polizał Orlandę jęzorem. Orlanda pogłaskała spaniela. Orlanda ucałowała spaniela. Słowem, nawiązała się nić najprawdziwszej sympatii, jaka może zaistnieć pomiędzy psem a jego panią, nie da się wszakże zaprzeczyć, że niemota

zwierząt stanowi wielką przeszkodę na drodze do ulepszenia tych stosunków. Machają ogonami, skłaniają część przednią ciała, unoszą tylną; baraszkuje, podskakują, aportują, sko

132

wyeżą, szczekają, ślinią się, posiadają cały arsenał własnych rytuałów i repertuar sztuczek, lecz wszystko to zda się na nic, bowiem mówić nie umieją. Tęż samą miała pretensję, pomyślała, ostrożnie stawiając psa na podłodze, do wielkich ludzi w Arlington House. Oni również machają ogonami, skłaniają się, baraszkuje, podskakują, aportują i ślinią się, lecz nie potrafią rozmawiać.

- Przez te wszystkie miesiące, które spędziłam w wielkim świecie - powiedziała Orlanda, ciskając pończoch przez pokój - nie usłyszałam nic, czego nie mógłby powiedzieć Pippin. Zimno mi. Dobrze mi. Jestem głodny. Złapałem mysz. Zakopałem kość. Pocałuj mnie w mordkę, proszę. A to za mało.

Że w tak krótkim czasie przeszła od upojenia do odrazy, próbujemy wyjaśnić jak następuje. Ów tajemny twór, który nazywamy socjetą, sam w sobie nie jest absolutnie dobry ani absolutnie zły, lecz ma w sobie jakowyś spiritus, ulotny, ale mocny, który albo upaja, jeśli uważać go, jak Orlanda, za rozkoszny, albo przyprawia o ból głowy, jeśli uważać go, jak Orlanda, za odrażający. Że ma to cokolwiek wspólnego z darem mowy, pozwalamy sobie powątpiewać. Niema godzina jest często najbardziej zachwycająca ze wszystkich, a błyskotliwy dowcip potrafi zdziwić ponad wszelką miarę. Zostawmy to jednak poetom i ruszajmy dalej z naszą opowieścią.

Orlanda cisnęła drugą pończochę w ślad za pierwszy i położyła się do łóżka pośepna, zdecydowana na zawsze wyrzec się wielkiego świata. Znów jednak, jak się okazało, do nazbyt pochopnych przyszła konkluzji. Bowiem następnego ranka po przebudzeniu, pośród codziennej mnogości zaproszeń na stole, znalazła bilecik od pewnej wielkiej damy, hrabiny R. Jako że przed pójściem spać postanowiła, że wczorajszy bal będzie jej ostatnim, możemy wytłumaczyć zachowanie Orlandy - duchem posłała do R... gońca House, by przekazał, że z największą rozkoszą przyjmuje zaproszenie jej hrabiowskiej mości - jedynie tym, że nadal

133

trawiły ją skutki trzech miódopłynnych słów, które na pokładzie „Enamoured Lady” wlał jej w ucho kapitan Nicholas Benedict Bartolus, gdy zeglowali Tamizą. Addison, Dryden, Pope dzwonili jej odtąd w głowie jak zakłęcie. Któż da wiarę takiemu szaleństwu? Ale tak właśnie było. Wszystkie doświadczenia z Nicholasem Greene'em niczego jej nie nauczyły. Takie nazwiska nadal wprawiały ją w stan niezwyklej fascynacji. Być może w coś musimy wierzyć, a że Orlanda, jak już powiedzieliśmy, nie żywiła wiary w zwyczajne bóstwa, swą ufność pokładała w wielkich ludziach. Z pewną wszakże różnicą. Admiralowie, żołnierze, mężowie stanu nie wzruszali jej ani odrobinę. Sama zaś myśl o wielkim pisarzu wzbudzała w niej pasję tak żarliwie religijne, że ich przedmiot nieomal przybierał postać niewidzialnego bóstwa. Był to instykt zdrowy, bowiem chyba tylko w to, czego się nie widzi, można bez reszty uwierzyć. Ulotny obraz tych trzech wielkich osób z pokładu statku miał charakter widzenia. Że filiżanki są z porcelany, a gazety z papieru, nie dowierzała. Kiedy lord O. powiedział kiedyś, że poprzedniego dnia wieczerał w Drydenem, w twarz zadała mu kłam. Tymczasem salon lady R, cieszył się renomą antyszambru świętego przybytku, gdzie mieszka geniusz: w salonie lady R. pośród kadzidlanego dymu śpiewa się hymny pochwalne popiersiom geniuszu w ściennych nyzach; salon lady R. zaszczyca niekiedy swą obecnością sam Bóg; przepustką do salonu lady R. jest wyłącznie intelekt, a każde wypowiedziane tam słowo (jak donoszono) traktuje o sprawach ducha.

Orlanda weszła zatem do salonu lady R. z wielkim drżeniem serca. Towarzystwo usadowiło się już w półksiężyc wokół kominka. Lady R., leciwa dama o smagłej karnacji, z mantylą z czarnej koronki na głowie, siedziała pośrodku w wielkim fotelu. Nieco przyglucha, mogła dzięki temu zawiadywać rozmową ze swej lewej i z prawej strony. Po lewej i prawej stronie lady R. siedzieli mężczyźni i kobiety najwyższego stanu. Każdy mężczyzna, mówiono, był niegdyś premierem, a każda kobieta, szeptano, była niegdyś kochanką

134

króla. Pewne jest, że wszyscy byli pełni blasku i wszyscy byli sławni. Orlanda z wielką rewerencją, nie odzywając się ni słowem, zajęła miejsce... Po trzech godzinach skłoniła się głęboko i wyszła.

Lecz cóż, spyta czytelnik z niejakim rozdrażnieniem, zaszło w owym czasie? W trzy godziny z ust tak świetnego towarzystwa musiały paść najbardziej uduchowione, najgłębsze, najciekawsze maksymy, jakie znał świat. Rzeczywiście można by się tego spodziewać. Faktycznie jednak wydaje się, że nic nie powiedzieli. Jest to ciekawa cecha, którą dzielają ze wszystkimi błyskotliwymi socjetami, znanymi z historii. Madame du Deffand i jej przyjaciele mówili przez pięćdziesiąt lat bez przerwy. I cóż się z tego wszystkiego ostało? Może trzy *bon mot*. Wolno nam zatem przypuszczać, że bądź nie powiedziano nic zabawnego, bądź że trzy *bon mot* rozłożyły się na osiemnaście tysięcy dwieście pięćdziesiąt wieczorów, więc na jeden wieczór przypada doza dowcipu dla zwykłych śmiertelników nieuchwytna.

Pxawda wydaje się taka - o ile ośmielimy się użyć w tym kontekście tak wielkiego słowa - że na wszystkie te grupy ludzi padło zauroczenie. Pani domu to nasza współczesna Sybilla. Jest wiedźmą, która rzuca na swych gości urok. W jednym domu czują się szczęśliwi, w innym dowcipni, w jeszcze innym nieskończenie mądrzy. Wszystko to jest iluzją (co wcale czarownic nie dyskredytuje, jako że iluzje są najcenniejszymi i najniezbędniejszymi ze wszystkich rzeczy, a osoby,

które je stwarzają, należą do największych dobroczyńców świata), skoro jednak iluzje słyną z tego, że pryskają w zderzeniu z rzeczywistością, tam, gdzie rządzi iluzja, nie może zaistnieć prawdziwe szczęście, prawdziwy dowcip, prawdziwa mądrość, co służy wyjaśnieniu, dlaczego Madame du Deffand zdążyła w przeciągu pięćdziesięciu lat uformować wszystkiego trzy dowcipne powiedzonka. Gdyby wymyśliła ich więcej, jej towarzyskie grono uległoby zniszczeniu. Koncept, który spływał z jej ust, niszczył bieżącą rozmowę jak kula armatnia gnąca ku ziemi fiołki i sto

135

knotki. Kiedy poczyniła słynne „mot de Saint Denis”, osmaliła trawę aż po korzonki. Pośród ruin zdruzgotanej iluzji zapadło ponure milczenie. „Na miłość Boga, Madame, oszczędź nam podobnych sentencji!” - zawołali jednym głosem jej przyjaciele. I była im posłuszna. Przez niecałe siedemnaście lat nie powiedziała nic godnego zapamiętania i wszystko szło jak z płatka. Piękna czasza iluzji, która okrywała zarówno jej salon, jak i salon lady R., nie doznała żadnego uszczerbku. Goście sądzili, że są szczęśliwi, sądzili, że są dowcipni, sądzili, że są mądrzy, a ci, którym nie dany był przywilej uczestniczenia w salonach, jeszcze silniej trwali w tym przekonaniu; wszyscy zazdrościli bywalcom; bywalcy zazdrościli sobie samym, gdyż inni im zazdrościli; tego rodzaju zauroczenie zdaje się nie mieć kresu - prócz tego, które opiszemy poniżej.

Pewnego razu zdarzył się pewien incydent. Orlanda nadal żywiła złudzenie, że słucha najbłyskotliwszych epigramów pod słońcem, choć faktycznie stary generał C. mówił tylko, że podagra przeszła mu z lewej nogi do prawej, natomiast pan L. przerywał każdemu, kto wymienił jakieś nazwisko. „R.? Och, znamy się z R. jak łysa konie. S.? Mój najdroższy przyjaciel. T.? Bywało się u niego w Yorkshire” - co, taka już jest potęga iluzji, brzmiało jak najdowcipniejsza riposta, najwnikliwszy komentarz na temat ludzkiego żywota: towarzystwo zanosilo się śmiechem; wtem otwarły się drzwi i wszedł niewysoki dżentelmen, którego nazwiska Orlanda nie dosłyszała. Wkrótce ogarnęło ją bardzo nieprzyjemne uczucie. Sądząc po twarzach, z pozostałymi działo się coś podobnego. Któryś z panów powiedział, że jest przeciąg. Markiza C. wyraziła obawę, że pod sofą musi być kot. Jakby oczy powoli im się otwarły z błęgiego snu i nie napotkały nic prócz nędznego dzbana i brudnej koldry. Jakby powoli parował z nich bukiet rozkosznego wina. Generał nie zaprzestał peror, pan L. nadal zdumiewał doskonałą pamięcią. Coraz widoczniejsze stawało się jednak, jak czerwony jest kark generała, jak łysa jest głowa

136

pana L. A to, co mówili... trudno sobie wyobrazić coś mniej zajmującego i bardziej trywialnego. Wszyscy wiercili się nerwowo, a damy wyposażone w wachlarze ziewały za ich zasłoną. Wreszcie lady R. zastukała swoim w ramię fotela. Dwaj panowie przestali rozmawiać.

Niewysoki dżentelmen rzekł: Po czym rzekł:

Na koniec rzekł:\*

Oto, nie da się zaprzeczyć, był prawdziwy dowcip, prawdziwa mądrość, prawdziwa głębia. Towarzystwo wpadło w zupełną konsternację. Jedno takie powiedzenie może być i od biedy uszło, ale trzy, jedno po drugim, tego samego wieczoru! Tego nie przeżyłaby żadna socjeta.

- Panie Pope - powiedziała stara lady R. głosem drżącym od zjadliwego gniewu - waszmość upajasz się swym dowcipem. - Imé Pope oblał się rumieńcem. Nikt nie wyrzekł ni słowa. Siedzieli w śmiertelnym milczeniu przez dwadzieścia minut. Potem, jeden po drugim, wstawali i wymykali się z pokoju. Wątpliwe było, czy jeszcze kiedy tu wrócą po takim przeżyciu. Na całej South Audley Street słychać było forsyków z pochodniami wołających karoce. Drzwi zamykały się z trzaskiem, powozy odjeżdżały. Orlanda znalazła się w pobliżu imé Pope'a na schodach. Jego nikczemną i koślawą posturą trzęsły rozmaite wzruszenia. Z oczu strzelała mu złośliwość, gniew, tryumf, dowcip i lęk (drżał jak liść). Wyglądał jak gad w stuporze z płonącym topazem w czole. Jednocześnie zaś prawdziwa burza emocji targała nieszczęsną Orlandą. Rozczarowanie tak zupełne i tak świeże miota całą istotą. Wszystko zdaje się dziesięćkroć bardziej nagie i jałowe niż dotychczas. Jest to chwila dla ludzkiego ducha ogromnie niebezpieczna. W takich chwilach kobiety przywdziewają habit, mężczyźni komżę.

\* Powiedzenia te są zbyt dobrze znane, by je tutaj powtarzać, a prócz tego można je wszystkie znaleźć w jego opublikowanych dziełach. (V.W.)

137

W takich chwilach bogacze oddają swój majątek ubogim, a ludzie szczęśliwi podrzynają sobie gardła nożami rzeźnickimi. Orlanda zdobyłaby się na to wszystko bez trudności, lecz miała możliwość uczynić coś jeszcze bardziej pochopnego, i uczyniła. Zaprosiła imé Pope'a do siebie.

Pochopne jest bowiem wchodzić do jaskini lwa nieuzbrojona, pochopne jest płynąć przez Atlantyk łodzią wiosłową, pochopne jest stać na jednej nodze na wierzchołku Świętego Pawła, a jeszcze pochopniejsze jest iść samej do domu z poetą. Poeta to Atlantyk i lew w jednym. Gdy ten pierwszy nas pochłania, ten drugi nas pożera. Jeśli ujdziemy kłom, nie ujdziemy falom. Człowiek, który potrafi druzgotać iluzje jest zarazem bestią i powodzią. Iluzje są tym dla duszy, czym atmosfera dla planety. Zwińcie ten powietrzny dywan, a rośliny zemrą, barwy zblakną. Ziemia, po której stąpamy, to popioły, margiel, ogniste kamienie, co palą nam stopy. Prawda jest naszą zgubą. Żywot jest snem. Śmiercią jest nam przebudzenie. Kto



Swift miał piękną trzciniową łaskę. Imć Addison perfumował swe chusteczki. Imć Popi cierpiał na bóle głowy. Nie były im wstrętne ploteczki aNE obce zazdrostki. (Notujemy tu kilka refleksji, które nasunęły się bezładnie Orlandzie). Z początku gniewała się na siebie, że zauważa takie drobiazgi i założyła dziennik, by spisywa: świetne maksymy lwów salonowych, ale kartka pozostała pusta. Odżyła jednak na duchu i systematycznie darła bileelki z zaproszeniami na wielkie przyjęcia. Wieczory zostawiała sobie wolne i wyczekiwała wizyt imć Pope'a, imć Ad-disona, imć Swifta i tak dalej, i tak dalej. Jeżeli czytelnik odwoła się w tym miejscu do *Porwanego loku*, do „Spectatora”, do *Podróży Gulliw~ra*, dokładnie zrozumie, co moga;

140 ~ 141

znaczyć te tajemnicze słowa. W istocie żywotopisowie i krytycy oszczędziliby sobie wiele zachodu, gdyby tylko czytelnicy poszli za tą radą. Bowiem kiedy czytamy:

Czy nimfa owa złamie prawo Diany, Czy zbije kruchy dzbanek z porcelany, Splami swój honor albo brokat nowy, Zapomni modlitw, lub na bal maskowy Się spóźni albo też może w rozterce Zgubi na balu naszyjnik lub serce.\*

wiemy, jakbyśmy to słyszeli na własne uszy, że imć Pope obracał językiem jak jaszczurka, wiemy, jak błyskały mu oczy, jak drżała dłoń, jak kłamał, jak cierpiał. Słowem, każda tajemnica duszy pisarza, każde doświadczenie jego życia, każdy przymiot jego umysłu zapisane są wielkimi literami w jego dziełach, a przecież jakoś ciągle nam potrzeba egzegezy krytyków i badań żywotopisów. Czas ciąży ludziom swym nadmiarem: to jedyne wyjaśnienie tej anomalii.

Teraz zatem, kiedy przeczytaliśmy parę stron z *Porwanego loku*, dokładnie wiemy, dlaczego Orlanda była tak ogromnie ubawiona i tak ogromnie przerażona, tak rumianolica i jasnooka tego popołudnia.

Następnie panna Nelly zapukała do drzwi, by oznajmić, że przybył imć Addison. Na te słowa imć Pope wstał z cierpkim uśmiechem, pożegnał się i wykuśtykał z pokoju. Wszedł imć Addison. Póki się nie usadowi, przeczytajmy następujący ustęp ze „Spectatora”:

„Uważam kobiety za piękne, romantyczne zwierzę, które godzi się przybrać futrami i piórami, perłami i brylantami, kruszcami i jedwabiami. Ryś zrzuci u jej stóp skórę, aby jej uczynił pelerynkę, paw, papuga i łabędź będą miały swój przyczynek do jej mufki; przebierze się morze za

\* Przekład Juliusz Kydryński.

muszlami, skały za klejnotami, każda cząstka natury będzie miała swój udział w okrasie stworzenia, które jest jej najwytrawniejszym dziełem. Na to wszystko im przyzwolę, lecz co się tyczy spódnicy, o której mówione było, to ani mogę, ani chcę się zgodzić.

Trzymamy naszego autora, z jego trójrożnym kapeluszem i całym kramem, w zagłębieniu dłoni. Spójrzmy jeszcze raz w kryształ. Czyż autor nie jawi nam się z mikroskopijną drobiazgowością, do ostatniej fałdki rajtuzów? Czyż nie leży przed nami jego dowcip obnażony do ostatniej zmarszczki, jego dobroduszość, jego nieśmiałość, jego dworność, jak również okoliczność, że poślubi hrabinę i umrze otoczony wielkim szacunkiem? Wszystko jest jasne. A kiedy imć Addison powiedział, co miał do powiedzenia, rozległo się siarczyste kołatanie do drzwi i wszedł nie zaanonsowany imć Swift, który nie zawsze dbał o etykietę. Jedną chwileczkę, gdzie są *Podróże Gulliwera*? Tu was mamy! "• ~~~~:rytajmy ustęp z wyprawy do kraju Houyhnhnmów:

Zdrowie mi służyło doskonale. Nic mi nie mieszało spokojności umysłu. Nie martwiłem się niestatecznością lub zdradą przyjaciół, albo krzywdą jawnych i ukrytych wrogów. Nie trzeba mi było nadszakać, przekupywać lub rajfurzyć jakiemu wielkiemu panu lub jego kochance dla zjednania sobie jego protekcji i łaski. Nie miałem potrzeby bronić się przeciw oszustwu i uciemieniu. Nie było w tym kraju ani doktorów, którzy by mnie struli, ani prawników, którzy by mnie zniszczyli, ani szpiegów, którzy by czatowali na moje słowa lub wymyślali na mnie skargi za pieniądze. Nie byłem tam otoczony przez szyderców, obmówców, potwarców, włamywaczy, oszustów, graczy, adwokatów, wielomówców, polityków, samochwałów, mędrków...\*

\* Przekład anonimowy z 1784 r.

142 ~ 143

Lecz poniechajmy, poniechajmy tej kanonady żelaznych słów, abyś nas żywcem ze skóry nie złuszczył, i siebie przy okazji! Nic bardziej szorstkiego nad tego gwałtownego człowieka. Taki jest grubiański, wszak taki czysty; taki brutalny, wszak taki dobry; wykłina cały świat, lecz mówi do dziewczyny jak do dziecka, a umrze, któż w to wątpić może, w zakładzie dla obłąkanych.

Orlanda nalała więc wszystkim herbaty. Czasami, przy ładnej pogodzie, zabierała ich na wieś i podejmowała po królewsku w Sali Okrągłej, którą zawiesiła wianuszkami ich portretów, by imć Pope nie mógł narzekać, że imć Addison jest na pocześniejszym miejscu bądź też na odwrót. Byli, owszem, bardzo dowcipni (lecz ich dowcip można znaleźć w księgach), a także nauczyli jej istoty stylu, którą jest zawsze naturalny ton głosu. Przymiotu tego nie nabędzie nikt, kto nie ma dobrych wzorców, nawet arcyzdolny imć Greene. Głos ów rodzi się bowiem z powietrza, rozbija jak fala na sprzętach, z których stacza się i zanika, i już nigdy nie zostanie pochwycony, zwłaszcza przez tych, którzy nastawiają uszu pół stulecia później. Orlanda nabyła tę zdolność, po prostu naśladowując subtelnosci głosu swych gości; jej własny styl się zmienił; napisała kilka ładnych, dowcipnych wierszy, a prozą naszkicowała kilka postaci. Nie szczędziła im zatem wina, wsuwała pod talerze banknoty, które bez żadnej urazy przyjmowali, brała dedykacje i czuła się wielce zaszczyczona tymi transakcjami.

Czas płynął, a Orlanda mawiała niekiedy do siebie z przyciskiem, który przygodnemu słuchaczowi zdałby się może podejrzany:

- Na mą duszę, co za życie! - (bowiem ciągle poszukiwała tego towaru). Wkrótce jednak okoliczności zmusiły ją, by przyjrzeć się sprawom bardziej wnikliwie.

Pewnego dnia nalewała herbatę imię Pope'owi, który, jak każdy czytelnik powyższego fragmentu jego dzieła się domyśli, siedział pokurczony w fotelu i obserwował ją rozpalonym wzrokiem.

Mój Boże - pomyślała, nakładając szczypcami cukier - jakże kobiety przyszłych epok będą mi zazdrościć! Ale przecież - przerwała, gdyż imię Pope potrzebował jej uwagi. Ale przecież - dokończmy za nią jej myśl - jeśli ktokolwiek mówi „Jakże przyszłe wieki będą mi zazdrościć”, można bezpiecznie przyjąć, że w danej chwili czuje się nieswojo. Czy życie to przedstawiałyby się równie zajmująco, równie zabawnie, równie zaszczytnie, przeszedłszy przez ręce memuarysty? Pierwsza rzecz, Orlanda organicznie nie znosiła herbaty; druga rzecz, intelekt, choć boski i wszelkiego uwielbienia godny, ma zwyczaj gnieździć się w najnędrniejszej powłoce i polykać inne ludzkie cnoty. Często zatem, gdzie umysł jest największy, tam serce, zmysły, wielkoduszość, miłość, wyrozumienie, życzliwość i cała reszta ledwie mają czym oddychać. Wreszcie wysokie mniemanie, jakie poeci mają o sobie samych; wreszcie niskie mniemanie, jakie mają o innych; wreszcie niesnaski, utarczki, zawiści i kłótnie, w które bezustannie są uwikłani; wreszcie wielomówność, z jaką je prowadzą; wreszcie drapieżność, z jaką żądają współczucia; wszystko to, powiemy szeptem, by nas lwy salonowe nie podслуchały, czyni z nalewania herbaty zajęcie niebezpieczniejsze i, w istocie, mozolniejsze, aniżeli się powszechnie sądzi. Do czego dodamy (znów szeptem, by nas nie usłyszały białogłowy) drobną tajemnicę, którą dzielą między sobą mężczyźni: lord Chestre~eld szepnął swemu synowi, zaklinając go, by zachował sekret dla siebie, że „kobiety to nic więcej jak przerośnięte dzieci... Człowiek rozumny igrza z nimi, żartuje z nimi i im schlebia, lecz nic ponadto” ~. Ponieważ jednak dzieci słyszą czasem rzeczy nie przeznaczone dla ich uszu (a zdarza się nawet, że dorosłają), sprawa ta chyba w jakiś sposób wyszła na jaw, toteż cała ceremonia nalewania herbaty jest arcyosobliwa. Kobieta bardzo dobrze wie, że choć lew salonowy posyła jej wiersze, chwali jej sądy, prosi o krytyczne opinie i pije jej herbatę, nie oznacza to bynajmniej, że ceni sobie jej zdanie, podziwia jej intelekt czy też powstrzyma się od przeszywania jej piórem (bo rapierem

144 ~ 145

nie włada). Wszystko to, szepczemy najciszej jak umiemy, przedostało się już może między kobiety, więc nawet trzymając w powietrzu dzbanuszek ze śmietanką i szczypcę do cukru, dama może spojrzeć roztargnionym wzrokiem za okno, ziewnąć dyskretnie i pozwolić - jak to uczyniła teraz Orlanda - by kostka cukru z wielkim chłupotem wpadła do filiżanki imię Pope'a. Żaden śmiertelnik nie wietrzył tak wszędzie obrazy, a gdy zwietrzył, nie mścił się tak rychło jak imię Pope. Zwrócił się ku Orlandzie i natychmiast przedstawił jej wstępny szkic pewnego sławnego wersetu w *Postaciach kobiet*. Poeta przydał później wersetowi znacznego poloru, lecz i pierwotna wersja robiła silne wrażenie. Orlanda podziękowała za prezent dygnięciem, a imię Pope, skłoniwszy się, opuścił jej progi. Dla ochłody zrumienionych lic, bowiem czuła się, jakby drobnej postury dżentelmen spoliczkował ją, poszła na przechadzkę po gaju orzechowym w dole ogrodu. Ku swemu zdumieniu stwierdziła, że chwila samotności sprawia jej ogromną ulgę. Patrzyła na weselących się wioślarzy na rzece. Widok ten niechybnie przywiódł jej na myśl kilka zdarzeń z minionego życia. W głębokim skupieniu usadowiła się pod piękną wierzbą. Pograżona w medytacji nie wstała, aż na niebie rozbłysły gwiazdy. Wróciła wówczas do domu i zamknęła się w sypialni. Otworzyła szafę garderobianą, gdzie nadal wisały liczne stroje, które nosiła jako młody galant, i wybrała spośród nich czarny aksamitny garnitur suto przybrany wenecką koronką. Nieco wyszedł już z mody, lecz pasował na nią jak ulał, a wyglądała w nim jak żywe upostaciowanie szlachetnego lorda. Zakręciła się parę razy przed lustrem, by mieć pewność, że spódnice nie skradły jej swobody poruszania kończynami, po czym wymknęła się potajemnie na dwór.

Była piękna noc na początku kwietnia. Miriady gwiazd mrugały nad sierpowym księżycem i wraz z latarniami ulicznymi oblewały miasto światłem, które było nieskończoną okrasą ludzkiego oblicza i architektury imię Wrena. Wszystko jawiło się w swych najkruchszych kształtach, lecz gdy

już zdawało się rozplywać, kropla srebra przywracała im żywota. Taka winna być rozmowa, pomyślała Orlanda (dając folgę głupawym rojeniom); taka winna być socjeta, taka przyjaźń, taka miłość. Bowiem, Bóg wie czemu, gdy tylko utracimy wiarę w obcowanie z bliźnimi, jakaś przypadkowa konfiguracja stodół i drzew czy też stóg siana i furmanka. ukazują nam tak doskonały symbol nieosiągalnego, że wznawiamy swe dążenia.

Poczyniwszy te spostrzeżenia, weszła na Leicester Square. Budynki znamionowała ażurowa, lecz spoista harmonia, za dnia nieobecna. Sklepienie nieba służyło za tło wypełniające obrys dachów i kominów. Młoda kobieta, która siedziała smętnie z obwisłym ramieniem na ławie pod platanem pośrodku placu, z głową drugiej niewiasty na podolku, zdawała się żywym ucieleśnieniem wdzięku, prostoty i strapienia. Orlanda uchyliła ku niej kapelusza obyczajem trefnisa, który oddaje honor eleganckiej kobiecie w miejscu public~nym. Dziewczyna uniosła głowę, a była to głowa niespotykanej kształtności, i uniosła oczy. Orlanda dostrzegła w nich polor, który niekiedy dają z siebie filiżanki z porcelany, lecz rzadko ludzka twarz. Przez owo srebrne szkliwo młoda kobieta spojrzała na niego (bowiem był dla niej mężczyzną) z błaganiem, nadzieją, drżeniem, trwogą. Wstała; przyjęła jego ramię. Bowiem - czyż trzeba to podkreślać? - należała do plemienia, które co noc glansuje towar i ustawia wedle porządku na wspólnym kontuarze, czekając, kto da więcej. Zaprowadziła Orlandę do pokoju przy Gerrard Street, w którym miała mieszkanie. Ponieważ wisała u jej ramienia lekko, acz błagalnie, wznieciła w

Orlandzie wszelkie uczucia, jakie przystoją mężczyźnie. Orlanda patrzyła, czuła, mówiła jak mężczyzna. Wszakże będąc jeszcze tak niedawno kobietą, sądziła, że płochliwość dziewczyny, pełne wahania odpowiedzi, długie szperanie w zamku i bezradna wiotkość nadgarstka miały jedynie pochlebić męskości Orlandy. Poszły na górę, a widoczne starania dziewczyny, by godziwie urządzić pokój i ukryć fakt, że innego nie posiada,

146 E 147

nie zwiódły Orlandy ani na chwilę. Pozór wzbudził w niej wzgardę, prawda zaś litość. Prawda wyzierająca spod pozorów zrodziła tak przedziwny melanz uczuć, że na koniec nie wiedziała, czy śmiać się czy płakać. Tymczasem Nell, jak zwała się dziewczyna, rozpięła guziczki rękawiczek; starannie ukryła kciuk lewej dłoni, który nadawał się do reperacji; po czym skryła się za parawan, gdzie uróżowała zapewne policzki, poprawiła strój, zawiązała nową chustkę na szyi - a cały ten czas trajkotała, jak to kobiety, by zabawić kochanka, choć Orlanda dałaby sobie uciąć głowę, iż, sądząc po tonie głosu, myślami jest gdzie indziej. Gdy wszystko było przygotowane, wyszła - lecz tu cierpliwość Orlandy wyczerpała się. W przedziwnym szale złości, ubawienia i litości zerwała z siebie przebranie i wyznała swą płęć.

Na co Nell wybuchnęła tak gromkim śmiechem, że aż zaniósł się na drugą stronę ulicy.

- No, moja droga - powiedziała, przyszedłszy nieco do siebie - wcale mnie to nie boli. Bogiem a prawdą (zadziwiające, jak szybko, odkrywszy, że ma do czynienia z osobą tej samej płci, zmieniła front i przestała łaścić się błagalnie) - Bogiem a prawdą nie jestem dziś w nastroju na towarzystwo drugiej płci. Prawdę rzekłszy, w nielichych jestem opalach. - Po czym podsycała ogień i, mieszając w dzbanku z ponczem, opowiedziała Orlandzie całą historię swego życia. Ponieważ zajmuje nas obecnie życie Orlandy, nie ma potrzeby relacjonować przygód drugiej z dam, pewne jest jednak, że jeszcze nigdy godziny nie mijały Orlandzie równie szybko i równie przyjemnie. Jejmość Nell nie miała wprawdzie w sobie ~i krztyny dowcipu, a kiedy z ust Orlandy padło nazwisko imię Pope'a, spytała niewinnie, czy jest spokrewniony z perukarzem tego samego nazwiska przy Jermyn Street. Wszelako dla Orlandy taki jest urok naturalności, taki powab piękna, że mowa tej biednej dziewczyny, choć okraszona najpospolitszymi wyrażeniami z ulicy, po kształtnych frazach, do których przywykła, smakowała jak wino. Wymogło to na niej konkluzję, że szyderstwa imię

Pope'a, politowanie imię Addisona i perfidia lorda Chesterfielda odebrały jej rozkosz obcowania z lwami salonowymi, choć nadal winna jest szacunek ich dziełom.

Te biedne stworzenia, oznajmiła (bowiem Nell przedstawiła jej Prue, Prue Kitty, a Kitty Rose), miały swe własne towarzystwo, którego obrały ją teraz członkinią. Wszystkie opowiedziały o okolicznościach, które je przywiodły na obecną drogę życia. Niektóre spośród nich były nieślubnymi córkami hrabiów, a jedna chlubiła się bliższym, aniżeli przystoi, powinowactwem z osobą króla. Kondycja żadnej nie była na tyle nędzna i uboga, by nie nosiły w kieszeni pierścienia czy chusteczki zamiast rodowodu. Zbierały się zatem wokół dzbanka z ponczem, o którego szczodre zapełnienie dbała Orlanda, po czym nie było końca wspaniałym opowieściom i zabawnym spostrzeżeniom, bezsporne jest bowiem, że kiedy zejść się kobiety - ale sza! - nie szcędzą starań, by drzwi były szczelnie zamknięte i ani jedno słowo nie przedostało się do druku. Wszystko, czego pragną... ale znów sza! czy to nie kroki mężczyzny na schodach? Mieliśmy właśnie powiedzieć, czego pragną kobiety, lecz ów dżentelmen przeszkodził nam w tym. Kobiety nie mają pragnień, mówi ów dżentelmen, wchodząc do saloniku Nell, tylko fochy. A bez pragnień (Nell obsłużyła go szparko

i już go nie ma) ich rozmowa zupełnie nie zdoła nikogo zainteresować. „Jest rzeczą dobrze znaną - pisze S.W. że gdy brakuje im bodźca drugiej płci, kobiety nie mają sobie nic do powiedzenia. Gdy są same, nie rozmawiają, lecz się drapią”. Skoro więc nie potrafią ze sobą rozmawiać, drapanie nie może trwać w nieskończoność, a jest rzeczą dobrze znaną (dowiodł tego imię T.R.), że „kobiety niezdolne są do jakichkolwiek uczuć sympatii ku swej własnej płci i żywią ku sobie wzajemnie wielką awersję”, cóż kobiety mogą robić, gdy szukają swego towarzystwa?

Pytanie to nie może zająć uwagi żadnego rozsądnego mężczyzny. My żywotopisowicze, którzy dzielimy z historykami przywilej bezpłciowości, pominiemy je zatem i stwierdzimy

148 t 149

dziury jedynie, że Orlanda wyznawała, iż w towarzystwie kobiet znajduje wielką radość, a dżentelmenom pozostawimy zadanie dowiedzenia, że jest to niemożliwe, czego niechybnie podejmą się z rozkoszą.

Dokładna i szczegółowa relacja z życia Orlandy w tym okresie coraz mniej jednak wchodzi w rachubę. Gdy zaglądamy na ówczesne mroczne, błotniste, cuchnące podwórce w okolicy Gerrard Street i Drury Lane, niekiedy ją dostrzegamy, by znów stracić ją z oczu. Nasze zadanie dodatkowo utrudnia fakt, że uznała podówczas za wygodne często zmieniać strój z męskiego na niewieści i odwrotnie. We wspomnieniach z owego czasu często figuruje jako „lord” takia-taki, który w rzeczywistości był jej kuzynem. Przypisuje mu się liczne akty dobroczynne Orlandy, jak również jej wiersze. Jak się zdaje, nie miała trudności z odgrywaniem swych ról, jako że natura jej płci zmieniała się częściej, aniżeli potrafią sobie uzmysłwić ci, którzy nosili tylko jeden rodzaj stroju. Bezsporne jest także, iż fortel ten przynosił jej podwójne żniwo; pomnożone zostały i rozkosze, i doświadczenia życiowe. Autorytet spodni zamieniała na powab sukien i cieszyła się na równi miłością obu płci.

Można ją zatem ukazać spędzającą ranek w dwuznacznej płci chińskim szlafroku pośród książek; następnie przyjmując kilku protegowanych (wyplacała bowiem kilka tuzinów zapomóg) w tym samym odzieniu; idącą do ogrodu przyciąć



orzechowce - wówczas wygodniejsze były bryczesy; na przejażdżkę do Richmond i oświadczyły ze strony jakiegoś wielkiego magnata najstosowniejsza była kwiecista tafta; po powrocie do miasta wdziewała tabaczkowy surdut, jaki nosili prawnicy i szła do sądów, gdzie procesowano jej majątek ten bowiem rozchodził się z godziny na godzinę, lecz sprawy nie były bliższe wyroku aniżeli przed stu laty; a wreszcie, gdy nadeszła noc, z reguły przeradzała się od stóp do głów w szlachcica i błądziła ulicami w poszukiwaniu przygody.

Wracając z owych waleśań - o których krążyło wówczas wiele opowieści, jako to że walczyła w pojedynku, służyła na jednym ze statków królewskich w randze kapitana, że widziano ją tańczącą nago na balkonie, że zbiegła z pewną damą do Niderlandów, dokąd podążyła za nimi mąż owej damy (wstrzymamy się jednak od opinii, czy historie te są prawdziwe) - czymkolwiek się zatem zajmowała, wracając przechodziła czasami pod oknami kawiarni, skąd mogła widzieć lwy salonowe, sama nie będąc widzianą, a tym samym wyobrazić sobie z ich gestów, jakie mądre, dowcipne czy szydercze wygłaszają maksymy, nie słysząc ani słowa (co może było z korzyścią dla obu stron). Raz zaś stała przez pół godziny, patrząc, jak trę...y ~i~:w~c ~.. ~.; ;~.rba~ę w domu przy Bolt Court.

Jeszcze żaden utwór ;ca~raiat ciir l~, s\*?ujący. Chciała zawołać: Brawo! Brawo! W istocie, cóż to był za wspaniały dramat, cóż za piękna stronica wyrwana z najgrubszego tomiszcza ludzkiego życia! Był cień mały z nadąsanymi ustami, kręcący się bezustannie w krzesle, niespokojny, drażliwy, natrętny; był pochylony cień kobiety, maczającej palec w filiżance dla sprawdzenia, ile zostało herbaty, bowiem była ślepa; był wreszcie rzymski profil zagłębiony w wielkim fotelu, który tak dziwacznie wykrzywił palce, szarpał głową na wszystkie strony i siorbał herbatę wielkimi łykami. Doktor Johnson, imię Boswell i jejmość Williams - takie były imiona cieni. Orlanda była tak zaabsorbowana widokiem, że zapomniała pomyśleć, jak bardzo przyszłe epoki byłyby jej zazdrościły, choć wydaje się prawdopodobne, iż tym razem miałyby słuszość. Dość jej było patrzeć i patrzeć. Nareszcie imię Boswell wstał. Staruszkę pozdrowił szorstko i opryskliwie. Z wielką jednak pokorą uniżył się przed wielkim rzymskim cieniem, który teraz wstał i chwiejąc się nieco, dał upust najcudowniejszym słowom, jakie kiedykolwiek wyszły z ust człowieka. Tak przynajmniej sądziła Orlanda, choć nie usłysmył« : c r tego, co trzy cienie mówiły, pijąc herbatę.

Pewnego razu wróciła nad ranem ~ ~ : - ; ; ; ~.eg, i wspięła się po schodach do sypialni. Zdjęła przybrany kołnierz

150 ~ 151  
ronkami surdut i stanęła w oknie w koszuli i spodniach. W powietrzu wisiało coś, co nie pozwoliło jej położyć się do łóżka. Miasto otulała biała poświata, gdyż była mroźna noc zimowa, a z okien Orlandy rozciągała się cudowna panorama. Widać było Świętego Pawła, Opactwo Westminsterkie, wszystkie wieżycy i kopuły kościołów w City, połyskliwą wstęgę rzeki, okazałe cielska gmachów publicznych. Na północy wyrastały gładkie, przystrzyżone wzgórza Hampstead, zaś na zachodzie biła jednorodna łuna od ulic i placów Mayfair. Na to pogodne i uładzone widowisko patrzyły z bezchmurnego nieba gwiazdy, mrugające, zdecydowane, twarde. W niezwykle przejrzystym powietrzu nie ginęła ani jedna kreska dachu, ani jeden kaptur na kominie; nawet kocie łby ulic jawiły się każdy z osobna. Orlanda nie mogła się powstrzymać, by nie porównać tego harmonijnego obrazu z ciasnotą i nieładem, jakie przedstawiał sobą Londyn za panowania Elżbiety. Wtedy bowiem, wspomniła; miasto, o ile tak się je zwać godziło, stało tłocznym, bezrządnym skupiskiem domów pod jej oknami w Blackfriars. Gwiazdy znajdowały swe odbicie w głębokich wykrotach pełnych zastajej wody pośrodku ulic. Na rogu, gdzie podówczas stała tawerna, nierzadko kładły się czarnym cieniem zwłoki zamordowanego człowieka. Pamiętała krzyki wznoszone przez wielu poszkodowanych w tych nocnych bijatykach, gdy jako mały chłopiec trzymana była przez mamkę w oknie o diamentowych szybach. Bandy oprychów, mężczyzn i kobiet z niewypowiedzianym cynizmem wymieszanych, waleśały się ulicami, wyjąc piosnki nieokresane, błyskając klejnotami w uszach, świecąc nożami w garściach. W tak pogodne noce jak dzisiejsza, nieprzebyta gęstwa lasów na wzgórzach Highgate i Hampstead odcinała się od nieba zwichrowaną, ruchomą kreską. Tu i ówdzie, na jednym z wielu innych wzgórz, które wynosiły się nad Londynem, stała niezwruszenie szubienica ze zwłokami przypiętymi do jej krzyżnych ramion, by zgniły lub wyschły. Bowiem niebezpieczeństwo i lęk, żądza i przemoc, poezja

i brud zlatywały krętymi elżbietańskimi gościńcami, po czym hałasowały i cuchnęły - Orlanda do dziś pamiętała londyński odór ciepłej nocy - w izdebkach i wąskich uliczkach miasta. Teraz - wychyliła się z okna - niepodzielnie rządziła jasność, ład i spokój. Dobiegł ją stłumiony stukot powozu po bruku. Usłyszała odległy okrzyk nocnego stróża: - Minęła północ, pogoda mroźna. - Ledwie słowa te zeszły z jego ust, gdy ozwały się zegary. Wtedy po raz pierwszy Orlanda zauważyła chmurkę skłębioną za kopułą Świętego Pawła. Zegary jeszcze były, a chmura czerniała i szerzyła się z niebywałą szybkością. Jednocześnie wstał lekki wietrzyk i przy szóstym uderzeniu zegarów całe wschodnie niebo powlekła już strzępiasta, ruchoma ciemność, choć niebo na zachodzie i północy pozostało jak zawsze czyste. Później chmura rozrosła się ku północy. Ogarniała coraz to nową wyniosłość nad miastem. Tylko Mayfair, rozświetlone lasem latarń, dla kontrastu płonęło jaskrawiej niż zazwyczaj. Z ósmym uderzeniem spieszne łachmany chmury rozpostarły się nad Piccadilly. Zdawały się zwierać szyki i posuwać z niebywałą szybkością ku zachodniej części miasta. Gdy wybiło uderzenie dziewiąte, dziesiąte i jedenaste, ogromna czern zawiśła nad całym Londynem. Gdy wybrzmiało dwunaste, ciemność była zupełna. Burzliwe zawirowanie chmury otuliło miasto. Wszędy był mrok; wszędy było zwątpienie; wszędy był zamęt. Wiek osiemnasty dobiegł końca; rozpoczął się wiek dziewiętnasty.

ielka chmura, która w pierwszy dzień dziewiętnastego stulecia zawisła nie tylko nad Londynem, lecz nad całym Wyspami Brytyjskimi, zabawiła, jeśli tak można określić nieustanne zmagania z gwałtownym wichrem, wystarczająco długo, by wyrzucić niebywały wpływ na tych, którzy żyli w jej cieniu. Zdawało się, że na klimat Anglii przyszła odmiana. Deszcz padał często, lecz tylko grymasnymi porywami, które ledwie ustawały, by chlusnąć od nowa. Słońce, ma się rozumieć, świeciło, lecz było tak okutane chmurami, a powietrze tak przesiąknięte wodą, że promienie słoneczne przebarwiły się i w miejsce bardziej zdecydowanych pejzaży osiemnastowiecznych przyszły mdłe purpury, oranże i czerwienie. Pod tym poturbowanym i smętnym baldachimem zieleni kapusty była umiej soczysta, biel śniegu przybłocona. Co gorsza, do wszystkich domów zaczęła wnikać wilgoć, ten najbardziej perfidny ze wszystkich wrogów, bowiem o ile słońce można powstrzymać żaluzjami, a mróz upiec na ogniu, o tyle wilgoć zakrada się, gdy śpimy; wilgoć jest niema, niewidoczna, lecz wszędyobylska. Wilgoć sprawia, że pęcznieje drewno, pleśnieje garnek, rdzewieje metal, kruszeje kamień. Odbywa się to tak pokątnie, że dopiero gdy podniesiemy jakiś kuferek czy szufelkę z węglem i rzecz cała rozsypie nam się w dloniach, zaczynamy podejrzewać, że choroba ta trawi nasze otoczenie.

Tym sposobem, podstępnie i niepostrzeżalnie, nie podając dnia ani godziny, usposobienie Anglii odmieniło się, co

154

nie uszło jednak niczyjej uwagi. Skutki dały się bowiem odczuć na każdym polu. Zahartowany ziemianin, który dawniej z ochotą zasiadał do piwa i wołowiny w sali zaprojektowanej, dajmy na to, przez braci Adamów, z klasycznym umiarem, teraz poczuł chłód. Pojawiły się zatem dywany; zapuszczono brody; spodnie sztywno przypinano do podbicia stopy. Chłód, jaki ziemianin uczył w nogach, wkrótce przeniósł się na dom: meble opatulono, ściany i stoły okryto, nic nie pozostawiono bez osłony. Później niezbędna stała się zmiana jadłospisu. Wynaleziono *muffin* i *crumpet*\*. Kawa zastąpiła poobiednie porto, a ponieważ kawa wymagała salonu, gdzie by się ją piło, a salon wymagał kredensu na szkło, a kredens sztucznych kwiatów, a sztuczne kwiaty kominków, a kominki fortepianów, a fortepiany salonowych ballad, a salonowe ballady (przeskakując kilka faz) niezliczonych pieszków, chodniczków i porcelanowych drobiazgów, dom - który ogromnie przybrał na znaczeniu - został całkowicie przeobrażony.

Na zewnątrz domu - co było kolejnym skutkiem wilgoci - nieporównaną gęstwą krzewił się bluszcz. Domy niegdyś z nagiego kamienia obrosły zielenią. W żadnym ogrodzie, choćby w pierwotnym zamyśle skrajnie ułożonym, nie mogło zabraknąć rozwichrzonych zarośli, romantycznego ustronia, labiryntu. Jeżeli do pokojów, w których rodziły się dzieci, zdołało wdrzeć się światło, przybierało barwę mętnej zieleni. By wejść do pokojów, w których mieszkali dorośli, światło musiało pokonać przeszkodę w postaci zasłon z brązowego czy purpurowego pluszu. Odmiana nie zatrzymała się jednak na zewnętrznej powłoce rzeczy. Woda wtargnęła do środka. Ludzie uczyli chłód w sercach, wilgoć w umysłach. W rozpaczliwym wysiłku, by zapewnić swym uczuciom przytulny, ciepły zakątek, uciekano się do

\*Rodzaj bułeczek kupowanych zwykle w piekarni lub u wędrownego cukiernika w postaci surowego ciasta, a następnie pieczonych na maśle. *Muffin* jest większy i cięższy od *crumpeta*.

155

rozlicznych forteli. Miłość, narodziny i śmierć ubierano w najrozmaitsze piękne zwroty. Płcie coraz bardziej się od siebie oddalały. Szczera rozmowa była niedopuszczalna. Po obu stronach skwapliwie stosowano pozory i uniki. Orgia bluszczu i drzew wiecznie zielonych w wilgotnej glebie na zewnątrz znalazła swój odpowiednik w wybujałej płodności wewnątrz. Życie przeciętnej kobiety sprowadzało się do kolejnych porodów. Wychodziła za męża w wieku lat dziewiętnastu, a gdy dobijała trzydziestki, miała piętnaścioro czy osiemnaścioro dzieci, bo roiło się wówczas od bliźniąt. Tym sposobem powstało Imperium Brytyjskie; tymże sposobem - bowiem wilgoć nie zna przeszkód i zarówno, jak w boazerię, tak też wchodzi do kałamarza - spęczniały zdania, rozmnożyły się przymiotniki, liryczne stało się epickie; a drobiazgi, które dawniej były szkicami długimi na szpalę, rozrastały się w dziesięcin- lub dwudziestotomowe encyklopedie. Niech świadkiem skutków, jakie to wszystko wywierało na umysł wrażliwego człowieka, który nie potrafił temu zaradzić, będzie dla nas Eusebius Chubb. U kresu jego wspomnień jest fragment, w którym opisuje, jak to zapisawszy pewnego ranka trzydzieści stron *in folio* „zupełnie o niczym”, zakręcił kałamarz i wyszedł na obchód ogrodu. Wkrótce pogrążył się w zaroślach. Niepoliczone liście szeleściły i połyskiwały mu nad głową. Zdawało mu się, jakby „pod stopami deptał na proch dalsze ich miliony”. Wilgotne ognisko na końcu ogrodu buchało gęstym dymem. Naszła go refleksja, iż żaden ogień na świecie nigdy nie zdoła pochłonąć tej ogromnej roślinnej zawady. Gdzie spojrzął, tam panoszyła się zieleń. Ogórki „turlały się po trawie pod jego stopy”. Gigantyczne kalafiory piętrzyły się wyżej i wyżej, aż w jego schorowanej wyobraźni sięgały koron wiązów. Kury składały bez przestanku jaja nieokreślonej barwy. Przypomniał sobie jednak z westchnieniem swą własną płodność i swą biedną żonę Jane, obecnie unieruchomioną w piętnastym połogu, zadał sobie pytanie, jak śmie winić drób? Wzniósł oczy na firmament. Czyż same niebiosy bądź

156

też ten wielki frontyspis niebios, jakim jest firmament, ni wskazuje, że dzieło płodzenia znajduje życzliwość, ba, za chęć ze strony niebiańskiej hierarchii? Tam bowiem, ro w rok, chmury turlały się i koziołkowały jak wieloryby czy też może jak słonie. Ale nie, na próżno Chubbs uciekał o porównania, które narzucały mu tysiące błękitnych móg galy

firament rozciągnięty szeroką wstęgą nad Wyspami Brytyjskimi był niczym innym jak olbrzymim łóżem z pierzyna, a siernieżna płodność ogrodu, sypialni i kurzej grzęd; znajdowała tam swój najświetniejszy wzorec. Wszedł do domu, zapisał cytowany powyżej fragment, wsunął głowę do pieca gazowego, a gdy go później znaleziono, był już do cna z życia wyzuty.

Gdy rewolucja ta przetaczała się nad całą Anglią, Orlanda zaszyła się w swym domu w Blackfriars i udawała że klimat się nie zmienił, że nadal można mówić, co się komu żywnie podoba i nosić, wedle ochoty, raz spodnie raz suknie. Jednak nawet ona musiała w końcu przyznać że czasy się zmieniły. Pewnego popołudnia w początkach stulecia jechała przez St. James's Park w swej starej rzeźbionej karocy, gdy promień słońca (jeden z tych, które niekiedy, choć z rzadką, z trudnością przebijały się ku ziemi) przedarł się przez chmury, barwiąc je po drodze w najosobliwsze pryzmatyczne kolory. Widok ten był wystarczająco niezwykle w porównaniu z czystym i jednolitym niebem osiemnastego stulecia, by zsunęła okno, aby mu się przyjrzeć. Chmury w kolorze ciemnego brązu i różu flamandzkiego kazały jej pomyśleć z rozkosznym udreczeniem (co dowodzi, że bezwiednie zaraziła się już wilgocią) o delfinach umierających w Morzu Jońskim. Jakież było jej zdumienie, gdy promień, przypadłszy do ziemi, zdał się powołać do życia, czy też może wywabić z mroku, piramidę, hekatombę bądź też trofeum (bowiem przypominało to nieco stół bankietowy) w każdym razie zbiorowisko różnorodnych i nie przystających do siebie przedmiotów, usypanych jak popadnie w stertę w miejscu, gdzie teraz stoi posąg królowej Wiktorii. Udra

157

powalone na ramionach olbrzymiego krzyża ze złotego filigranu, wisiały czarne woale wdowie i białe woale ślubne; do innych odrośli przypięte były kryształowe pałace, kołyski, kołpaki, wieńce żałobne, bokobrody, torty weselne, działa, choinki świąteczne, teleskopy, wymarłe monstra, globusy, mapy, słonie i przyrządy matematyczne - całość, niczym olbrzymi herb szlachecki, podpierana z prawej postać kobieca odziana w powłóczystą biel, a po lewej postawny dżentelmen w surducie i spodniach w deseń warcabnicy. Nieprzystawalność przedmiotów, zderzenie w pełni odzianego z ledwie przysłoniętym, krzykliwość rozmaitych kolorów i ich pstrokatość przywodząca na myśl szkocką kratę, wtrąciły Orlandę w najgłębsze przygnębienie. Nigdy jeszcze, jako żywo, nie widziała nic tak nieprzystojnego, tak odrażającego i tak monumentalnego. Mógł to być, zgoła musiał, efekt słońca na przesiaćle deszczem powietrze; widok zniknie z pierwszym podmuchem wiatru. A jednak, gdy przejeżdżała dalej, wyglądało, że przeznaczone mu jest wieczne trwanie. Nic, poczuła, zapadając w głąb karocy, żaden wiatr, deszcz, słońce czy grzmot nie zdołają nigdy zburzyć tego krzykliwego gmachu. Nosy upstrzą piegi, a trąby rdza, lecz, choć upstrzone, pozostaną i wskazywać będą na wschód, zachód, południe i północ, po wieki wieków. Gdy karoca gnała na Constitution Hill, Orlanda obejrzała się za siebie. Tak, piramida błyszczała spokojnie w świetle, które - wyjęła z kieszonki zegarek - było oczywiście światłem południa. Żadne inne światło nie potrafi być tak prozaiczne, tak rzeczowe, tak niepodatne na wszelkie sugestie świtu czy zmroku, tak pozornie obliczone na wiecznotrwałość. Była zdecydowana już więcej nie patrzeć. Czowała, że krew w niej krąży niemrawo. Wszelako, co jeszcze osobliwsze, gdy mijała Pałac Buckingham, jej lica okrył żywy, rzadkiej płomienności rumieniec, a jakaś przemożna siła ściągnęła jej oczy na kolana. Nagle spostrzegła ze zdumieniem, że ma na sobie czarne spodnie. Rumieniec nie zbladł, póki nie dojechała do swego domu na wsi, co, zważywszy, ile czasu

158

zajmuje czwórce koni pokonanie, choćby i galopem, trzydziestu mil, zostanie, mamy nadzieję, uznane za bezprzykładny dowód jej skromności.

Po przyjeździe poddała się najbardziej już teraz władce-rej potrzebie swej natury, czyli owinęła się jak najszczelniej kołdrą z adamaszku, którą ściągnęła z łóżka. Wyjaśniła wdowie Bartholomew (która objęła obowiązki ochmistrynii po śmierci pocziwej jejmości Grimsditch), że czuje chłód.

- Dalibóg, Jaśnie Pani, my tu wszyscy marzną - powiedziała wdowa z głębokim westchnieniem. - Bo się ściany pocą - dodała ze szczególnym, ponurym samozadowoleniem, i rzeczywiście, wystarczyło, by położyła dłoń na dębowej boazerii, aby pozostawić odciski palców. Bluszcz urósł tak bujnie, że zapieczętował wiele okien. Kuchnia była tak mroczna, że ledwie dało się odróżnić czajnik od cedzaka. Biedny czarny kotek wzięty został za węgle i wrzucony w ogień. Większość służebnic wdziewała już trzy lub cztery spódnice z czerwonej flaneli, choć był dopiero sierpień. - Prawdaż to, Jaśnie Pani - spytała pocziwa kobieta, kuląc się w sobie, a złoty krucyfiks uniósł się na jej piersi - że królowa, Boże jej błogosław, nosi. jak to tam zwą... - pocziwa kobieta. ~ : ~ ~ . ; p~)kraśniała.

- Krynolinę - dopomogła jej Orlandę; ,, -, -j lawo to zdążyło dotrzeć do Blackfriars). Jejmość Bartholomew skinęła głową. Jej lica złościły już łzy, lecz płacząc, uśmiechała się. Bowiem przyjemnie było płakać. Czyż nie były wszystkie słabymi kobietami? Które nosiły krynoliny dla ukrycia okoliczności; okoliczności jedynej; okoliczności wielkiej; okoliczności, jednakowoż, godnej pożałowania; której każda skromna kobieta wszelkim sposobem zaprzeczała, póki zaprzeczać było możliwe; okoliczności, że wkrótce urodzi dziecko? ba, że urodzi piętnastoro czy dwadzieścioro dzieci, toteż większa część życia skromnej kobiety schodziła na zaprzeczaniu tego. co nr~. ~~~~,~niej raz do roku stawało się oczywista

159

- Upieklimy drożdżaki, są w bibliotece - rzekła pani Bartholomew, osuszając łzy.

Zawinięta w kołdrę z adamaszku Orlanda usiadła nad tacą bułeczek.

- Upięklimy drożdżaki, som w byblyjotece - Orlanda wyrecytowała okropny wsiowy zwrot, naśladowując wyrafinowaną wsiową wymowę jejmość Bartholomew, popijając drożdżówki - ach, jakże nie znosiła tego lurowatego napitku, zwanego herbata. W tej właśnie sali, wspomniawszy, królowa Elżbieta stała przy ogniu z dzbanem piwa w dłoni, którym nagle cisnęła o stół, gdy lord Burghley użył trybu rozkazującego, miast łączącego. - Mój człowieczku, mój człowieczku - Orlanda dotąd miała w uszach' jej głos czy „musi” jest słowem, jakim zwracamy się do książąt? - I dzban powędrował na stół: do dziś dnia w blacie widnieje szczerba.

Kiedy Orlanda skoczyła na nogi, do czego zobowiązywała sama myśl o wielkiej królowej, kołdra spętała jej ruchy, toteż z przekleństwem na ustach opadła z powrotem na fotel. Nazajutrz będzie chyba musiała zakupić lekko licząc dwadzieścia jardów czarnej krepy na spódnice. A potem (pokraśniała) będzie musiała zakupić krynolinę a potem (pokraśniała) kołyskę, a potem nową krynolinę, i tak dalej... Że rumieńce zjawiały się na każde zawołanie, dowodzi u Orlandy wielkiej modestii i wstydlivosti. Jej lica oddychały duchem epoki, raz gorącym, raz zimnym. A jeśli duch epoki wiał w niej cokolwiek kapryśnie, rumieniąc jej lica myślą o krynolinie, choć nie zdążył ich jeszcze zrozumieć myślą o mężu, tłumaczy Orlandę jej dwuznaczna sytuacja (nawet jej płeć pozostawała przedmiotem sporu) oraz nieregularny żywot, jaki dotychczas wiodła.

Nareszcie kolor na jej licach odzyskał równowagę, a duch epoki - o ile to rzeczywiście on - zdawał się na czas jakiś uspiiony. Orlanda sięgnęła ku piersi jakby po medalion lub relikwię dawnego uczucia, lecz miast tego wyjęła zwój papieru, splamiony morzem, krwią, podróżą: rękopis swego

160

poematu *Dąb*. Nosiła go przy sobie już od tylu lat, i w okolicznościach tak ryzykownych, iż wiele stron było zabrudzonych, podartych, a niedostatek papieru u Cyganów zmusił ją do wypełnienia marginesów i interlinii, toteż manuskrypt przypominał arcskrupulatnie pocerowaną pończochę. Wróciła do pierwszej strony i odczytała datę, 1585, skreśloną swą własną chłopięcą dłonią. Pracowała nad wierszem już od bez mała trzystu lat. Czas dokończyć dzieła. Na razie zabrała się do przewracania stron, czytania wybranych ustępów, aż nasza ją refleksja: jakże niewiele się zmieniła przez te wszystkie lata! Była posepnym chłopcem, rozmiłowanym w śmierci, jak to chłopcy; potem była kochliwa i kwiecista; potem błyskotliwa i satyryczna; niekiedy miała się prozy, niekiedy dramatu. Mimo tych wszystkich zmian w istocie pozostała ta sama. Nie zatraciła swej refleksyjnej, skupionej w sobie natury, nie zatraciła miłości do z~ ~: ~ rv~~ody, fascynacji wsią i zmiennością pór roku.

Koniec końców - pomyślała, wstam~:, „: x~c]Isry do okna - nie się nie zmieniło. Dom, ogród są dokładnie takie same, jak były. Ani jedno krzesło nie zostało przesunięte, ani jeden bibelot sprzedany. Te same alejki, te same trawniki, te same drzewa, ten sam staw, w którym, przysięgłabym, pływa ten sam karp. Prawda, że na tronie zasiada królowa Wiktoria, a nie królowa Elżbieta, lecz jaką różnicę...

Ledwie myśl ta zdążyła nabrać kształtu, kiedy, jakby dla jej zdławienia, drzwi otwarły się na oścież i wkroczył Basket, kamerdyner, a za nim Bartholomew, ochmistrzyni, by posprzątać po herbacie. Orlandzie, która właśnie umaczała pióro w kałamarzu, aby skomponować jakąś refleksję nad wiecznotrwałością wszechrzeczy, stanął na zawadzie kleks, który szerzył się węzową linią wokół dutki. Pewnie jakieś zwyrodnienie pióra; może jest rozszczepione lub zabrudzone. Znów umaczała je w kałamarzu. Kleks się powiększył. Próbowała rozwinąć rozpoczętą myśl, lecz słowa się nie nastęrczały. Zaczęła zatem przyodzadbiać kleksa skrzydłami i wąsami, aż przeobraził się w krągłogłowe monstrum, coś

161

między hydrą a hydrantem. Co się zaś tyczy pisania poezji w jednym pokoju z Basketem i Bartholomew, było to niemożliwe. Ledwie wyrzekła słowo „niemożliwe”, gdy pióro, ku jej zdumieniu i zaniepokojeniu, jęło arcyzwinnie pędzić i harcować po papierze. Strona wnet pokryła się skreślonymi najstaranniejszym pochyłym pismem italskim wersami, od których mniej strawnych nigdy w życiu nie czytała.

W łańcuchu życia jestem tylko Marnym ogniwem, lecz się we mnie Zrodziły słowa przenajświętsze. Wszak nie na próżno, nie daremnie!

Czy ta dziewczyna - lzy samotne Światło księżycy opromienia Tęskniąc za swoim nieobecnym, Westchnie...

napisała bez przestanku, gdy Bartholomew i Basket jęczeli i sarkali po pokoju, dokładając do ognia, zbierając resztki bułeczek.

Znów umoczyła pióro i nuże:

O, jakże inną była. Obłok, Co jej różowił białe lico

Jak światło świtu pierwszą chmurę, Zgasł nagle w blasku rozpalonych Ognie rumieńców, nagrobnych świec.

Tu raptownym ruchem wylała inkaust na papier i usunęła wiersz z widoku ludzkich oczu, miała nadzieję, że na zawsze. Czwała w sobie konwulsje, wręcz paroksyzmy. Nie można sobie wyobrazić nic ohydniejszego niż ów upust in

\* Ten i następne wiersze Orlandy podajemy w przekładach Artura Grabowskiego, młodopolskiego poety rozmiłowanego w jej twórczości.

162

kaustu spływającego kaskadą mimowolnego natchnienia. Co się z nią dzieje? Czy to wilgoć, czy to Bartolomew, czy to Basket, jaka jest tego przyczyna? - spytała. Wszak pokój był pusty. Nikt jej nie odpowiedział, chyba że za odpowiedź poczytamy szum kropel wody pośród bluszczu. Tymczasem, stojąc u okna, uświadomiła sobie niezwykłe dzwonienie i wibrowanie w całym ciele, jakby była zrobiona z tysiąca strun, na których wietrzyk bądź błędne palce wygrywają gamy. To dzwoniły palce u nóg, to znów szpik kostny. Odczuwała najosobliwsze sensacje w kościach ud. Włosy zdawały się prężyć na baczność. Ramiona śpiewały i brzdękały jak za dwadzieścia mniej więcej lat miały śpiewać i brzdękać druty telegrafu. Całe to pobudzenie zdało się na koniec zgromadzić w jej dłoniach; potem w jednej dłoni, potem w jednym palcu tejże dłoni, i wreszcie skurczyło się w pierścien rozedrganego świerzbienia wokół palca serdecznego lewej dłoni. Kiedy uniosła palec, by sprawdzić, co spowodowało owo wrażenie, nie ujrzała nic - nic prócz ogromnego szmaragdu, który ongi otrzymała od królowej Elzbiety. Lecz czy to nie wystarczy? - spytała. Klejnot był najczystszej wody. Wart co najmniej dziesięć tysięcy funtów. Wibracja zdawała się, jakimś zupełnie niebywałym sposobem (ale pamiętajmy, że mamy do czynienia z najmroczniejszymi przejawami ludzkiej duszy), mówić: „Nie, to nie wystarczy” i jakby tego było jej mało, przybierała inkwizytorski ton i zdawała się pytać: „Cóż to znaczy, ten brak, to dziwne zaniedbanie?”, aż wreszcie Orlanda poczuła się srodze zawstydzona serdecznym palcem swej lewej ręki, nie mając najmniejszego pojęcia, dlaczego. W tej chwili weszła Bartholomew, by spytać, jaką ma wyłożyć suknię do kolacji. Orlanda, której zmysły ogromnie się zaostrzyły, natychmiast spostrzegła, czego nigdy dotąd nie zauważyła: grubą obrączkę, w dość żółciowym kolorze złota, okalającą palec środkowy ochmistrzyni, u Orlandy nagi.

- Pozwól, niech spojrzę na twą obrączkę, Bartholo  
mew - poprosiła, wyciągając przed siebie dłoń  
163

Bartholomew nie okazałaby większego oburzenia, gdyby jakiś zbój huknął ją pięścią w głowę. Szarpnęła parę kroków do tyłu, zacisnęła dłoń i odrzuciła ją za siebie gestem pełnym najwyższej szlachetności.

- Nie - powiedziała z niezłomną godnością. Jaśnie Pani może oglądać, jeśli taka jej wola, lecz ona z palca obrączki ślubnej nie zdejmie, choćby jej rozkazał sam arcybiskup, papież czy królowa Wiktoria. Jej Tomasz włożył obrączkę na jej palec dwadzieścia pięć lat, sześć miesięcy i trzy tygodnie temu; nie zdejmowała jej do snu, do pracy, do prania, do modlitwy, nie zdejmie jej nawet do grobu. Choć głos jej się załamywał ze wzruszenia, Orlanda wyrozumiała, że podług poloru obrączki wdowie przydzielił miejsce pośród aniołów, a jeśli choć na chwilę wypuści ją ze swej pieczy, polor ów zostanie na wieki zbrukany.

- Boże wszechmogący! - zawołała Orlanda, stając u okna i obserwując dokazujące gołębie. - Doprawdy, w jakimż my świecie żyjemy! - Zawilość tego świata zdumiała ją. Zdawał jej się cały opasany złotem. Poszła na kolację, lecz od widoku pierścionków ślubnych nie mogła się opędzić. Poszła do kościoła - wszędzie obrączki. Wsiadła w powóz - złote czy tombakowe, cienkie, grube, matowe, polerowane, świeciły mdło z każdej dłoni. Sklepy jubilerskie piętrzyły się od obrączek, a nie, jak za jej pamięci, od pierścieni z drogimi kamieniami szlachetnymi. Równocześnie zaś zauważyła nowy obyczaj pośród wieśniaków. W dawnych dniach nierzadko napotykało się chłopca figlującego z dziewczyną pod głogowym żywopłotem. Orlanda niejedną parę poczęstowała szpicrutą, by ze śmiechem pojechać dalej. Teraz wszystko się zmieniło. Pary kroczyły ciężko środkiem drogi nierozzerwalnie splecione. Prawe ramię kobiety nieodmiennie przechodziło pod lewym ramieniem mężczyzny, który mocno ścisnął jej palec. Często dopiero dotyk nozdrzy koni na karku wyrwał ich z letargu, a i wtedy usuwali się na bok powoli, scaleni w jedną istotność. Orlanda uznała, że poczyniono jakieś nowe odkrycie dotyczące rodzaju ludzkiego;

164

że owe pary, jedna po drugiej, zostały w jakiś sposób ze sob zespolone, ale kto to uczynił, i kiedy, nie miała pojęcia. Au torką nowego gatunku nie wydawała się natura. Orlanda pa trzymała na synogarlice, króliki, ogary i nie zauważyła, aby na tura odmieniła, czy też naprawiła swe obyczaje, przynajmniej od czasów Elzbiety. Pomiędzy znajomymi jej zwierzętami nie istniał nierozzerwalny sojusz. Czyżby zatem królowa Wiktoria albo lord Melbourne? Ich to dziełem było wielkie odkrycie małżeństwa? Ale przecież królowa - rozmyślała lubi ponoć psy, a lord Melbourne, jak słyszała, lubi ponoć kobiety. Jakie dziwne, jakie niesmaczne! Bowiem w nierozłączności ciał było coś odrażającego dla jej poczucia przyzwoitości i higieny. Dywagacjom Orlandy towarzyszyło jednak wciąż takie dzwonienie i brzdękanie porażonego palca, że z trudem przychodziło jej zapanować nad myślami. Były przeciągłe i kuszące jak fantazje pokojówki. Przyprawiły ją o rumieniec. Nie pozostawało nic innego, jak zakupić jeden z tych szkaradnych klejnotów. Co uczyniwszy, wsunęła obrączkę na palec, zdjęta wstydem, w cieniu zasłony; jednak bezskutecznie. Dzwonienie przybrało tylko na sile i oburzeniu. Tej nocy nie zmrzyła oka. Gdy następnego ranka chwyciła za pióro, już to nie przychodziło jej nic do głowy, już to z pióra skapywały jedna po drugiej wielkie łzy inkaustu; co bardziej niepokojące, pióro umykało niekiedy w potoczyste wywody na temat wczesnej śmierci i zepsucia, co było gorsze aniżeli zupełny brak myśli. Wydaje się bowiem a przypadek Orlandy najdowodniej na to wskazuje - że piszemy nie palcami, lecz całą swą osobą. Nerw, który zawiaduje piórem, okręca się wokół każdego włókna naszej istoty, przewleka przez serce, przenika wątrobę. Choć sedno kłopotów Orlandy zdawało się spoczywać w jej lewej dłoni, czuła się wskroś zatruta, wobec czego ostatecznie zmuszona była rozważyć najbardziej desperackie lekarstwo: ulec bez reszty i z pokorą duchowi epoki, to jest wydać się za mąż.

Ze było to dalece wbrew jej naturalnemu usposobieniu, zostało już wystarczająco wyraźnie podkreślone. Wszak kiedy  
i65

zgasł turkot kół powozu arcyksięcia, okrzyk, który wyszedł z jej ust brzmiał „Życie i amant!” a nie „Życie i mąż!” i dla tego właśnie celu udała się do miasta i uganiała po świecie, jak pokazaliśmy w poprzednim rozdziale. Taka jest jednak niezwalczona natura ducha epoki, że każdego, kto stawia mu czoło zмага znacznie skuteczniej aniżeli tych, którzy mu ustępują. Do ducha elżbietańskiego, do ducha epoki Restauracji, do ducha XVIII stulecia Orlanda żywiła naturalną skłonność, toteż zaledwie miała świadomość przejścia z jednej epoki do drugiej. Lecz duch wieku XIX był jej wysoce antypatyczny, toteż porwał ją i poskromił; jak nigdy dotąd świadoma była doznanej z jego rąk porażki. Prawdopodobne jest bowiem, że duchowi ludzkiemu przeznaczone jest jakieś miejsce w czasie; jedni rodzą się z tej epoki, drudzy z innej; a że Orlanda była dorosłą kobietą, bodaj już z rok czy dwa po trzydziestce, kościec jej charakteru został ukształtowany: naginanie go w złą stronę było nieznośne.

Stała więc ponura przy oknie salonu (Bartholomew tak nazwała bibliotekę), obciążona balastem krynoliny, który z pokorą wzięła na siebie. Krynolina była cięższa i posepniejsza od wszystkich strojów, jakie dotąd nosiła. Jeszcze żaden tak nie krepował jej ruchów. Nie mogła już różnym krokiem spacerować z psami po ogrodzie, czy też wbiec rysią na wzgórze i cisnąć się na ziemię pod dębem. Spódnicami zmiatała wilgotne liście i słomę. Kapelusz z piórami kolebał się na wietrze. Cienkie buciki szybko przemakały i obrastały błotem. Mięśnie utraciły prężność. Zaczęła sobie wyobrażać rabusiów ukrytych za boazerią i, po raz pierwszy w życiu, lękała się duchów w korytarzach. Wszystko to skłoniło ją, krok po kroku, by poddać się nowej doktrynie (czy to autorstwa królowej Wiktorii, czy kogoś innego); że każdemu mężczyźnie i każdej kobiecie przypisana jest na całe życie osoba przeciwnej płci, z którą wzajem się wspierają, póki śmierć ich nie rozłączy. Byłoby wygodne, czuła, wesprzeć się, usiąść, o tak, położyć się, i już nigdy, nigdy, nigdy nie wstać. Tak to nicował ją duch epoki, mimo jej dawnej

166

dumy, a gdy zsunęła się po drabinie wzruszeń do tej niskiej i niezwykłej jej pieczary, podbrzdękiwania i dzwonienia, dotąd tak natrętne, tak oskarżycielskie, przeszły w najsłodsze z melodii, aż zdało się, że to anieli szarpia białymi palcy za struny harfy, a całą jej istotę przeaika4.1,~ ~ . . ;r~t-ska harmonia.

Wszak na kim mogłaby się wEaprzeće -, eia tc> pytanie nieokielznanym wichrom jesiennym. Nie na arcyksięciu: ożenił się z bardzo wielką damą i od wielu lat polował w Rumunii na zające; nie na imię M.: został katolikiem; nie na markizie C.: szył worki w więzieniu Botany Bay; nie na lordzie O.: od dawna stanowił strawę dla ryb. Nie z tego, to z innego powodu, wszyscy jej starzy kumotrzy poznikali, co się zaś tyczy Nell i Kit z Drury Lane, to choć miały jej wielką sympatię, zbyt pewnej podpory nie przysparzały.

- O, na kimże - spytała siedząc na parapecie, splótszy dłonie wokół kolan i utopiwszy wzrok w skłębionych obłokach, co czyniło z niej żywy obraz powabnej kobiecości - wesprzeć się mogę? - Słowa te ukształtowały się, a ręce splóty, mimowiednie, tak jak jej pióro pisało z własnego impetu. Nie Orlanda przemówiła, lecz duch epoki. Zresztą bez różnicy, bo nikt nie odpowiedział. Gawrony bazgrały czarną kreską po fiołkowych obłokach jesieni. Deszcz ustał nareszcie, a opalizujące niebo kusilo ją, by założyć kapelusz z piórami i sznurowane buciki, po czym udać się na przechadzkę przed obiadem.

Wszyscy prócz mnie mają kogoś od serca - rozmyślała, snując się smętnie przez podwórze. Gawrony, nawet Kanut i Pippin, choć związki te były przelotne, tego wieczoru wszyscy zdawali się mieć partnera. - Tymczasem ja, wódarz tego wszystkiego - myślała Orlanda, spoglądając na niepolicone świetliste okna sali biesiadnej - i,~ samotna, bezpańska, niczyja.

Takie myśli nigdy wcześniej nie powstały jej; - ~:towie. Teraz nie potrafiła się uwolnić od ich brzemienia. Miast sama pchnąć bramę, urękawiczoną dłonią zapukała po odzwier

167

nego, by jej otworzył. Trzeba się na kims wesprzeć, nawet jeśli to tylko odzwierny; na poły pragnęła zostać z nim i pomóc mu upiec kotlet na wiadrze rozżarzonych węgli, lecz nie miała śmiałości poprosić. Błąkała się zatem po parku sama, niespokojna wpiery i zalękniona, że kłusownicy, gajowi czy nawet forysie zdumieją się na widok wielkiej damy spacerującej samotnie.

Z każdym krokiem zerknęła nerwowo, czy za krzewem janowca nie czai się męski kształt, bądź jakaś okrutna krowa nie zamierza jej wziąć na rogi. Tymczasem były tylko swawołące na niebie gawrony. Któryś upuścił między wrzosy stalowosine pióro. Uwielbiała pióra dzikich ptaków. Kolekcjonowała je jako chłopiec. Podniosła pióro i zatknęła w kapelusz. Powietrze orzeźwiło nieco jej ducha. Gawrony kręciły nad jej głową koła i zawijasy, zrzucały przez zaprawione purpurą powietrze pióro za piórem, a ona szła ich tropem przez wrzosowisko, na wzgórze, powiewając połami płaszcza. Od lat nie uszła tak daleko. Już sześć piór podniosła, przeciągnęła między palcami i przycisnęła do ust, rozkoszując się gładką, aksamitną pieścizną, gdy ujrzała połyskującą w zboczcu wzgórze srebrną sadzawkę, tajemniczą jak jezioro, do którego Sir Bedivere cisnął miecz Artura. Samotne pióro z drzeniem sfrunęło do sadzawki. Wtem ogarnęło ją dziwne uniesienie, dzika myśl, by pójść za ptakami na skraj świata, utonąć w miękkim dywanie wrzosów i upoić się zapomnieniem, a gawrony, zdawało się,

ponaglały ją skrzekliwym śmiechem. Przyspieszyła kroku, puściła się biegiem; potknęła; krzepkie korzenie wrzosa ściągnęły ją na ziemię. Złamała nogę w kostce. Nie mogła wstać. Leżała jednak błoga. Jej nozdrza przepelniał aromat mirtu i tawuły, a uszy - skrzekliwy śmiech gawronów.

- Znalazłam towarzysza życia - mruknęła. Wrzosowisko. Jestem oblubienicą natury - szepnęła, oddając się w ekstazie chłodnym objęciom trawy, leżąc zawinięta w płaszcz w zagłębieniu koło sadzawki. - Tu leżeć będę. (Pióro spadło jej na skroń). Znalazłam wieniec zieleńszy

168

od wawrzynu: pióra dzikich ptaków, sowy, lelka. Będę śniła szalone sny. Mych dłoni nie spęta ślubny pierścień - ciągnęła, zsuwając obrączkę z palca. - Oplotą je korzenie. Ach! - westchnęła, zmysłowo przyciskając głowę do wonnej poduchy - przez wiele stuleci szukałam szczęścia, i nie znalazłam go; szukałam sławy, i ominęła mnie; szukałam miłości, i jej nie znałam; życie, i jego sąsiadka, śmierć, są lepsze. Znałam wielu mężczyzn i wiele kobiet - ciągnęła - lecz nikogo nie rozumiałam. Lepiej mi leżeć tutaj w spokoju ducha, mając nad sobą tylko niebo, jak powiedział mi lata temu Cygan. To było w Turcji. - I spojrzała prosto w cudowną zlocistą pianę, w którą zmaśliły się chmury; po chwili ujrzała na niebie drożynę, którą szły rzędem wielbłądy, przez kamienną pustynię pośród kłębow czerwonego pyłu; gdy przeszły wielbłądy, zostały tylko góry, bardzo wysokie, pełne szczyb i skalnych sterczyn; zdało się jej, że posłyszała dzwonki kóz na przełęczach, a na halach postrzegła wyroiska irysów i goryczki. Niebo odmieniło się więc, a ona powoli zniżyła wzrok, aż napotkał omroczoną deszczem ziemię: ujrzała ogromny garb South Downs, rozciągniętych jedną falą wzdłuż wybrzeża; a tam, gdzie ziemia rozstępowała się, było morze, przepływały morskie okręty; zdało się jej, że posłyszała grzmot odległych dział i w pierw pomyślała: - To Armada - a potem: - Nie, to Nelson - lecz przypomniała sobie, że wszystkie te wojny już minęły, a okręty to po prostu zaprzątnięte swymi sprawami statki kupieckie; zaś żagle na krętej rzece należały do statków spacerowych. Ujrzała też trzodę mrowiącą się na mrocznych polach, owce i krowy, ujrzała światła rozbłyskujące tu i ówdzie w oknach gospodarstw i latarnie krążące wśród trzód, gdy pastuszkowie ruszali w obchód; a później światła zgasły, wstały gwiazdy i zasnęły niebo pajęczyną. Zapadała już w sen z mokrymi piórami na twarzy i uchem przyciśniętym do ziemi, gdy usłyszała, z wewnętrznych głębin, młot na kowadle, a może bijące serce? Bum-bum, bum-bum, tłuć się coś, waliło, młot bądź serce we wnętrzu ziemi;

169

śluchała dalej, a odgłos jakby przemienił się w stukot końskich kopyt; raz, dwa, trzy, cztery, policzyła; potem usłyszała potknięcie; potem, z coraz bliższa, słyszała trzaskające gałązki i cmok kopyt wsysanych w mokradło. Koń był tuż-tuż. Usiadła. Mroczny i ogromny na tle cętkowanego na żółto nieba o zachodzie, pośród gonitwy siewek, zjawił się mężczyzna na koniu. Ściągnął wodze. Koń stanął.

- Pani - zakrzyknął mężczyzna, skacząc na ziemię  
- jesteś ranna!

- Jestem martwa, panie - odparła. Kilka minut później byli zaręczeni.

Nazajutrz, przy śniadaniu, powiedział jej swe imię: Marmaduke Bonthrop Shelmerdine, Esquire\*.

- Wiedziała - odrzekła, gdyż było w nim coś romantycznego i rycerskiego, namiętnego, melancholijnego, acz stanowczego, co pasowało do tego dzikiego imienia w czarnym pióropuszu - imienia, który dla niej mieściło w sobie stalowosiny połysk piór gawronów, skrzekliwy śmiech ich krakania, wężowy opad ich piór do srebrzystej sadzawki i tysiąc innych rzeczy, które zaraz opiszemy.

- Me imię Orlanda - powiedziała. Domyślił się. Bowiem widząc okręt pod pełnymi żaglami nadchodzący wraz ze słońcem, prujący śródziemnomorskie fale w podróży z mórz południowych, mówi się od razu: Orlanda - wyjaśnił.

Prawdziwie bowiem, choć ich znajomość była tak krótka, jak to zawsze z kochankami, domyślili się wszystkiego, co istotne na swój temat w przeciągu niespełna dwóch sekund, a teraz pozostawało jedynie dopełnić różnych błahych szczegółów: jak się zwa, gdzie mieszkają, czy są żebrakami czy też ludźmi majątynymi. On miał zamek na Hebrydach,

\* Zwrot grzecznościowy stosowany, zwłaszcza w korespondencji, wobec osoby, która nie posiada innego tytułu. lecz w ruinie, powiedział jej. Był żołnierzem i marynarzem, zjeździł Orient. Teraz był w drodze na swój bryg w Falmouth, lecz wiatr ucichł, a prócz tego tylko przy południowo-zachodnim mógł wypuścić się w morze. Orlanda pospieszenie wyjrzała przez okno sali jadalnej na złoconego lamparta wieńczącego wiatrowskaz. Ogon zwierzęcia litościwie celował prosto na wschód i był niewzruszony jak skała.

- Och, Shel, nie opuszczaj mnie! - zawołała. Szaleję z miłości do ciebie! - dodała. Ledwie słowa te wyszły z jej ust, w sercach oh~za~a~nieiclr= ;~<t~zliwe podejrzenie.

- Jesteś kobiet. Shel ~ -- ~aw<ł~ł~,

- Jesteś mężczyzną, Orlando! - zawoła::

Jak świat światem tu było jeszcze takich protestów, przekonywań i demonstracji, jakie teraz nastąpiły. Gdy skończył i i na powrót usiedli, spytała go, co to za mowa o wietrze południowo-zachodnim? Dokąd się udaje?

- Na Cape Horn - odparł pospiesznie i pokraśniał\*. (Bowiem mężczyzna musiał się rumienić na równi z kobietą, lecz z innych powodów). Jedynie wskutek usilnych nacisków z jej strony, jak również zacerpnięcia z obfitych zasobów intuicji, wykonypowała, że życie jej towarzysza upływa na arcygroźnej i wspaniałej przygodzie - na podróżach wokół Cape Horn, podczas których zdany jest na łaskę wiatrów. Bywało, że maszty pękały jak zapalki, a żagle rwały się na strzepy (niemal siłą wydarła z niego to wyznanie). Bywało, że statek zatonał, a on jedyny ocalał na tratwie z jednym sucharem.

- Cóż inszego może dziś człowiek robić - powiedział zakłopotany, zając kąpiastymi łyżkami konfiturę truskawkową. Obraz tego młodzieńca (bowiem był zaledwie młodzieńcem), jaki sobie uczyniła, ssącego miętusy, które uwielbiał, podczas gdy maszty pękały, gwiazdy tańczyły,

\* Słowo Horn ma w języku angielskim ;u.~;~n . i, tcieregu w tym miejscu przytaczać nie przystoi.

170 I 171

a on grzmiał rozkazy, by to odrąbać, a owo cisnąć za burtę, wycisnął z jej oczu łzy; łzy tkliwsze od wszystkich dotąd przez nią wyplakanych. Nareszcie jestem kobietą - pomyślała - prawdziwą kobietą. Z głębi serca podziękowała Bonthropowi, że uczynił jej tej rzadkiej i niespodziewanej rozkoszy. Gdyby nie chromała na lewą nogę, usiadłaby mu na kolanach.

- Shel, najdroższy - zaczęła od nowa - powiedz mi... - i tak rozmawiali przez dwie godziny z okładem, może o Cape Horn, może nie, zresztą marny byłby pożytek ze spisania tego, co mówili, bowiem znali się tak dobrze, że mogli powiedzieć cokolwiek (a to wychodzi na to samo, gdyby nie powiedzieć nic); mogli też raczyć się głupawymi komunałami w rodzaju, jak się piecze omelet, czy też gdzie w Londynie kupuje się najlepsze buty; komunały te nie posiadają żadnego poloru, gdy je zrelacjonować, lecz w swym oryginalnym kontekście olśniewają niezwykłą urodą. Tak się bowiem stało, dzięki gospodarności roztropnej natury, że nowoczesnemu światu język jest niemal zbyt cenny; wystarczają nawet najpospolitsze wyrażenia, bowiem i one są niekonieczne; stąd też najzwyczajniejsza rozmowa jest często najbardziej poetycka, a najbardziej poetyckie jest właśnie to, co nie może być spisane. Z tych to powodów pozostawiamy tu wielką pustą przestrzeń dla wskazania, że można by ją wypełnić w nadmiarze.

Po kilku dniach tego rodzaju rozmowy - Orlando, najdroższa - zaczął Shel, gdy z zewnątrz dobiegło ich szuranie nogami, po czym do pokoju wszedł kamerdyner Basket z wieścią, że na dole czeka dwóch żandarmów z pismem od królowej. - Niech wejdą - powiedział Shelmerdine węzłowato, jak kapitan z mostka, po czym odruchowo wyprężył się, ze splecionymi na plecach rękami, przed kominkiem. Do pokoju weszli dwaj oficerowie w butelkowozielonych mundurach z pałkami u boku i stanęli na baczność.

172

Gdy dopełniono formalności, do rąk własnych Orlandy, jak mieli poruczone, przekazali dokument prawny niezwyklej rangi, sądząc po grubych woskowych pieczęciach, wstępach, przysięgach i podpisach, wszystkich najwyższej wagi.

Orlanda przebiegła pismo oczyma, po czym, posługując się małym palcem prawej dłoni jako wskaźnikiem, odczytała na głos poniższe okoliczności jako ujmujące istotę sprawy:

- Procesy zostały rozstrzygnięte - zaczęła... niektóre na moją korzyść, jak na przykład... inne na moją niekorzyść. Tureckie małżeństwo anulowane (byłam ambasadorem w Konstantynopolu, Shel). A zatem nie dziedziczą po mnie, co bardzo cieszy. ... Płeć? Ach, co też mówią o mej płci? Bezsposornie i ponad wszelką wątpliwość - odczytała na nieco uroczyście nutę - uznaje się mą płęć (a nie mówiłam ci, Shel?) za niewieścią. Dobra, z których niniejszym zdejmuję się bezterminowo sekwestr, podlegają legatowi po linii męskiej mego potomstwa, a w przypadku niezdolności prawnej *in absentia matrimonii* - lecz tu zniecierpliwil ją prawniczy żargon, wobec czego powiedziała: - Nie będzie żadnej absencji matrymonialnej ani też absencji potomnej, więc resztę uznamy za przeczytaną. - Tu umieściła swój podpis niżej podpisu lorda Palmerstona, stając się niekwestionowaną właścicielką swego tytułu, swego domu, swych dóbr, które na skutek ogromnych kosztów procesów tak się skurczyły, że wyrok wprawdzie pozostawił ją na nowo nieskończenie szlachecką, ale zarazem nad wyraz ubogą.

Kiedy rozeszła się wieść o werdyktach sądowych (a pogłoska wędrowała znacznie szybciej aniżeli depesze telegraficzne, które ją zastąpiły), całe miasto weszło wesele.

[Zaprzęgano konie do powozów tylko po to, by je potem wyprzęgnąć. Puste bryki i landa terkotały bez ustanku tam i z powrotem główną ulicą. W „Pod Bykiem” wygłaszano przemowy, na które ripostowano w „Pod Łanią”. Miasto oświetlono. Złote szkatuły starannie zamykano w szklanych gablotach. Monety skwapliwie chowano pnd kamienie. Zakładano szpitale. Otwierano kluł~. ~ i;\_ Nu

173

rynku tuzinami palono kukły Turczynek wraz z całymi gromadami chłopiat, którym z ust zwiślały tasienki z napisem: Jestem podłym oszustem. Niebawem ujrano kremowe koniki królowej, cwałujące aleją do domu Orlandy, niosąc jej polecenie, by jeszcze dziś wieczerała i nocowała na zamku. Jak uprzednio, jej stolik zasypany był zaproszeniami od hrabiny R., lady Q., lady Palmerston, markizy P., lady W. E. Gladstone i innych, spragnionych towarzystwa jej osoby, przypominających jej o pradawnych więzach między ich rodami, i tak dalej - a wszystko to celowo ujęliśmy w nawias, gdyż w życiu Orlandy odegrało rolę właśnie nieistotnego nawiasu, który ominęła, aby przejść do właściwego tekstu. Bowiem gdy rynek rozświetlały stopy, ona przebywała samowtór z Shelem w mrocznych ostępach. Pogoda była tak wyborna, że sterczące



nad nimi gałęzie drzew ani drgnęły, a jeśli spadał liść w rudozłote cętki, czynił to tak powoli, że można było przez pół godziny patrzeć, jak polatuje drżący, by nareszcie spocząć u stóp Orlandy.

- Opowiedz mi, Mar - mówiła (tu trzeba wyjaśnić, że gdy zwracała się do niego za pomocą pierwszej sylaby jego pierwszego imienia, była w nastroju marzycielskim, kochliwym, uległym, może nieco pieleszowatym i rozleniwionym, jakby w kominku płonęły aromatyczne drwa, na dworze był wieczór, lecz jeszcze nie pora na wieczorowy strój; jakby było odrobinę wilgotno, dość, by zrosić liście, lecz nie dość, by zniechęcić słowika do treli pośród azalii; jakby w odległych gospodarstwach poszczekiwały psy, piał kogut - tego wszystkiego czytelnik powinien się dosłuchać w jej głosie). - Opowiedz mi, Mar - mówiła - o Cape Horn. - Na co Shelmerdine układał na ziemi z gałązek, suchych liści i pustych muszelek po ślimakach model Cape Horn.

- Tu jest północ - mówił - a tu południe. Wiatr dmie gdzieś stąd. Teraz bryg żegluj prosto na zachód, właśnie zrzuciliśmy górny bezan; a teraz, tu, gdzie ta trawka, wchodzi w prąd, który oznaczyłem (gdzie moja mapa i busola? a, dziękuję, doskonale) muszelką ślimaka. Prąd chwytą

174

statek od sterburty, musimy więc zrefować foką, bo zostaniemy rzuceni na bakburcie, tu, gdzie leży liść buka, bo trzeba ci wiedzieć, moja droga - i tak ciągnął godzinami, a ona słuchała każdego słowa; umiała uchwycić ich właściwy sens, to jest widziała, choć on o tym nie wspominał, fosforescencję fal i sople lodu klekoczące w żaglach; widziała, jak Shel wdrapuje się na szczyt masztu podczas wichury, tam rozmyśla nad przeznaczeniem człowieka, schodzi na dół, pije whisky z sodą, schodzi na brzeg, nie umie się oprzeć Murzynce, czuje skruchę, znajduje sobie usprawiedliwienie, czyta Pascala, postanawia uprawiać filozofię, kupuje małpę, rozprawia z sobą samym nad prawdziwym celem życia, dochodzi do konkluzji, że jednak Cape Horn i tak dalej. Te i tysiące innych rzeczy wyrozumiała z jego słów, toteż gdy odparła: - Tak, Murzynki są zniewalające, prawda? - choć on jej właśnie powiedział, że skończył się zapas sucharów, był zdumiony i zachwycony, jak dobrze odczytała jego słowa.

- Możesz przysiąc, że nie jesteś mężczyzną? - pytał niespokojnie, a ona wtórowała mu:

- Czy to możliwe, że nie jesteś kobietą? - trzeba więc było bez dalszej odwłoki poddać rzecz pod egzamin. Oboje zdumiała rychłość, z jaką zapalali ku sobie sympatią; dla obojga było takim objawieniem, że kobieta może dorównać mężczyźnie wyrozumiałością i swobodą języka, a mężczyzna dorównać kobiecie oryginalnością i subtelnością, iż po prostu musieli natychmiast poddać rzecz pod egzamin.

Dalej więc rozmawiali, czy też interpretowali, co stało się umiejętnością podstawową w epoce, gdy słowa z dnia na dzień tak ubożały w porównaniu z ideami, że „skończyły się suchary” musiało nastarczyć za całowanie Murzynki w ciemnościach, zaraz po przeczytaniu po raz dziesiąty filozofii Wielebnego Biskupa Berkeleygo. (Z czego płynie nauka, że tylko najwięksi mistrzowie stylu potrafią powiedzieć prawdę; natrafiwszy na pisarza niewyszukanego, monoso~la

175

bicznego, możemy z całą pewnością przyjąć, że biedaczysko kłamie).

Rozmawiali zatem; a gdy cętkowane jesienne liście okryły ich stopy wystarczająco grubym płaszczem, Orlanda wstała i samotnie szła w leśną gęstwinę, pozostawiając Bonthropa wśród muszelek ślimaków, z których robił modele Cape Horn. - Bonthrop - mówiła - odchodzę - a gdy nazywała go jego drugim imieniem, czytelnik winien z tego wiedzieć, że pragnęła samotności, widziała ich oboje jako dwie plamki na pustyni, lecz pragnęła spotkać śmierć sama: bowiem ludzie umierają codziennie, przy kolacji bądź jak teraz, na dworze, w jesiennym lesie; gdy płonęły ogniska, a lady Palmerston czy lady Derby zapraszały ją co wieczór na kolację, ogarniała ją pragnienie śmierci, toteż mówiąc „Bonthrop”, mówiła w istocie „Jestem martwa”, brnęła jak zjawą przez widmowo białą buczynę i zatapiała się w samotności z uczuciem, że pozostawia za sobą wszelki zgiełk i poruszenie, że jest wolna, by podążyć przed siebie wszystko to czytelnik powinien słyszeć w jej głosie, gdy mówiła „Bonthrop”; warto też dodać, dla lepszego naświetlenia sensu tego słowa, że dla niego również, w jakiś mistyczny sposób, słowo to oznaczało rozdzielenie, odosobnienie i bezcieleśne przemierzanie pokładu brygu na niezgłębionych morzach.

Po kilku godzinach śmierci sójka wrzasnęła nagle „Shelmerdine”; Orlanda przykucnęła i zerwała jeden z owych jesiennych krokusów, które dla pewnych umysłów oznaczają to właśnie słowo - Shelmerdine - i zatknęła kwiat na piersi wraz z piórem sójki, które spłynęło błękitnie pomiędzy koron buków. I ona zawołała „Shelmerdine”, a słowo to grasowało po całym lesie, natrafiając i na niego, ustawiającego w trawie modele z muszelek ślimaków. Usłyszał ją, ujrzał nadchodzącą z zatkniętym na piersi krokusem i piórem sójki, zawołał „Orlando!”, co oznaczało (a trzeba pamiętać, że kiedy mieszają się w naszych oczach takie kolory, jak żółty i niebieski, ich pigment może osiąść na naszych

176

myślach) w pierw szelest i falowanie paproci, jakby coś się przez nie przedzierało; tym czymś okazał się statek pod pełnymi żaglami, kołyszący się nieco ociężale, jakby miał zarezerwowany na wyprawę cały rok letnich dni; i oto statek płynie, zatacza się to w jedną, to w drugą stronę, ze szlachetną gnuśnością, zdobywa wierzchołek jednej fali, osuwa się w zagłębienie drugiej, by nareszcie stanąć nad tobą (który jesteś w małej zaledwie łupinie i unosisz wzrok) z trzepoczącymi żaglami, i oto - och! - opadają jednym tłumokiem na pokład - jak Orlanda opadła na trawę obok niego.

Spędzili w ten sposób osiem lub dziewięć dni, i oto dnia dziesiątego, czyli dwudziestego szóstego października, Orlanda leżała w paprociach, zaś Shelmerdine recytował Shelleya (którego wszystkie dzieła znał na pamięć), gdy liść, który snuł się powoli z wierzchołka drzewa, nagle poszybował jak strzała ku stopie Orlandy. Po nim przyszedł drugi, potem trzeci. Orlanda zadrżała i pobladła. Był to wiatr. Shelmerdine - lecz słuszniej byłoby zwać go teraz Bonthropem - skoczył na nogi.

- Wiatr! - zawołał.

Razem pobiegli przez las - wiatr oklejał ich twarze liśćmi - na wielki dziedziniec, przemknęli przez mały; wystraszona czeladź porzuciła miotły i rondle i podążyła w ich ślady do kaplicy, gdzie co prędzej zapalono gromnice; ten potknął się o ławkę, ów utarł knota świecy. Uderzono w dzwony. Zawezwano ludzi. Nareszcie zjawił się imię Dupper, który nie wypuścił jeszcze z rąk końców krawata, i spytał, gdzie modlitewnik. Gdy podano mu modlitewnik królowej Marii, spiesznie przerzucił stronicę i powiedział: „Marmaduke Bonthrop Shelmerdine i lady Orlanda, uklękniście!"; uklękli; raz byli jaśni, raz mroczni, bowiem światło i cień strużyły jak popadnie przez witraże; pośród trzaskania niezliczonych drzwi i brzęku miedzianych naczyń, warknęły organy, raz głośno, raz cicho, a imię Dupper, który ogromnie się postarzał, nie potrafił przekrzyknąć wrzawy; na chwilę

177

wszystko ucichło i parę słów - bodaj „szpony śmierci" - zabrzmiało wyraźnie, a cała czeladź dworska tłoczyła się do środka, z grabiami i batami w dłoniach, by posłuchać; poniekąd głośno śpiewali, poniekąd modlili się; wtem ptak załomotał o szybę, wtem zagrział piorun, nikt więc nie usłyszał słowa „posłuszną" ani nie skojarzył, że ten złoty błysk pochodzi od obrączek. Rządził jeden zamęt i poruszenie. Powstali; organy dudniły, błyskawice igrały, lunął deszcz; lady Orlanda, z obrączką na palcu, wyszła w swej cienkiej sukni na dziedziniec i przytrzymała rozkołysane strzemie (bowiem koń dalej miał munsztuk, uzdę i spieniony bok), by pomóc mężowi wsiąść na grzbiet, co ten uczynił jednym skokiem; koń ruszył z kopyta, a Orlanda zawołała: - Marmaduke Bonthrop Shelmerdine!, on odkrzyknął: Orlanda!, po czym słowa kołowały i cięły powietrze jak jastrzębie między dzwonicami, kołowały wciąż wyżej i wyżej, dalej i dalej, prędzej i prędzej, aż wreszcie przysły i posypały się na ziemię deszczem okruchów; weszła do środka.

## VI

Orlanda weszła do środka. Bezruch był zupełny, cisza niezakłócona. Stał kałamarz, w nim pióro; leżał manu skrypt wiersza Orlandy, który przerwała w połowie hołdu składanego wieczności. Miała właśnie napisać, że nic się nigdy nie zmienia, lecz Basket i Bartholomew przyszli posprzątać po herbacie. I wtedy, w trzy i pół sekundy, wszystko się zmieniło - złamała nogę, zakochała się, poślubiła Shelmerdine'a.

Na dowód miała na palcu obrączkę ślubną. To prawda, że sama ją założyła, jeszcze zanim poznała Shelmerdine'a, lecz zabieg ten okazał się bezskuteczny. Teraz kręciła obrączką z zabobonną czcią, bacząc, by jej nie przesunąć za kłykieć.

- Obrączkę ślubną należy nosić na serdecznym palcu lewej dłoni - powiedziała jak dziecko starannie powtarzając lekcję - aby był z niej jakkolwiek pożytek.

Wyrzekła te słowa na głos i chyba podniosłej, aniżeli miała w zwyczaju, jakby pragnęła, żeby dosłyszał ją ktoś, na kogo dobrej opinii jej zależy. Istotnie, chodziło jej o to, jak jej postępowanie zostanie przyjęte przez ducha epoki. Nękało ją pytanie, czy kroki, które podjęła w związku z zaręczynami i ślubem, zyskały aprobatę ducha epoki. Bez wątplenia czuła się teraz bardziej sobą. Od tamtego wieczoru na wrzosowisku nie doświadczyła żadnego (a w każdym razie poważnego) świerzbień palca. Nie mogła jednak zaprzeczyć, że gnębią ją rozterki. Była zameżna, to prawda,

178, 179

ale czy to małżeństwo, skoro małżonek wciąż żegluje wokół Cape Horn? Czy to małżeństwo, jeżeli małżonek jest w jej guście? Czy to małżeństwo, jeżeli inni ludzie są w jej guście? I nareszcie, czy to małżeństwo, jeżeli nadal najbardziej ze wszystkiego pragnęła pisać poezję? Rozterki nie opuszczały jej.

Trzeba poddać rzecz pod egzamin. Spojrzała na obrączkę. Spojrzała na kałamarz. Czy znajdzie śmiałość? Nie, nie znajdzie. Jednak musi. Nie, nie może. Co zatem powinna uczynić? Pewnie zemdleć. Ale nigdy w życiu nie czuła się lepiej.

- Tam do kata! - zawołała, odzyskując co nieco ze swego dawnego wigoru. - Nuże!

Zamaczała pióro w inkauscie. Ku jej ogromnemu zdziwieniu, nie nastąpiła żadna eksplozja. Wyjęła stalówkę. Była mokra, lecz nie ociekała. Zaczęła pisać. Słowa przychodziły opornie, lecz przychodziły. Ba, lecz czy jest w nich jakiś sens? - pomyślała, w popłochu, sądząc że może pióro znów wyprawia swe swawolne harce. Przeczytała.

I przybyłam na łąkę: na trawy sprężyste

Kładł się tępy ton ciężkich dzwonów dzwonecznika Gdzieś z ponurych zaświatów; kwiat wił się węzowy Jak turecka tancerka w purpurę spowita.\*

Pisząc czuła, że jakaś moc (pamiętajmy, że mamy do czynienia z najtajemniejszymi przejawami ludzkiego umysłu) czyta jej przez ramię, i gdy napisała o tureckiej tancerce, moc nakazała jej się zatrzymać. Trawy, zdawała się mówić moc, wskazując linealem jak guwernantka, są zupełnie na miejscu; ciężkie dzwony dzwonecznika - wyborne; węzo

\* Podmiot liryczny oryginału korzysta z przywileju nieujawniania swej płci, jaki daje angielska mowa, co rodzi rozmaite przewrotne smaczki. Artur Grabowski, choć dekadent i śmiały słowotwórca (cóż to jest dzwonecznik?), nie posunął się do gwałtu na twardych regułach polskiej gramatyki. Por. przypis na s. 95.

wy kwiat - może odrobinę zbyt dosadne spod niewieściego pióra, lecz Wordsworth bez wątpienia stanowi tu precedens, ale - tancerka? Czy konieczna jest tancerka? Mówisz, że masz męża na morzu? No dobrze, żegnam.

I duch epoki ruszył w dalszą drogę.

Orlanda wykonała teraz w umyśle (gdyż wszystko to odbyło się w umyśle) głęboki ukłon w stronę ducha epoki, podobnie jak (by porównać rzeczy wielkie do małych) podróżny, świadom; że na dnie kufra przemyca wiązkę cygar, chyli grzecznie czoło przed celnikiem, który łaskawie znakuje wieko kredą. Miała bowiem duże wątpiwości, czy duch epoki, starannie przeszukawszy zawartość jej umysłu, nie znalazłby jakiejś arcytrefnej kontrabandy, za którą przyszedłoby jej zapłacić sowite cło. Jakimś cudem się wyłgała. Dzięki przemysłnej uległości wobec ducha epoki, dzięki temu, że włożyła obrączkę i znalazła na wrzosowisku męża, dzięki umiłowaniu natury oraz brakowi cynizmu i skłonności satyrycznych bądź psychologizujących (te towary zostałyby wykryte natychmiast) z powodzeniem zdała egzamin. Z piersi wyrwało się jej głębokie westchnienie ulgi, i nie bez kozery, bowiem pożycie pisarza z duchem epoki cechuje wyjątkowa delikatność, a od dobrego układu pomiędzy tą parą zależy los dzieł twórcy. Orlanda tak kluczyła, że znalazła się w sytuacji arcyfortunnej; nie potrzebowała ani walczyć z duchem epoki, ani się jemu poddawać; była z niego, lecz pozostała sobą. Mogła zatem pisać, i pisała. Pisała. Pisała. Pisała.

Był listopad. Po listopadzie przychodzi grudzień. Potem styczeń, luty, marzec i kwiecień. Po kwietniu przychodzi maj. Za nim idą czerwiec, lipiec i sierpień. Potem wrzesień. Potem październik, i oto, patrzcie, znów mamy listopad, i cały rok się dokonał.

Ta metoda pisania biografii, choć ma swe walory, jest chyba nieco jałowa, a jeśli jej nadużyjemy, czytelnik będzie pewnie sarknął, że może sam wyrecytować sobie kalendarz

180 ~ 181

i zaoszczędzić sumę, jaką wydawnictwo Hogarth Press uzna za stosowne zażądać za egzemplarz tej książki. Zatem co ma uczynić biograf, jeżeli znajdzie się w położeniu, w jakim postawiła nas teraz Orlanda? Jak zgadzają się wszyscy, których opinią warto zaprzętać sobie głowę, jedynym tematem godnym powieściopisarza bądź biografa jest życie; te same autorytety zawyrokowały, że życie nie ma nic wspólnego z siedzeniem w krześle i rozmyślaniami. Myślenie i życie są jak przeciwległe bieguny. A ponieważ Orlanda nie robi teraz nic, lecz tylko siedzi w krześle i rozmyśla, nie pozostaje nic innego, jak recytować kalendarz, odmawiać różaniec, wycierać nos, dokładać do ognia, wyglądać przez okno - póki ona nie skończy. Orlanda siedziała tak nieporuszona, że usłyszałby spadającą szpilkę. Ba, żeby choć spadła szpilka! To już byłoby jakieś życie. Albo gdyby przyfrunął oknem motyl i usiadł na jej krześle - można by o tym napisać. Albo niechby wstała i zabiła osę. Natychmiast chwycilibyśmy za pióro, gdyż mielibyśmy przelaną krew, niechby tylko krew osy. Tam, gdzie jest krew, jest życie. A jeśli zabicie osy jest szczerą igraszką w porównaniu z zabiciem człowieka, dalej jest to temat godniejszy powieściopisarza bądź biografa aniżeli te czcze deliberacje, te rozmyślania, to siedzenie dzień po dniu w krześle z papierosem, kartką papieru, piórem i kałamarzem. Ach, czemu postacie historyczne, wyżałmy się (bowiem nasza cierpliwość jest na wyczerpaniu), nie mają więcej uważania dla swych biografów! Cóż bardziej irytującego niż bohater, któremu poświęciło się tyle czasu i trudu, wymykający się zupełnie spod kontroli i oddający się... ale popatrzmy, jak wzdycha i stęka, to się rumieni, to znowu blednie, oczy ma jasne jak latarnie, to znowu błędne jak świtanie. Cóż bardziej upokarzającego aniżeli ta odgrywana na naszych oczach pantomima wzruszeń i namiętności, skoro wiemy, że to, co je uruchamia - myśl i wyobraźnia - nie ma żadnego znaczenia?

Ale Orlanda była kobietą - właśnie to potwierdził lord Palmerston. Panuje zaś zgoda, że pisząc o życiu kobiety, możemy zrzec się wymogu akcji i zastąpić ją miłością. Miłość, jak powiedział poeta, jest całym istnieniem kobiety A jeśli choć rzucimy okiem na piszącą u stołu Orlandę, przyznamy, że nigdy nie było kobiety godniejszej tego powołania. Będąc kobietą, i to kobietą piękną, a na dokładkę w kwiecie wieku, niechybnie wkrótce zarzuci te pozory pisania i myślenia, a zacznie myśleć przynajmniej o gajowym (dopóki myśli o mężczyźnie, nikt nie ma kobiecie za złe myślenia). Napisze mu liścik (a dopóki pisze liściki, nikt nie ma również kobiecie za złe pisanie), wyznaczy porę schadzki na niedzielę o zmierzchu; przyjdzie niedzielny zmierzch i gajowy zagwizda pod oknami Orlandy - co jest oczywiście samym sednem życia i jedynym możliwym tematem dla literatury. Orlanda z pewnością musiała takie rzeczy robić? Niestety, po tysiącokroć niestety, Orlanda takich rzeczy nie robiła. Czy należy zatem przyznać, że Orlanda należała do tych niegodziwych monstrów, które nie mają w sobie miłości? Była życzliwa dla psów, wierna wobec przyjaciół, nieskończenie szczodra wobec tuzina głodujących poetów, namiętnie wielbiła poezję. Wszakże miłość, jak ją zdefiniowali mężczyźni powieściopisarze (no, a któż mógłby się wypowiedzieć bardziej autorytatywnie?), nie ma zupełnie nic wspólnego z życzliwością, wiernością, szczodrością czy poezją. Miłość to zrzucić spódnicę i... - ale wszyscy wiemy, czym jest miłość. Czy Orlanda to robiła? Prawda żąda od nas, byśmy powiedzieli, że nie, nie robiła. Jeżeli zatem bohater biografii nie zechce kochać ani zabijać, lecz tylko myśleć i imaginować, wolno nam uznać, że jest on, czy też ona, nie lepszy od trupa i ją poniechać

Jedyna możliwość, jaka nam pozostała, to wyjrm~ przez okno. A tam jaskółki, a tam szpaki, kilka synogarlic, parę gawronów, wszystkie na swój sposób czymś zaprzętnięte. Jeden znajduje robaka, inny ślimaka. Jeden podfruwa na gałąź, inny urządza sobie przebieżkę trawnikiem. Wtem dziedziniec przemierza czeladnik w zielonym rypсовym fartuchu. Przypuszczalnie zawiązał jakąś intrygę z którąś

z dziewczek kuchennych, lecz z braku widomych na to dowodów, możemy tylko mieć nadzieję, że wszystko się powiedzie i zostawić sprawy losowi. Niebem lecą obłoki, gęste lub rozrzedzone, zakłócając nieco barwę trawy w dole. Zegar słoneczny rejestruje godzinę na swój swoiście tajemniczy sposób. Leniwie, nienachalnie umysł patrzącego podsuwa pytania dotyczące tegoż życia. Życie - śpiewa, a raczej zawodzi jak garnek na piecu - życie, życie, cóżeś ty za jedno? Czyś ty światłość czy ciemność, rypсовy fartuch lokaja czy cień szpaka na trawie?

Pójdźmy zatem wgłębić się w ten letni poranek, gdy wszystko zda się oddawać hołd pszczole i kwitnącej śliwie. Khy, khy, znalazłszy właściwe słowa, pociągnijmy za język szpaka (który jest ptakiem bardziej towarzyskim aniżeli skowronek) w wiadrze z nieczystościami wygrzebującego sroczę włosy. Cóż jest życie, pytamy, opierając się o bramę sadu. Życie, Życie, Życie! - woła ptak, jakby usłyszał, jakby dokładnie wiedział, eo oznacza ten nasz uprzykrzony, wścibski zwyczaj zadawania pytań w domu i na dworze, to nasze podglądanie, to nasze zrywanie stokrotek, jak to robią pisarze, którym skończyła się wena. Przychodzą wtedy tutaj - mówi ptak - i pytają mnie, co to jest życie; Życie Życie Życie!

Wchodzimy zatem ścieżką przez wrzosowisko na wysokie czoło winnoniebieskiego, ciemnopurpurowego wzgórza, kładziemy się na ziemi, marzymy, widzimy konika polnego, który do swego domu w piasku holuje źdźbło trawy. Mówi (o ile tego rodzaju chrobotaniu można nadać miano tak święte i delikatne): „Życie to trud”, tak przynajmniej interpretujemy furkot w jego zatkanym pyłem gardziołku. Zgadza się z nim mrówka, zgadzają się pszczoły, lecz jeśli poleżymy tu wystarczająco długo, by spytać émy, które przylatują o zmierzchaniu, które wkradają się w co bledsze kielichy wrzosów, to sykną nam do ucha takie wierutne głupstwa, jakie się słyszy od drutów telegraficznych podczas śnieżnej burzy: Hi, hi! Ho, ho! Śmiech! Śmiech! - mówią émy.

Spytawszy zatem człowieka i ptaka, i owada, bowiem ryby (jak mówią ludzie, którzy latami mieszkali samotnie w zielonych jaskiniach, by usłyszeć ich głos), nigdy, przynigdy nie orzekają, a więc może i nie wiedzą, czym jest życie - spytawszy zatem ich wszystkich, nie żeśmy nie zmadrzeli, lecz tylko postarzelisi się i zmarnieli (czyż nie marzyliśmy ongiś, by zamknąć w księdze sekret tak lity, tak rzadki, by móc przysiąc, że to sens życia?), trzeba nam zatem wrócić do środka i prosto z mostu powiedzieć czytelnikowi, który czeka w napięciu, by usłyszeć, czym jest życie - że niestety, nie wiemy.

W tej właśnie chwili, w sam czas, by ocalić naszą książkę od zagłady, Orlanda odsunęła krzesło, odłożyła pióro, podeszła do okna, rozpostarła ramiona i zakrzyknęła:

- Skończone!

Nieomal poraził ją niezwykle widok, jaki otworzył się przed jej oczyma. Był ogród i ptaki. Świat poczynął sobie jak zazwyczaj. Cały czas, gdy pisała, świat trwał.

- Gdybym umarła, byłoby to dla świata obojętne! zakrzyknęła.

Ogaręły ją uczucia tak gwałtowne, że istotnie może rzeczywiście zasłabła. Przez chwilę patrzyła znieruchomiałymi oczyma na piękny, lecz nieczuły obraz. Nareszcie odżyła, lecz w szczególny sposób. Manuskrypt, który spoczywał na jej sercu, zaczął szeleścić i trzepotać, jakby był żywą istotą, a co jeszcze osobliwsze i dowodzące, jak cudownie się rozumieli, nadstawiając ucha, Orlanda mogła usłyszeć, co do niej mówi. Chciał być przeczytany. Musiał być przeczytany. Umrze na jej piersi, jeżeli nie zostanie przeczytany. Po raz pierwszy w życiu zapałała gniewem wobec natury. Miała naokoło siebie moc ogarów i krzewów różanych, lecz ani ogary, ani krzewy różane nie umieją czytać. Jest to pożałowania godne zaniedbanie ze strony opatrności, na które nigdy wcześniej nie zwróciła uwagi. Tylko człowiek posiada dar

mowy. Człowiek stał się niezbędnym. Zadzwoń na służbę. Zarządziła, by natychmiast postawić powóz do Londynu.

- Jeszcze się zdąży na ten z jedenasty czterdzieści pień, Jaśnie Pani - powiedział Basket. Orlanda nic nie wiedziała o wynalazku silnika parowego, lecz tak była zaabsorbowana cierpieniami istoty, choć odrębnej, to jednak całkowicie od niej zależnej, że po raz pierwszy w życiu widząc pociąg, zajęła miejsce w wagonie i przykryła kolana pledem, nie poświęciwszy ani jednej myśli „temu niesłychanemu wynalazkowi, który (mówią historycy) w okresie ostatnich dwudziestu lat zupełnie odmienił oblicze Europy” (co w istocie zdarza się znacznie częściej, aniżeli sądzą historycy). Zauważyła tylko, że było niemiłosiernie brudno, wagony straszliwie klekotały, a okna się nie domykały. Pograżona w myślach została przetransportowana do Londynu w niecałą godzinę i stanęła na peronie Charing Cross, nie wiedząc, gdzie się udać.

Stary dom w Blackfriars, gdzie w XVIII wieku spędziła tyle miłych dni, został sprzedany, po części Armii Zbawienia, po części fabryce parasoli. Zastanawiała się nad innym domem w Mayfair, obszernym, z wszelkimi wygodami, w samym środku modnego świata, lecz czy w Mayfair zostaną zaspokojone pragnienia jej wiersza? Przebóg - pomyślała, przypomniałszy sobie blask oczu jejmości i kształtność nóg ichmościów - nie zabrali się chyba za czytanie. Byłaby to bowiem tysięczna szkoda. Był jeszcze salon lady R. Nie miała wątpliwości, że rozmowy toczą się tam tym samym torem, no, może podagra generała wreszcie przeniosła się z lewej nogi do prawej, a imé L. zatrzymał się na dziesięć dni u R., nie u T. A potem przychodzi imé Pope. Ach, przecież imé Pope nie żyje. Kim są teraz Iwy salonowe? - zastanawiała się, a ponieważ nie było to pytanie, które mogła postawić tragarzowi, więc ruszyła w drogę. W jej uszach brzęczały niepoliczone dzwonki na szyjach niepoliczonych koni. Wzdłuż trotauaru ciągnęły flotylle najprzedniejszych pudeł na kółkach. Wyszła na Strand. Tu zgiełk był jeszcze

większy. Pojazdy duże i małe, zaprzężone w konie rasowe bądź w szkapy pociągowe, wiozące samotną wdowę na dożywocie lub tłoczne od mężczyzn w bokobrodach i jedwabnych kapeluszach, były bez żadnego porządku przemieszane. Powozy, dwukółki i omnibusy zdały się jej oczom, tak długo nawykłym do widoku jednolitego arkusza papieru, grubiańsko skłócone; zaś dla jej uszu, nastrojonych na skrzywienie pióra, zgiełk ulicy rozbrzmiewał gwałtowną, ohydą kakofonią. Na trotuarze nie było ani cala wolnego miejsca. Ze wschodu na zachód ciągnęły nieprzerwanie strugi ludzi przeciskających się z niewiarygodną zrećnością między sobą nawzajem, między szarpiącymi końmi i ociężałymi powozami. Na skraju trotuaru stali mężczyźni z tacami zabawek i przekrzykiwali się. Na rogach ulic, przy wielkich koszach wiosennych kwiatów, siedziały kobiety i też wrzeszczały. Chłopcy przebiegali koniom pod chrapami, przyciskając do ciała zadrukowane płachty papieru, i również krzyczeli: „Katastrofa! Katastrofa!” Z początku Orlanda sądziła, że przybyła w chwili jakiegoś ogólnonarodowego przesilenia; nie potrafiła jednak orzec, czy jest to przesilenie pomyślne czy tragiczne. Z niepokojem patrzyła po ludzkich twarzach. To jednak wywołało w niej jeszcze większy zamęt. Oto szedł mężczyzna pogrążony w nieszczęściu, mrużąc do siebie słowa rozpacz. Mijał go człek tłusty i rześki, który radośnie rozpychał się łokciami, jakby cały świat był jednym wielkim karnawalem. Przyszła wreszcie do przekonania, że nie ma w tym wszystkim ładu ni składu. Każdego człowieka zaprzętały jego własne sprawy. A ona, dokąd miała się udać?

Szła przed siebie, nie myśląc; skręcała to w jedną ulicę, to w inną i mijała olbrzymie witryny ze stertami torebek i lusterek, sukni wieczorowych i kwiatów, wędek rybackich i koszy piknikowych; wszędzie zaś ścieliły się, fałdowały i wydymały sukna we wszelkich barwach i deseniach. Niekiedy wędrowała alejami statecznych kamienic, trzeźwo ponumerowanych „jeden”, „dwa”, „trzy” i tak dalej aż do

186 ~ 187

dwustu lub trzystu, jedna w drugą od tej samej sztancy, z dwoma filarami, sześcioma stopniami i symetrycznie podwiązanymi kurtynami, z rodzinami zasiadłymi do obiadu, z papugą wyglądającą jednym oknem, a służą drugim od tej monotonii zakreśliło jej się wreszcie w głowie. Następnie doszła do rozległych otwartych skwerów z czarnymi, błyszczącymi, zapiętymi na ostatni guzik statuami wielkich mężów pośrodku, wierzgającymi wojennymi rumakami, strzelistymi kolumnami, szemrzącymi fontannami i furczącymi gołębiami. Szła i szła wzdłuż trotuarów pomiędzy domami, aż poczuła się bardzo głodna, a trzepotanie na sercu skarciło ją za niepamięć. Był to jej manuskrypt, *Dqb*.

Zaniedbanie to zmieszało ją. Stała w niepewności. W zasięgu wzroku nie dostrzegła żadnego powozu. Ulica, szeroka i okazała, była osobiście pusta. Nadchodził jedynie dżentelmen w podeszłym wieku. W jego ruchach było coś znajomego. Gdy podszedł bliżej, zyskała pewność, że gdzieś go już kiedyś widziała. Ale gdzie? Czy to możliwe, że ów dżentelmen, taki zadbany, taki postawny, taki zamożny, z laską w dłoni i kwiatem w butonierce, z różową, pulchną twarzą i zaczesanymi białymi wąsami, czy to możliwe, tak, wielkie nieba, możliwe! - był to jej stary, bardzo stary przyjaciel, Nick Greene!

I on na nią spojrział; przypomniał sobie; rozpoznał.

- Lady Orlanda! - wykrzyknął, niemal zamiótlszy uliczny kurz swym jedwabnym kapeluszem.

- Sir Nicholas! - odrzyknęła. Bowiem z czegoś w jego postawie intuicyjnie poznała, że bufon wierszorób, który zrobił dumia z niej i wielu innych w czasach królowej Elżbiety, wspinał się po drabinie zaszczytów, zyskał tytuł szlachecki i jeszcze z tuzin innych wielkich splendorów.

Z kolejnym ukłonem wyznał, że Orlanda nie myli się w swych domniemaniach: jest szlachcicem, jest doktorem nauk humanistycznych, jest profesorem. Jest autorem ze dwudziestu książek. Słowem, jest najbardziej wpływowym krytykiem epoki wiktoriańskiej.

188

Opadło ją gwałtowne i głębokie wzruszenie, że oto spotyka człowieka, który sprawił jej niegdyś tyle bólu. Czyż może to być ten uprzykrzony wiercipięta, który wypalał dziury w jej dywanach, przypiekał ser we włoskim kominku i opowiadał także wesołe historie o Marlowe'em i kompanii, że dziewięć nocy na dziesięć doczekali wschodu słońca? Był teraz wykwintnie ubrany w szary poranny garnitur, w butonierce tkwił różowy kwiat, a na dłoniach miał szare zamszowe rękawiczki. Gdy tak dumiała, Greene z kolejnym głębokim ukłonem spytał, czy zaszczyci go swym towarzystwem przy obiedzie. Ukłon był może nieco przesadny, ale pokaz dobrych manier wiarygodny. Poszła z nim, oszołomiona, do wyśmienitej restauracji, wybitej bordowym pluszem, z białymi obrusami i srebrną zastawą, tak niepodobnej jak tylko można do dawnej tawerny czy kawiarni, z wysypaną piaskiem podłogą, drewnianymi ławami, dzbanami ponczu i czekolady, oraz ze spluwaczkami. Starannie położył rękawiczki na stole. Nadał nie mogła uwierzyć, że to ten sam człowiek. Paznokcie, niegdyś na cał długie, miał czyste; podbródek, niegdyś zarosły czarną brodą, miał wygolony; mankiety, niegdyś wystrzępione i unurzane w rosole, miał spięte złotymi spinkami. Dopiero gdy zamówił wino, nabybredzawszy się co niemiara, co przypomniało Orlandzie jego niegdyśszą skłonność do małmazji, nabrała przekonania, że to ten sam człowiek.

- Ach! - powiedział, z leciutkim westchnieniem, które jednak przyniosło mu ulgę - ach moja droga pani, wielkie dni literatury przeminęły. Marlowe, Szekspir, Ben Jonson - to byli giganci. Dryden, Pope, Addison - to byli herosi. Wszyscy, wszyscy już nie żyją. A kogo nam pozostawili? Tennysona, Browninga, Carlyle'a! - zaprawił swój głos ogromną dozą pogardy. - Prawda jest taka powiedział, nalewając sobie wina - że nasi młodzi pisarze są na garnuszku księgarzy. Skleka

najgorszą ramotę, byle starczyło na rachunki od krawca. Jest to epoka - powiedział, racząc się zakąskami - prerafinowanych koncepcji

189

tów i szalonych eksperymentów, czego elżbietanie nie znieśliby ani przez chwilę. - Tak, moja droga pani - ciągnął, spojrzawszy przychylnym okiem na *turbot au gratin*, którego kelner przedłożył mu do oceny - wielkie dni literatury przeminęły. Żyjemy w zwyrodniałych czasach. Musimy hołubić przeszłość, cenić tych pisarzy, a jeszcze ich kilku pozostało, którzy czerpią swe wzory ze starożytności, a piszą nie dla zapłaty, lecz dla...

Tu Orlanda nieomal krzyknęła: „Gło!r!” W istocie mogłaby przysiąc, że trzysta lat wcześniej mówił dokładnie to samo. Różniły się oczywiście imiona, lecz sens pozostał ten sam. Nick Greene nic się nie zmienił, pomimo tytułu szlacheckiego. Wszelako, jakaś zmiana jednak zaszła. Kiedy bowiem bajął o braniu sobie za wzór Addisona (przypominała sobie, że niegdyś była mowa o Ciceronie) i porannym leżeniu w łóżku (co było możliwe dzięki wypłacanej przez nią kwartalnie rencie, pomyślała z dumą Orlanda), aby przynajmniej przez godzinę wypróbować na języku najlepsze dzieła najlepszych pisarzy, nim sam schwyty za pióro, aby oczyścić się z przyziemności obecnych czasów i pożałowania godnej kondycji rodzimego języka (przez długi czas, jak sądziła, mieszkał w Ameryce) - kiedy tak bajął niemal identycznie jak przed trzystu laty, Orlanda miała czas zadać sobie pytanie: w czym się zatem zmienił? Przytył; dobijał jednak siedemdziesiątki. Wyglądał kwitnąco: literatura okazała się widocznie intratnym zajęciem; utracił jednak swą dawną żywiołowość, twórczy niepokój. Jego opowieściom, choć błyskotliwym, brakowało tej dawnej swobody i polotu. Wymieniał wprawdzie co sekundę „mego drogiego przyjaciela Pope'a” czy też „mego szanownego kolegę Addisona”, lecz jego maniere nabrały jakiegoś przygnębiającego ugrzecznienia: zdawało się, że woli oświecać Orlandę co do słów i czynów jej własnej rodziny, zamiast, jak niegdyś, ujawniać skandale z życia poetów.

Orlanda poczuła głębokie rozczarowanie. Przez wszystkie te lata myślała o literaturze (jej odosobnienie, pozycja,

190

pleć muszą posłużyć za usprawiedliwienie) jako czymś nie poskromionym jak wiatr, gorącym jak ogień, śmigłym jak błyskawica; czymś samowolnym, nieobliczalnym, nagłym, tymczasem patrzcie: literatura to podstarzały dżentelmen w szarym garniturze, opowiadający o księżniczkach. Rozczarowanie było tak gwałtowne, że prysnął guzik czy haftka w górnej części sukienki i na stół wypadł *Dqb. Poem w-ic-rszem*.

- Manuskrypt! - zawołał Sir Nicholas, wkładając na nos złote binokle. - To w najwyższym stopniu interesujące, w najwyższym stopniu! Pozwoli pani rzucić okiem? I oto raz jeszcze, po około trzechsetletniej przerwie, Nicholas Greene wziął do ręki wiersz Orlandy, rozłożył pomiędzy filiżankami kawy i kieliszkami likieru, i zaczął czytać. Lecz werdykt, jaki wydał, był teraz zupełnie odmienny. Wiersz przypomina mu, powiedział przewracając kartki, sztukę Addisona *Katon*. Może iść w paragon z *Porarri roku Thomsona*. Nie ma w nim ani śladu, powiedział z ulgą, ducha nowoczesności. Skomponowany został z szacunkiem dla prawdy, dla natury, dla porywów ludzkiego serca, co w epoce bezwzględności ekscentryzmu jest, zaiste, bardzo rzadkie. Musi, oczywiście, zostać natychmiast opublikowany.

Orlanda nie wiedziała, o co mu chodzi. Zawsze nosiła manuskrypt ze sobą, na piersi pod suknią !?~ ~:~=- ~r mocno Sir Nicholasa polechtała.

- A co do honorariów... - zaczął

Myśli Orlandy powędrowały ku Buc~::~s;~:,u::~ Nalace\* i niewidzialnym potentatom, którzy tam przebywali.

Sir Nicholas ubawił się setnie. Wyjaśnił, że miał na myśli okoliczność, iż panowie... (tu wymienił znaną oficynę wydawniczą) z rozkoszą umieszczają książkę na swej liście, jeżeli on do nich napisze. Przypuszczalnie mógłby załatwić honoraria w wysokości dziesięciu procent od wszystkich eg

\* Honoraria to pu ar~~~i~l,~e rr~;z~l ir ~, ..., .. ~a::~ nieporozumienie.

191

zemplarzy do dwóch tysięcy oraz piętnastu procent powyżej tej liczby. Co się tyczy recenzentów, osobiście napisze do pana..., który jest najbardziej wpływowym; nie zaszkodzi też mały komplement pod adresem żony redaktora... - dajmy na to reklama jej własnych wierszy. Zaglądnie też do... Mówił i mówił. Orlanda nic z tego nie rozumiała, a pomna dawnych doświadczeń niezupełnie ufała jego dobrej woli, lecz nie pozostawało nic innego, jak poddać się jego ewidentnemu życzeniu, jak również gorącemu pragnieniu samego wiersza. Sir Nicholas złożył splamione krwią karty na pół, starannie sprasował dłonią, aby nie wyrzuszyły mu płaszczka i wsunął do wewnętrznej kieszeni. Po wylewnych pozdrowieniach z obu stron, rozstali się.

Orlanda szła ulicą. Teraz, kiedy wiersza już nie było miejsce, w którym zwykła go nosić, doskwierało swą pustką - mogła rozmyślać o czymkolwiek zechciała, chociażby o niezwykłych przypadkach, jakie rządzą ludzkim losem. Oto jest na St. James Street; mężatka z obrączką na palcu; w miejscu dawnej kawiarni ujrzała restaurację; było wpół do czwartej po południu, świeciło słońce, obserwowała trzy gołębie, teriera, dwie dorożki i powozik lando. Czymże zatem jest życie? Myśl ta postąpiła jej w głowie gwałtownie (chyba że jej powodem był stary Greene). Można uznać za komentarz, zależnie od życzenia czytelnika życzliwy bądź niechętny, na temat jej stosunków z mężem (który przebywał na Cape Horn), że ilekroć cokolwiek gwałtownie postąpiła jej w głowie, szła prosto do najbliższego biura telegraficznego, by wysłać mu depezę. „Shel,

mój bogu - depeszowała - życie literatura Greene śliski..." - tu uciekła się do zaszyfrowanego języka, który wspólnie wymyślili, aby można było w paru słowach oddać w całej pełni nawet najbardziej złożony stan ducha, pozostawiając przy tym w niewiedzy urzędnika, i dodała słowa „Rattigan Glumphoboo”, które precyzyjnie ów stan podsumowywały. Wydarzenia tego przedpołudnia uczyniły na niej głębokie wrażenie; nie mogło też ujść uwagi czytelnika, że Orlanda stawała

192

się dojrzała (co niekoniecznie znaczy lepsza), a „Rattig Glumphoboo” określało bardzo skomplikowany stan ducha wy - wyczerpany cały swój dowcip, czytelnik potrafił samemu wydedukować.

Odpowiedź nie mogła przyjść wcześniej, jak za kilka godzin; spojrzawszy na niebo, pod którego sklepieniem śmiały się chmury, pomyślała nawet, że być może koło Cape Horn jest wichura, wobec czego jej mąż stoi na bocianim gnieździe, odrąbuje jakieś pięknie drzewce, czy nawet płynie samotnie szalupą z jednym sucharem na pokładzie. Opuściła zatem pocztę, po czym zwabiła ją witrą sąsiedniego sklepu, w naszych czasach tak pospolitego; że nie wymaga opisu, lecz jej oczom zdał się wysoce osobliwy; był to sklep, gdzie sprzedawano książki. Całe życie Orlanda znała manuskrypty; trzymała w dłoniach szorstkie brązowe karty zapisane drobnymi gryzmołami Spencera; widziała pismo Szekspira i Milona. W rzeczy samej była posiadaczką sporej liczby rękopisów *in quarto* i *in folio*, często z sonetem skreślonym na jej cześć, niekiedy z pukle włosów. Te zaś niezliczone książeczki, jasne, identyczne i efemeryczne, zdały się bowiem oprawne w tekturę i wydrukowane na bibułce, nieskończenie ją zdumiały. Wszystkie dzieła Szekspira kosztowały pół korony i mieściły się w kieszeni. Właściwie nie dało się ich czytać, tak mała była czcionka, ale tak czy inaczej zakrawało to na cud. „Dzieła” - dzieła wszystkich znanych jej osobiście bądź ze słyszenia pisarzy szczerze wypełniały długie półki. Na stołach i krzesłach stały sterty dalszych dzieł: często dzieła o innych dziełach autorstwa Sir Nicholasa i dziesiątków innych pisarzy; ponieważ były oprawne i drukowane, w swej naiwności sądziła, że są to także dzieła bardzo wielkich twórców. Złożyła księgarzowi niespotykane zamówienie, aby przetrzymać je! , a 1~\_ co ma istotnego w sklepie, i wyszła.

Skreśliła ku Hyde Parkowi, ~ c~awirss ~; ; ,~f,r~emu: pod tym oto rozdartym drzewem padł książę Hamilton przesyty mieczem lorda Mohuna. Jej usta, które często ponoszą

193

w tej mierze winę, zaczęły składać słowa wysłanej depeszy w idiotyczną przyspiewkę; życie literatura Greene śliski Rattigan Glumphoboo. Kilku dozorców parkowych spojrzało na nią podejrzliwie, lecz widok naszyjnika z pereł skłonił ich ku przychylniej opinii względem jej poczytalności. Zabrała z księgarni plik gazet i żurnali literackich; teraz położywszy się pod drzewem i wsparłszy na łokciu, rozłożyła pisma wokół siebie i starała się zgłębić arkana sztuki prozatorskiej w wykonaniu tych mistrzów. Bowiem nadal pokutowała w niej dawna łatwowierność: nawet niewyraźny druk pisma tygodniowego miał w jej oczach świętość. Przeczytała więc, wsparta na łokciu, artykuł Sir Nicholasa na temat dzieł zebranych człowieka, którego niegdyś znała - Johna Donne'a. Wszelako rozłożyła się, nieświadomie, niedaleko Serpentine\*. W jej uszach zabrzmiało szczekanie tysiąca psów. Koła powozów kręciły się bezustannie z zawrotną szybkością. Nad głową wzdychało listowie. Niekiedy kilka kroków od niej migała plisowana spódnica bądź opięte szkarłatne spodnie. Wtem od czasopisma odbiła się gigantyczna gumowa piłka. Fiolety, oranże, czerwienie i błękity przesiąkały przez szczeliny między liśćmi i rozpromieniały szmaragd na jej palcu. Czytała jedno zdanie i spoglądała na niebo; wznosiła oczy ku niebu, po czym opuszczała na czasopismo. Życie? Literatura? Przerobić jedno na drugie? Lecz jakież to potwornie trudne! Bowiem - tu mignęła para opiętych szkarłatnych spodni - jakby to ujął Addison? Tu przeszły dwa psy tańczące na tylnych łapach. Jakby to opisał Lamb? Bowiem czytając Sir Nicholasa i jego przyjaciół (co czyniła w przerwach między rozglądaniem się wokół siebie), odniosła wrażenie - tu wstała, by rozprostować kości dala jej odczuć - było to odczucie arcyniemiłe - że nigdy, przenigdy nie należy mówić, co się myśli. (Staneła nad brzegiem Serpentine. Jezioro było brązowego koloru; smukłe parostateczki przecinały taflę wody z brzegu na

\* Sztuczne jezioro powstałe w 1730 r.

brzeg). Dala jej odczuć, kontynuowała zaczęta myśl, że trze ba zawsze, zawsze pisać jak ktoś inny. (W jej oczach za świeciły łzy). Doprawdy bowiem - pomyślała, odpychając parostateczek dużym palcem u nogi - nie sądzę, by mogła (tu stanął jej przed oczyma artykuł Sir Nicholasa, j wszystkie artykuły w dziesięć minut po przeczytaniu, raze z obrazem jego pokoju, jego głowy, jego kota, jego biurka, z dorzuconą porą dnia) nie sądzę, bym mogła - kontynuowała swą myśl, rozważając artykuł z tego punktu widzenia - siedzieć w gabinecie. Nie, to nie gabinet, lecz jakiś zatechły salon. Cały dzień z przystojnymi młodymi mężczyznami i opowiadać im anegdotki, których nie wolno im nikomu powtarzać, o tym, co Tupper powiedział o Smilesie. A przecież - kontynuowała - oni wszyscy są tacy męscy; a przecież naprawdę nie znoszą księżniczek i nie lubią ciasta; a chociaż jestem dość złośliwa, nigdy nie nauczę się być aż tak złośliwa, więc jak mogę zostać krytykiem i przysparzać mej epoce najlepszej angielskiej prozy? - Niech to wszyscy diabli! - wykrzyknęła, z taką energią odpychając parostateczek, że nieborak nieomal zatonął w falach koloru brązu.

Prawda jest taka, że kiedy ktoś histeryzuje - a w oczach Orlandy nadal stały łzy - to na co patrzy, staje się czymś innym, większym i istotniejszym, a jednak pozostaje tym samym: Kiedy ktoś rozhisteryzowany patrzy na Serpentine, fale wkrótce robią się tak wielkie jak fale Atlantyku, zaś parostateczki nie dają się odróżnić od okrętów liniowych. Stąd też Orlanda wzięła parostateczek za bryg swego męża, a falkę, którą uczyniła dużym palcem u nogi za górę wodną koło Cape Horn; gdy patrzyła, jak parostateczek pokonuje zmarszczkę na gładkiej tafli jeziora, sądziła, że widzi okręt Bonthropa pokonujący

szklaną ścianę; piął się i piął do góry, a na szczycie czyhała spieniona grzywa, grożąc tysiąckrotną śmiercią; i popłynął na tysiąckrotną śmierć i zniknął.

- Zatonął! - wykrzyknęła zdjeta zgrozą, lecz wtem, patrzcie, żeglujecie znów rażno i rześko między kaczkami po 194

drugiej stronie Atlantyku. - O radości! - zawołała. O radości! Gdzie jest poczta? - zastanowiła się. - Muszę natychmiast zadepeszować do Shela i powiedzieć mu... - Powtarzając na przemian „parostateczek na Serpentine” i „o radości”, gdyż myśli te były wymienne i znaczyły dokładnie to samo, pospieszyła w stronę Park Lane. - Parostateczek, stateczek, teczek - powtarzała, by wpoić w siebie przekonanie, że nie są ważne artykuły Nitka Greene' a ani rozprawy Johna Donne'a, ani ustawy o ośmiogodzinnym dniu pracy, ani traktaty, ani prawo przemysłowe; ważne jest coś bezużytecznego, nagłego, gwałtownego; coś, co kosztuje życie; czerwień, purpura, błękit; bryźnięcie, chłapięcie; jak te hiacenty (mijała piękny gazon) wolne od zmy, poddaństwa, brudu człowieczeństwa czy troski o swój własny rodzaj; coś pochopnego, idiotycznego, jak mój hiacenty; to jest mój mąż, Bonthrop; oto, co jest ważne - parostateczek na Serpentine, radość. Tak mówiła na głos, czekając, aż przejadą powozy koło Stanhope Gate, bowiem skutkiem życia z dala od męża (z wyjątkiem bezwietrznej pogody) jest to, że kobieta mówi na głos bzdury na Park Lane. Byłoby niechybnie inaczej, gdyby żyła z nim przez cały rok, wedle zalecenia królowej Wiktorii. A tak myśl o nim spadała na nią jak błyskawica i Orlanda odczuwała przemożną konieczność, by natychmiast do niego przemówić. Najzupełniej nie dbała o to, jakie mogą z tego wynikać bzdury i jakie mogą poczynić zamieszanie w naszej opowieści. Artykuł Nitka Greene'a pograżył ją w otchłani rozpacz; parostateczek wyniósł ją na wyżyny ekstazy. Czekając na krawędzi chodnika, powtórzyła więc: - O radości!

Ruch był jednak tego wiosennego popołudnia duży i nie pozwalał jej przejść na drugą stronę ulicy; stała więc i powtarzała „o radości” bądź też „parostateczek na Serpentine”, podczas gdy cała władza<sup>o</sup> i bogactwo Anglii jechało jak urzeźbione, w cylindrach i płaszczach, czwórkonnymi powozami, wiktoriaми i landami: jakby rzeka złotem płynąca zastygła i skrupiła się w złote bryły. Damy trzymały w palcach puzderka, panowie ściskali kolanami laski ze złotymi gałkami. Orlanda stała wpatrzona, przejęta podziwem i zgrzaskała jej tylko jedna myśl, znajoma wszystkim, kti obserwowali ogromne słonie bądź niewiarygodnej wielki wieloryby, a mianowicie, jakim sposobem te lewiatany, I rym bezspornie wstrętna jest myśl o wszelkim napięciu, ruszeniu, zmianie, pomnażają swój gatunek? Być może pomyślała Orlanda, patrząc na majestatyczne, nieruchome twarze - ich czas pomnażania się skończył; to już owoc; to już jest uwieńczenie. To, co teraz obserwowało było zwycięstwem pewnej epoki. Siedzieli wyniośli i św ni. Lecz oto policjant zniżył dłoń; strumień znów stał płynny; potężne skupisko świetnych przedmiotów rusz rozprzegło się i zniknęło na Piccadilly.

Przebiegła więc Park Lane i weszła do swego domu p Curzon Street; pamiętała, że kwitła tam tawuła, a pewno razu, gdy zawołał kulik, Orlanda spotkała bardzo start człowieka ze strzelbą.

Przekraczając próg, przypomniała sobie także dzień, w którym lord Chesterfield powiedział... została jednak wytrącona ze swych wspomnień. Gustowny osiemnastowieczny hol, w którym dopiero co miała przed oczyma lorda Chesterfielda, wieszającego tutaj cylinder, a tutaj płaszcz z taką wytwornością i szykiem, że rozkosz była patrzeć, teraz był dokumentnie zagracony paczkami. Podczas gdy Orlanda siedziała w Hyde Parku, księgarz zrealizował jej zamówienie i dom został szczelnie wypełniony literaturą wiktoriańską (paczki staczały się ze schodów) zapakowaną w szary papier i starannie przewiązaną sznurkiem. Zabrała tyle paczek, ile zdołała do swego pokoju, poleciła lokajowi, by przyniósł resztę, po czym, pospiesznie przeciąwszy niezliczone sznurki, znalazła się spośród niezliczonych tomów.

Przywykła do skromnej ilościowo literatury szesnastego, siedemnastego i osiemnastego wieku, Orlanda była przera 196 ~ 197

żona konsekwencjami swego zamówienia. Bowiem dla samych wiktorian literatura wiktoriańska oznaczała nie tylko cztery osobne i znaczne nazwiska, lecz cztery osobne i znaczne nazwiska zatopione w olbrzymiej masie Aleksandrów Smithów, Dixonów, Blacków, Milmanów, Buckle'ów, Taine'ów, Payne'ów, Tupperów, Jamesonów - wymownych, głośnych, wybitnych i żądających tyle samo uwagi co wszyscy inni. Cześć, jaką Orlanda żywiła wobec druku, stawiała ją przed trudnym zadaniem; przesunawszy krzesło pod okno, by skorzystać z nikłego światła, jakie sączyło się między wysokimi domami Mayfair, usiłowała dojść z tym wszystkim do jakiegoś ładu.

Teraz jest już jasne, że dojść do ładu z literaturą wiktoriańską można tylko na dwa sposoby - jeden, to spisać swe wnioski w sześćdziesięciu tomach *in octavo*, drugi, to zmieścić je w sześciu liniach długości niniejszej. Ponieważ czas płynie nieubłaganie, oszczędność zmusza nas do obrania drugiej metody; a zatem do dzieła. Otwarłszy pół tuzina książek, Orlanda doszła do wniosku, że jest rzeczą zadziwiającą, iż żadna spośród nich nie zawiera dedykacji dla jakiegoś arystokraty; następnie (przerzuciwszy potężną stertę wspomnień), że niewielu z tych pisarzy posiada drzewa genealogiczne choćby w połowie tak rosłe jak jej własne; następnie, że byłoby wysoce niepolitycznie owinać szczypce do cukru w banknot dziesięciofuntowy, gdyby panna Christina Rossetti przyszła na herbatę; następnie (pół tuzina biletów zapraszało ją na bankiet z okazji jakiejś stuletniej rocznicy), że uczęszczając na te wszystkie bankiety, literatura musi być bardzo korpulentna; następnie (otrzymała pół kopy zaproszeń na wykłady pod tytułem: „Wpływ czegoś na coś, renesans klasycyzmu, renesans romantyzmu” i inne, równie zajmujące), że skoro literatura słucha tych wszystkich wykładów, musi



być bardzo zaszuszone; następnie (tu wzięła udział w przyjęciu wydanym przez żonę para), że skoro literatura nosi te wszystkie futrzane kołnierze, musi być bardzo szacowna; następnie (tu poszła w odwiedziny do Carlyle'a w jego dźwiękoszczelnym pokoju w Chelsea), że skoro n geniusz trzeba tak chuchać i dmuchać, musi być bardzo de likatny. Wreszcie wyciągnęła ostateczny, arcyistotny wniosek, wszelako znacznie już przekroczyliśmy limit sześci linijek, toteż musimy go pominąć.

Doszedłszy do tego ostatniego wniosku, Orlanda prze długi czas stała w oknie. Ktokolwiek bowiem dojdzie d jakiegoś wniosku, to tak jakby posłał piłkę na drugą stron siatki i teraz czeka na niewidocznego adwersarza, by ją od bił. Co jej teraz ześle bezbarwne niebo nad Cheste~el House? - dumiała. I stała tak, dumając, z założonymi rę koma, przez długi czas. Wtem drgnęła - ach, jakże byli byśmy wdzięczni, gdyby Czysta, Niepokalana i Cnotliwa, jak poprzednim razem, zechciały otworzyć drzwi na oścież i dać nam chwilę oddechu, abyśmy ujęli to, co przyjdzie nam teraz powiedzieć z delikatnością godną żywotopisa. Lecz nie! Cisnąwszy swój biały welon ku nagiej Orlandzie i ujrawszy, iż chybił o kilka cali, owe damy wyrzekły się na te wszystkie lata wszelkich z nią stosunków; teraz zaś dopełniały innych obowiązków. Czyż nic się zatem nie wydarzy tego bladego marcowego poranka, co zatuszuje, wyretuszuje, utai, zamaskuje ów niezaprzeczalny incydent, czym by się on nie okazał? Bowiem drgnąwszy z nagłą i gwałtownie, Orlanda... lecz Bogu niech będą dzięki, bowiem w tej właśnie chwili na dworze zabrzmiał kruchy, piskliwy, szarpany, staromodny dźwięk katarynki, na którym to instrumencie do dnia dzisiejszego z rzadka grają włoscy kataryniarze w zaułkach wielkich miast. Przyjmijmy tę odsiecz, choćbyśmy ją mieli za najmierniejszą z miernych, jakby to była muzyka sfer, i pozwólmy, by jej dźwięk, ze wszystkim gruchotem i chrobotem, wypełniał tę stronę, póki nie nadejdzie chwila, której nadejścia zaprzeczyć już nie sposób; której nadejście widział już lokaj i pokojówka; której nadejście będzie musiał ujrzeć równie czytelnik; bowiem sama Orlanda niezdolna jest już dłużej jej zaprzeczać - pozwólmy, by katarynka grała i uniosła nas myślą, która, gdy gra

198 ~ 199

muzyka, jest niczym więcej aniżeli miotaną falami morskimi nędzną łupiną; by uniosła nas myślą (a myśl jest w takich razach przewoźnikiem arcynieudolnym i niegodnym zaufania) nad dachami i tylnymi ogrodami, gdzie wisi pranie, by uniosła nas do... - cóż to za miejsce? Czy rozpoznajecie błonia, dzwonnice pośrodku i bramę ze strażującymi Iwami po obu stronach? Ależ tak, to Kew\*! Cóż, może być Kew. Jesteśmy zatem w Kew, pokażę wam zatem dzisiaj (drugiego marca) hiacynt pod śliwą, krokus i pączek na migdałowcu; spacerować dziś po Kew, to rozmyślać o cebulkach, włochatych i czerwonych, wpadłych w ziemię w październiku, dziś zakwitających; to marzyć o rzeczach, którym nie potrafiać uczynić zadość słowa, to wyjąć z papierośnicy papierosa, a nawet z cygaretki cygaro, to zdjęć pelerynę i usiąść (chciałoby się rzec, dla rymu i bogatych skojarzeń, pod rozmarynem, ale czy w Kew rosną rozmaryny?) pod dębem, by tam czekać na zimorodka, którego, powiadają, widziano raz lecącego z jednego brzegu na drugi.

Uwaga! Uwaga! Zimorodek nadlatuje... zimorodek nie nadlatuje.

Tymczasem spójrzcie na fabryczne kominy plujące dymem, spójrzcie na urzędników z miasta śmigających żagłówkami., Spójrzcie na starszą panią spacerującą z psem, na służącą, która po raz pierwszy włożyła nowy kapelusz, odrobinę na bakier. Spójrzcie na nich wszystkich. Wprawdzie niebios miłościwie ustanowiły, iż tajemnice wszystkich serc pozostaną w ukryciu, wobec czego trawieni jesteśmy wieczną pokusą, by podejrzewać coś, co być może nie istnieje; wskroś papierosowego dymu widzimy wszakże, jak gorąco płoną naturalne pragnienia posiadania kapelusza i łodzi, schwywania szczura w rynsztoku; oddajemy hołd jak najwspanialszemu spełnieniu się tych pragnień, a jednocześnie przypominamy sobie (zasłuchany w dźwięki katarynki

\* Kew Gardens, królewski ogród botaniczny w zachodnim Londynie.

umysł jest nieokielznany, toteż wykonuje takie frywoln przeskoki), jak gorąco płonęło ognisko na polu opodal Konstantynopola z minaretami w tle.

Cześć wam, o naturalne pragnienia! Cześć ci, o szczęście! Cześć wam, wszelkie rozkosze, kwiaty i wino, choć te pierwsze więdną, a to drugie ćmi umysł; cześć wam, niedzielne przejażdżki za Londyn po pół korony, śpiewanie hymnów o śmierci w mrocznych kaplicach i wszystko, wszystko, co przeszkadza stukaniu na maszynie, ewidencjonowaniu dokumentów i wykuwaniu ogni w spajających Imperium Brytyjskie. Cześć i wam, o wulgarne czerwone usta szwaczek (jakby Kupidyn zamaczał kciuk w czerwonym inkauscie i pospiesznie napaćkał swe znamię). Cześć ci, o szczęście! Cześć ci, o zimorodku śmigający z brzegu na brzeg, o wszelkie spełnienie naturalnego pragnienia, nawet w rozumieniu powieściopisarza-samca; o modlitwo; o ascezo! Cześć ci, o spełnienie, jakiej byś nie przybrało formy, i oby formy te były jak najliczniejsze i jak najosobliwsze. Bowiem rzeka płynie mrocznym strumieniem i, niestety ~ kłamie rym, który chce, byśmy napisali „jak marzenie”; bowiem pospolitszy i pośledniejszy jest nasz los; życie nie jest jak marzenie, lecz płynie miarowo, bezmyślnie, machinalnie, pod drzewami, których oliwkowozielony cień pochłania błękit skrzydła znikającego ptaka, mknącego z nagłą z brzegu na brzeg.

Cześć ci zatem składamy, o szczęście, lecz zarazem piętnujemy te marzenia, które zniekształcają wizerunek prawdy, jak to czynią z twarzą kobiety pocętkowane zwierciadła w wiejskiej gospodzie; marzenia, które rozłupują, rozdzierają nas na części, ranią nas i rozszechpiają nocą, odejmując nam upragniony sen; o tak, cześć ci składamy, o śnie, śnie tak głęboki, że

wszystkie kształty są starte na nieskończenie miękki pył, nieprzenikloną wodną kurzawę; tam, skuleni, spowici całunem jak mumia, nic nie widzący jak ćma, położmy się na piasku na dnie snu.

Ale stop! Stop! Tym razem nie będziemy zwiedzać tej krainy ślepi. Błękitny, jak zapalka zaświecona w źrenicy  
200 ~, 201

najwnętrznego oka, frunie, płonie, kruszy pieczęć snu: zimorodek; znów powraca, wzbiera jak przyływ morza, czerwony, gęsty strumień życia; spieniony, pluszczący; ruszamy żwawym krokiem i patrzymy różnym okiem (jakże przydatny jest rym, by zakamuflować niezręczne przejście od śmierci do życia) na... (tu katarzynka nagle przestaje grać).

- Śliczny chłopczyk, Jaśnie Pani - powiedziała jejmość Banting, akuszerka, podając Orlandzie jej pierworodne dziecko. Innymi słowy, w czwartek dnia dwudziestego marca o godzinie trzeciej rano Orlanda powiła syna.

Orlanda znów stała w oknie, lecz niech się czytelnik nie lęka: nic podobnego już się nie zdarzy dzisiejszego dnia, który w żadnym razie nie jest tym samym dniem. Nie, bowiem gdy wyjrzymy wraz z Orlandą przez okno, spostrzemy, że Park Lane uległa znacznej metamorfozie. W istocie, można było stać w oknie całe dziesięć minut, jak teraz Orlanda, i nie uświadczyc ani jednego landa. - Co za dziwo! - wykrzyknęła kilka dni później, gdy groteskowy karłowaty pojazd, bez koni, jął toczyć się własnym impetem. Pojazd bez koni, no wiecie! Zaraz ją ktoś zawołał, lecz wróciła po jakiejś chwili i znów wyjrzała przez okno. Pogoda była owymi czasy osobliwa. Orlanda nie mogła się powstrzymać od myśli, że nawet niebo się zmieniło. Nie było już tak gęste, nasiąkłe, tęczowe, odkąd król Edward (oto on, wysiada ze swego eleganckiego *broughama*\*; aby złożyć wizytę pewnej damie naprzeciw) objął tron po królowej Wiktorii. Chmury ściągnęły się do grubości gazy; niebo zdawało się zrobione z metalu, a przy gorącej pogodzie powlekało się kolorem śnieżowym lub pomarańczowym, jak zawsze metal podczas mgły. To skurczenie się chmur było trochę niepokojące. Wszystko zdawało się mniejsze. Poprzedniej nocy mijają Buckingham Palace: nie było ni śladu tego

\* Kryty samochód z niekrytym miejscem dla kierowcy.

potężnego gmachu, który miała za wiekiuisty; cylindry, wdow welony, teleskopy, girlandy, wszystko zniknęło, nie pozostawiając na trotuarze choćby kałuży, choćby plamy. Na większe zdumienie przemiana budziła jednak teraz, wieczore (po kolejnej przerwie Orlanda powróciła na swe ulubione stanowisko przy oknie). Spójrzcie na te światła domów! Z jednym dotknięciem rozbłyskiwał cały pokój, tysiące pokójów, podobne do siebie jak krople wody. Całe miasto prze stawało się jako zbiorowisko sześciennych pudełek; nie było żadnej prywatności; nadszedł kres tajemnych zaułków nieustępliwych cieni; nadszedł kres kobiet w fartuchach które nosiły rozkołysane lampy i starannie stawały to na jednym, to na drugim stole. Teraz za jednym dotknięciem rozjaśniały cały pokój. Niebo było zaś rozświetlone przez całą noc, rozświetlone były trotuary, wszystko było rozświetlone. Wróciła znów na swe stanowisko w południe Jakże kobiety wychudły! Wyglądały jak słomki, proste, po łyskliwe, identyczne. A twarze mężczyzn były bezwłose jak wnętrza dłoni. Suchość klimatu przywróciła im kolor i jakb usztywniła mięśnie policzków. Trudniej było teraz płakać. Woda robiła się gorąca w dwie sekundy. Bluszcz szezeł bądź został zdarty z murów. Warzywa rozmnażały się z większym trudem, rodziny były mniej liczne. Zwinęto zasłony i makaty: na ogołconych ścianach wieszano obrazy rzeczy prawdziwych, jak ulice, parasole, jabłka, namalowane jaskrawymi kolorami. Było coś określonego i wyrazistego w tej dobie, która przypominała Orlandzie wiek osiemnasty, tyle że dostrzegała w niej pewien obłęd, nieszczęście... Gdy tak rozmyślała, ogromnie długi tunel, którym wędrowała od setek lat, rozwarł się; do wewnątrz wtargnęło światło; w tajemny sposób jej myśli naprężyły się, jakby stroiciel fortepianów włożył jej swój klucz w plecy i mocno ponaginał wszystkie nerwy; jednocześnie wyostrzył się jej słuch; słyszała najłżejszy szmer, najłżejszy trzask w pokoju, toteż tykanie zegara na kominku dudniło w jej uszach jak młotem. Przez kilka sekund światło robiło się coraz jaśniejsze i jaś

202 ~ 203

niejsze, widziała wszystko coraz wyraźniej i wyraźniej, zegar tykał coraz głośniej i głośniej, aż w prawym uchu nastąpił straszliwy wybuch. Orlanda zatoczyła się, jakby porażona gwałtownym uderzeniem w głowę. Uderzeniem dziesięciokrotnym. Była bowiem dziesiąta rano. Dnia jedenastego października. Roku 1928. Chwila terazniejsza.

Nikogo nie powinno dziwić, że Orlanda wdrygnęła się, pobladła, przycisnęła dłoń do serca. Czyż istnieje bowiem coś bardziej przerażającego, niż zdać sobie sprawę, że mamy chwilę terazniejszą? To że potrafimy w ogóle przeżyć ten wstrząs, zawdzięczamy wyłącznie temu, iż z jednej strony chroni nas przeszłość, a z drugiej przyszłość. Nie mamy czasu na rozmyślanie; Orlanda była już strasznie spóźniona. Zbiegła na dół, wskoczyła do swego samochodu, włączyła starter i ruszyła. Ogromne sine bloki budynków wznosiły się w powietrze; tu i ówdzie płamiły niebo czerwone kaptury kominów; droga świeciła się jak srebrystogłowe ćwieki; najeżdżały na Orlandę omnibusy ze skamieniałymi kierowcami o bładych twarzach; z witryn sklepów migały gąbki, klatki dla ptaków, skrzynki z zielonym amerykańskim sukniem. Nie pozwoliła jednak, by widoki te choćby na ułamek cała wsiąkły w jej umysł, bała się bowiem, by przechodząc wąską kładką terazniejszości nie spaść w rozszałony nurt w dole. - Trzeba patrzeć, gdzie się idzie! Nie łaska podnieść rękę? - mówiła ostro, jakby ktoś wyszarpnął z niej te słowa. Ulice były bowiem ogromnie zatłoczone; ludzie przechodzili nie patrząc, gdzie idą. Ludzie bzyce i buczeli pod witrynami, za którymi coś się czerwieniło, coś żółciło. Jak pszczoły - pomyślała. Myśl, że są jak pszczoły, urwała się jednak raptownie, bowiem, jednym mrugnięciem oka odzyskując właściwą perspektywę, Orlanda spostrzegła, że to bezwolne ciała. - Patrz, jak idziesz! - warknęła.

Nareszcie zajechała pod sklep panów Marshalla i Snelgrove'a i weszła do środka. Otuliły ją cienie i zapachy. Strząsnęła z siebie terazniejszość jak krople wrzącej wody.

Światło falowało niczym muślin wydymany letnim wietrzkiem. Wyjęła z torebki listę sprawunków i zaczęła czytać osobliwie sztywnym głosem, jakby trzymała słowa chłopięce buciki, sól kąpielowa, sardynki - pod krane z wielobarwną wodą.

Patrzyła, jak się zmieniają w świetle Sole i buciki zrobiły się ociężałe, tępe; sardynki przybrały kształt zębatej piły. Stała na parterze Marshalla i Snelgrove'a, rozglądała się to tu, to tam, pociągnęła nosem za ty i owym zapachem i tak zmarnowała kilka sekund. Później wsiadła do windy, z tej przyczyny, że drzwi stały otwarte po czym została gracko wydzwignięta w górę. Sama materi życia - pomyślała unosząc się w górę - jest teraz ma giczna. W osiemnastym wieku wiedzieliśmy, jak się wszystko odbywa, teraz zaś unoszę się wzwyż, słucham głosów z Ameryki, widzę latających mężczyzn, lecz jak się to odbywa, za nic pojąć nie mogę. Odradza się zatem we mnie wiara w magię. Winda lekko szarpnęła i przystanęła na pierwszym piętrze; Orlanda miała wizję niepoliczonych barwnych tkanin falujących na wietrze, który niósł nieznaną, wyrazistą zapachy; za każdym razem, gdy winda przystawała i otwierała drzwi, wystawiała się na pokaz kolejna porcja świata, tętniąca wszystkimi tego świata zapachami. Przyszła jej na myśl rzeka koło Wapping z czasów Elżbiety, z galeonami i okrętami kupieckimi na kotwicy. Jakże bogate i fascynujące roztaczały wonie! Z jaką wyrazistością pamiętała dotyk przesiewanych przez palce rubinów w workach ze skarbami! A potem spała z Sukey (bodaj tak miała na imię, zresztą nieistotne), a Cumberland zaświecił im w oczy latarnią! Cumberlandowie mieli teraz dom przy Portland Place; niedawno jadła u nich obiad i zaryzykowała drobny żarcik na temat przytułków przy Sheen Road. Stary pan domu mrugnął okiem. Lecz że winda już wyżej nie pojedzie, Orlanda musi wysiąść - licha wie, na jakim „dziale”, jak to nazywają. Przystanęła, by sprawdzić listę sprawunków. Boże miły, nie widziała wokół siebie nic, czego żądała lista: ani soli kąpielowych, ani trzewików dziecięcych. Miała już

204 ~ 205:

nawet zjechać z powrotem na dół, nic nie kupiwszy, lecz na szczęście machinalnie wypowiedziała na głos ostatnią pozycję na liście: pościel na podwójne łóżko.

- Pościel na podwójne łóżko - powiedziała do subiekta, i niezwykłym zrzędzeniem opatrności subiektów sprzedawał nie co innego jak pościel. Bowiem Grimsditch, nie, Grimsditch umarła; Bartholomew, nie, Bartholomew umarła; Louise zatem - Louise przyszła do niej onegdaj cała rozgorączkowana, bowiem znalazła dziurę u spodu prześcieradła na łożu królewskim. Spali w nim rozliczni królowie i królowe: Elżbieta, Jakub, Karol, Jerzy, Wiktor, Edward; nic dziwnego, że w prześcieradle zrobiła się dziura. Lecz Louise nie miała wątpliwości, że zna winowajcę. Miał nim być książę małżonek.

- Wstrętny Fryc - powiedziała (odbyła się bowiem kolejna wojna, tym razem przeciwko Niemcom).

- Prześcieradła na podwójne łóżko - powtórzyła Orlanda melancholijnie, bowiem podwójne łóżko ze srebrnym przykryciem stało w pokoju, którego urządzenie uważała teraz za cokolwiek niegustowne: całe w srebrze; wszelako meblowała pokój w czasach, kiedy kruszec ten budził w niej żywą namiętność. Gdy ekspedient poszedł przynieść prześcieradła na podwójne łóżko, wyjęła z torebki lustro i puderniczkę. Kobiety są dziś nieporównanie bardziej prostolinijne, pomyślała pudrując się arcyniedbale, aniżeli w czasach, gdy ona sama została kobietą i opalała się na pokładzie „Enamoured Lady”. Celowo podretuszowała tylko nos, ani tykając policzków. To nie błaga, choć nie liczyła już sobie trzydziestu sześciu lat, nie wyglądała na choćby dzień starszą. Wyglądała na równie nadąsaną, ponurą, uroczą i świeżą (jak choinka z milionem świeczek, powiedziała Sasza), co tego dnia na lodzie, gdy Tamiza była zamrznięta, a oni poszli się ślizgać...

- Najlepsza irlandzka bielizna, łaskawa pani - powiedział subiekt, rozkładając prześcieradła na ladzie... i spotkali staruszkę zbierającą chrust. Gdy błędząc myślami, spraw

działa gładkość materiału, otworzyły się drzwi wahadłowe pomiędzy działami i wpuściły, być może z galanterijnego wonny powiew, woskowy, jakby przesiąkły dymem różo wydrów świec; woń zasklepiła się jak muszla wokół młodej smukłej, powabnej postaci - dziewczyna to czy chłopiec Na Boga, dziewczyna! w futrze, perłach, rosyjskich szarych warach, lecz - wiarołonna, wiarołonna!

- Wiarołonna! - zakrzyknęła Orlanda (subiekt odszedł), cały sklep zdawał się drzeć, chybotać od nawały żółtych wód, a w oddali ujrzała maszt rosyjskiego okrętu wychodzącego w morze, po czym, wskutek działania jakiejś nadprzyrodzonej mocy (a może znów otworzyły się drzwi) wonna muszla przerodziła się w podium, trybunę, z której zstąpiła tłusta kobieta w futrach i diademach, ani trochę nie postarzała, uwodzicielska, kochanka wielkiego księcia - ta która jadła ongiś kanapki nad brzegami Wołgi i patrzyła na tonących mężczyzn - i ruszyła przez sklep ku Orlandzie.

- Och, Sasza! - zawołała Orlanda, do głębi wstrząsnęta, że widzi ją w takiej postaci, tak tłustej, tak ociężałej. Pochyliła głowę nad bielizną, aby ta zjawia zszarzałej kobiety w futrach i dziewczyny w rosyjskich szarych warach, spowita w te wszystkie wonie woskowych świec i białych kwiatów, przepłynęła niewidoczna za jej plecami, wraz ze starymi okrętami.

- Serwetki, ręczniczki, ściereczki dla łaskawej pani? - nastęrczał się subiekt. Jest ogromną zasługą listy sprawunków, do której pomocy uciekła się teraz Orlanda, że zachowując pozory opanowania odrzekła, iż potrzeba jej już tylko jednej rzeczy na świecie, to jest soli kąpielowych; a te były w innym dziale.

Lecz zjeżdżając znów windą - jakże zdradliwe jest powtórzenie jakiejś sceny - znów zapadła głęboko pod powierzchnię chwili teraźniejszej, toteż kiedy winda zatrzymała się ze zgrzytem na parterze, Orlanda sądziła, że słyszy garnek rozbijający się o brzeg rzeki. Co się zaś tyczy znalezienia właściwego działu (a licho wie, gdzie sprzedają sole),

206 ~ 207

stała pośród stert torebek głucha na podpowiedzi subiektów, wszystkich jednakowo uprzejmym, czarnym, gładko uczesanych, żwawych: choć wynurzali się bodaj z równą dumą z równie przepastnych głębin przeszłości, postanowili usunąć sprzed chwili teraźniejszej nieprzeniknioną zasłonę i występowali jedynie jako subiekci u Marshalla i Snelgrove'a. Orlanda stała niezdecydowana. Przez wielkie szklane drzwi widziała ruch uliczny na Oxford Street. Omnibusy zdawały się szczepiać ze sobą, po czym znów rozłączać. Niegdyś stukwały tak o siebie kry na Tamizie. Na jednej z nich siedział okrakiem stary szlachcic w futrzanych butach. Pędził niesiony nurtem rzeki - miała go teraz przed oczyma - i złorzeczył irlandzkim buntownikom. Zatonął w miejscu, gdzie stał teraz jej automobil.

Czas mnie zmógł - dumiała, usiłując pozbierać myśli - nadchodzi wiek średni. Jakież to osobliwe! Nic nie jest już tylko tym, czym jest. Biorę do ręki torebkę i myślę o przekupce wmarzniętej wraz ze swą łódką w lód. Ktoś zapala różową świecę, a ja widzę dziewczynę w rosyjskich szarawarach. Kiedy wychodzę na dwór, jak teraz - stanęła na trotuarze Oxford Street - jaki czuję smak? Smak ziół. Słyszę pasterskie dzwonki. Widzę góry. Turcja? Indie? Persja?

W jej oczach zaświeciły łzy. Że Orlanda nazbyt oddaliła się od chwili teraźniejszej, być może zdziwi czytelnika, który widzi ją wsiadającą do swego automobilu, z oczami pełnymi łez i górzystych perskich krajobrazów. W istocie nie da się zaprzeczyć, że najznakomitsi mistrzowie sztuki życia, nawiasem mówiąc często osoby nieznane, jakimś sposobem umieją zsynchronizować sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt różnych czasów, które płyną równoległe w każdym ludzkim ustroju: gdy na którymś z zegarów wybije jedenasta, wszystkie inne biją zgodnym chórem, zatem teraźniejszość ani nie burzy gwałtownie życia, ani nie roztopia się niepostrzeżenie w przeszłości. O nich możemy zasadnie powiedzieć, że żyją sześćdziesiąt osiem czy siedemdziesiąt dwa lata przyznane im na nagrobku. O pozostałych wiemy zaś, że są

martwi, choć jeszcze chodzą pośród nas; niektórzy jeszcze się nie narodzili, choć wcielają się w rozmaite formy życia; jeszcze inni liczą sobie setki lat, choć metryka nazywa ich trzydziestosześcioletkami. Prawdziwa długość ludzkiego życia, cokolwiek wyrokuje w tej kwestii *Narodowy słownik biograficzny*, jest zawsze sprawą sporną. Trudna to bowiem umiejętność, rachowanie czasu; nic nie wprowadza większego zamętu aniżeli styczeń z którąś ze sztuk; być może bowiem właśnie umiłowanie poezji należy obarczyć winą za to, że Orlanda zgubiła listę sprawunków i wracała do domu bez sardynek, soli kąpielowych i trzewików. Gdy stała z dłonią na klamce automobilu, teraźniejszość znów poraziła ją w głowę.

- Niech to czarci porwą! - zawołała, bowiem jest to wielki wstrząs dla systemu nerwowego, usłyszeć bicie zegara - do tego stopnia, że na czas jakiś o Orlandzie nie można powiedzieć nic godnego uwagi, prócz tego, że zmarszczyła nieco brwi, arcyzręcznie wrzuciła bieg i, jak uprzednio, pokrzykiwała: - Patrz, dokąd idziesz! Nie wiesz, po co żyjesz? Trzeba było od razu powiedzieć! Tymczasem automobil sunął, sadił, szałomował, szarżował (Orlanda była znakomitym kierowcą) do Regent Street, do Haymarket, do Northumberland Avenue, przez Westminster Bridge, na lewo, prosto, na prawo, znów prosto...

Na Old Kent Road w czwartek jedenastego października 1928 roku kłębił się tłum. Ludzie osypywali się z trotuarów. Kobiety dzwigały torby z zakupami. Dzieci biegały. Sukiennicy spuścili ceny. Ulice rozszerzały się i zwężyły. Długie aleje zbiegały się ku horyzontowi. Jakiś targ. Jakiś pogrzeb. Jakiś pochód z transparentami, na których można było przeczytać *Zr-Bezr*, ale co dalej? Mięso było bardzo czerwone. Rzeźnicy stali w drzwiach. Kobiety miały obcięte obcasy. *Amor Vin*, napis nad gankiem. Jakaś kobieta wyglądała z okna sypialni, głęboko zamyślona, zamarła. Applejohn i Applebed, usługi pogrz... Niczego nie dało się zobaczyć w całości bądź przeczytać od pierwszej do ostatniej litery. Zawsze wi

208 ~ 209

dać było tylko zaczątek - dwaj znajomi dostrzegli się po przeciwnych stronach ulicy - nigdy spełnienie. Po dwudziestu minutach ciało i umysł były jak strzępki podartego papieru, sypane z worka na wiatr; w istocie, pospieszna jazda przez Londyn w tak wielkiej mierze przypomina szatkowanie na drobno tożsamości, które poprzedza utratę przytomności, a bodaj i śmierć, że otwarte pozostaje pytanie, w jakim sensie wolno powiedzieć, iż Orlanda w chwili teraźniejszej istniała. Prawdę rzekłszy, trzeba by było zrezygnować z Orlandy jako osoby doszczętnie rozparcelowanej, gdyby z prawej strony nie stanął nareszcie zielony parawan, który spowolnił taniec strzępków papieru na wietrze; za chwilę po lewej stanął następny, na którego tle widać było każdy strzępek z osobna, wirujący coraz flegmatyczniej; dalej zielone parawany ciągnęły się już nieprzerwanie; umysł Orlandy odzyskał złudzenie, że zawiera w sobie wszystkie przedmioty; wkrótce ujrzała chatę, podwórze i cztery krowy, a wszystko dokładnie naturalnej wielkości.

Kiedy się to wydarzyło, Orlanda westchnęła głęboko, zapaliła papierosa i przez parę minut w milczeniu puszczała dym. Potem odezwała się z wahaniem, jakby do osoby, której być może nie ma tam, gdzie się jej spodziewamy:

- Orlanda? - Bowiem jeśli w umyśle ludzkim tyka jednocześnie (załóżmy) siedemdziesiąt sześć różnych czasów, ile różnych osób - Boże, dopomóż! - w tej czy owej chwili w owym umyśle przebywa? Niektórzy utrzymują, że dwa tysiące pięćdziesiąt dwa. Jest zatem najzwyczajszą w świecie rzeczą, że ktoś, choćby był sam, mówi „Orlanda?” (jeśli tak się zwie), co się tłumaczy: „Och nie, mam już po dziurki w nosie mego obecnego «ja». Chcę innego”. Stąd zdumiewające

metamorfozy, jakie spostrzegamy u znajomych. Nie jest to wszelako takie zupełnie bezproblemowe, bowiem choć można powiedzieć, jak to C...li... 4...d...s...eeh...c...z... cna utie...czy...zczal...t'te ~o\_...trzebowała nowego „ja”), „Orlanda?”, potrzebna nam ~rlanda niekoniecznie jednak się zjawi; różne jaźnie, z których

się składamy, ułożone w stos jak talerze na dłoni kelnera mają wiele innych zobowiązań, upodobań, mają swe małe konstytucje i swe własne prawa, nazwijcie je, jak chceci (a na wiele z tych rzeczy nazwy nie ma), więc jedna przyjdzie tylko w deszcz, druga tylko do pokoju z zielonymi zasłonami, trzecia tylko pod nieobecność pani Jones, czwarta tylko skuszona obietnicą lampki wina i tak dalej; każdy mógłby z własnego doświadczenia mnożyć przykłady trudnych warunków, jakie stawiały mu jego różne „ja” a niektóre z tych warunków są nazbyt bezczelne bądź absurdalne, by o nich w ogóle wspominać drukiem.

Na zakręcie koło stodoły Orlanda powiedziała zatem „Orlanda?” na pytającą nutę i czekała. Orlanda nie przyszła. - Dobrze więc - powiedziała Orlanda, z niezmaco

nym spokojem, jaki ludzie w takich sytuacjach okazują, po czym wezwała następną. Miała bowiem na swój użytek olbrzymi zapas jaźni, znacznie większy, aniżeli udało nam się pomieścić, bowiem biografia uważana jest za wyczerpującą, jeżeli zda sprawę ledwie z sześciu czy siedmiu jaźni, podczas gdy osoba łącznie może mieć ich tyleż tysięcy. Obierając zatem tylko te jaźnie, dla których znaleźliśmy miejsce, Orlanda mogła zawezwać chłopca, który odciął głowę Maura; chłopca, który ją na powrót zawiesił; chłopca, który usiadł na wzgórzu; chłopca, który ujrzał poetę; chłopca, który podał królowej misę z wodą różaną; bądź też mogła zawezwać młodzieńca, który zakochał się w Saszy; bądź dworaka; bądź ambasadora; bądź żołnierza; bądź podróżnika; mogła zapragnąć, by przybyła do niej kobieta; Cyganka; nadobna dama; pustelnica; kobieta zakochana w życiu; mecenas sztuk; kobieta, która mówiła: Mar (co oznaczało gorącą kąpiel i wieczorne ogniska), bądź: Shelmerdine (co oznaczało krokusy w jesiennym lesie), bądź: Bonthrop (co oznaczało śmierć, którą co dnia umieramy), bądź wszystkie trzy imiona naraz ~o~r~~~~ rYręce~ rzecz~t nil ~tCiCr~LCI~~~~C ~Wegeté. ~c,2,5e,~lty=t~.e1,~a~~a1~W~a~~~~ra.l;ar~, ,,`\*.,~\_z~ul~a zawezwać.

71(1 1~, I

Być może; wydaje się jednak pewne (wstąpiliśmy bowiem w krainę, gdzie wszystko jedynie być „może” i tylko się „wydaje”), że jaźń, której najbardziej potrzebowała, nie była w odpowiednim nastroju: Orlanda gnała przed siebie i wołała coraz to nową jaźń, na każdym zakręcie inną, lecz bezskutecznie. Dzieje się tak wtedy, gdy, z jakiejś niewytłumaczalnej przyczyny, jaźń świadoma, która posiada najwyższą zwierchność i sprawuje władzę nad pragnieniami, nie życzy sobie nic innego prócz siebie samej. Są ludzie, którzy nazywają tę jaźń „ja” prawdziwym, powiadają, że to zespół wszystkich jaźni, które w sobie zawieramy, komenderowany przez „ja” kapitańskie, trzymany pod kluczem przez „ja” odzwierne. Orlanda z pewnością szukała tej właśnie jaźni, jak czytelnik sam potrafi osądzić, przysłuchując się rozmowie, jaką prowadziła ze sobą podczas jazdy (a jeśli jest to rozmowa niezborna, nielogiczna, trywialna, nudna, niekiedy niezrozumiała, czytelnik może winić tylko siebie za swą niedyskrecję, bowiem nie podsłuchuje się mówiącej do siebie damy; przekazujemy tylko wiernie ten monolog słowo po słowie, dodając w nawiasach, które „ja” w naszej opinii przemawia, lecz łącznie możemy tu być w błędzie).

- Zatem kim? Zatem czym? Trzydziestosześcioletką; w samochodzie; kobietą. Tak, lecz i milionem innych rzeczy. Snobką, czyż nie? Order Podwiązki na ścianie? Lamparty? Moi przodkowie? Dumna z nich? Tak! Chciwa, rozpustna, występna? Czyż nie? (tu włączyło się nowe „ja”). Nawet jeśli tak, nie dbam o to. Prawdomówna? Tak sędzę. Hojna? Och, przecież nie liczę (tu włączyło się nowe „ja”). Leżę całe rano w łóżku, aby słuchać gołębi; w miękkiej pościeli, srebrna zastawa; wino; pokojówki; lokaje. Rozpieszczona? Być może. Zbyt wiele rzeczy za nic. Stąd moje książki (tu wymieniła pięćdziesiąt klasycznych tytułów; były to, jak sądzimy, wczesne dzieła romantyczne, które podarła). Łatwe, gładkie, romantyczne. Ale (tu włączyło się inne ja) niezgrabna, fajtlapa. Nie znaleźć bardziej niezdarnej osoby. A... a... (zawahała się nad jakimś słowem: jeżeli podpowiemy „mi

łość”, możemy być w błędzie, lecz z pewnością zaśmia się, pokraśniała, po czym zawołała...) Ropucha wysadzan szmaragdami! Arcyksiążę Harry! Bolimuszki na suficie! (t włączyło się inne „ja”). Ale Nell, Kit, Sasza? (posmutniał w jej oczach stanęły łzy, a przecież nie płakała już od t dawna). Drzewa - powiedziała (tu włączyło się inne „~ja” - Kocham drzewa (mijała zagajnik), rosną od tysiąca la I stodoły (mijała rozlatującą się stodołę na skraju drogi I owczarki (jeden wybiegł na drogę. Ominęła go ostrożnie I noc. Ale ludzie (tu włączyło się inne „ja”). Ludzie? (po wtórzyła to samo jako pytanie.) Nie wiem. Zawistni, kłamu wi plotkarze. (Tu skręciła na główną drogę swego rodzinne go miasteczka, tłumną, bo był dzień targowy, od rolników pasterzy i starych bab z kojcami kur). Lubię chłopów. Ro zumiem żniwa. Ale (tu inne „~ja” prześliznęło się po wierzchołkach jej umysłu jak promień latarni morskiej)... Sława! (zaśmiała się.) Sława! Siedem wydań. Zdjęcia w wieczornych gazetach (była to aluzja do poematu *Dqb*, który zdobył Nagrodę Burdetta Couttsa; skoro już jesteśmy przy głosie, poskarżymy się, jakie to dla biografisty Orlandy niemiłe, że ta kulminacja, ku której zmierzała cała książka, ta *peroratio*, która miała posłużyć za zakończenie, została rzucona na wiatr jednym beztróskim wybuchem śmiechu! W istocie, kiedy piszemy o kobiecie, nie jest na swoim miejscu żadna kulminacja, żadna peroracja; akcent nigdy nie pada tam, gdzie u mężczyzny). Sława! - powtórzyła. - Poeta szarlatan; spotykają się co rano z regularnością, z jaką przychodzi listonosz; obiady, przyjęcia; przyjęcia, obiady; sława, sława! (Musiała zwolnić, by przejechać przez tłum

przybyły na targ. Lecz nikt jej nie zauważył. Morświn u rybiarza znacznie bardziej przykuwał uwagę aniżeli dama, która zdobyła nagrodę i mogłaby, gdyby zechciała, uwieńczyć skronie trzema księżęcymi koronetami).

Jadąc bardzo powoli, zaczęła nucić pod nosem coś, co przypominało fragment starej piosenki. „Za me gwinee kupię ja sobie kwitnące drzewa, kwitnące drzewa, między nie

212 I ~, ~ I

pójdę i co to jest sława mym synom wyśpiewam, synom wyśpiewam". Tak nuciła, lecz słowa zaczęły się osuwać jak barbarzyński naszyjnik z ciężkich paciorków. „Między nie pójdę, me drzewa kwitnące" śpiewała, mocno akcentując słowa, „i księżyc ujrzę i kwiaty na łące..." Tu urwała i utkwiała wzrok w masce samochodu, pogrążona w głębokiej refleksji.

Siedział przy stole jejmości Stewkley - dumiała w brudnej krezie... Byłby to stary imć Barker, który przyjechał pomierzyć deski? Czy też Sz-p-r? (bowiem gdy mówimy do siebie imiona, wobec których żyjemy głęboką cześć, nigdy nie wypowiadamy ich w całości). Przez dziesięć minut patrzyła niewidzącym wzrokiem przed siebie, a samochód toczył się ledwie zauważalnie.

- Opętana! - zawołała, przyciskając zniecka gaz. - Opętana! odkąd byłam dzieckiem. Tam leci dzika gęś. Za oknem leci ku morzu. Ja skoczyłam za nią (mocniej zacisnęła dłonie na kierownicy) i wyciągnęłam ku niej ramiona. Lecz gęś leci zbyt szybko. Widziałam ją, tu, tam, wszędzie; w Anglii, Persji, Italii. Zawsze leci szybko w morze, a ja zawsze zarzucam na nią słowa jak sieci (tu wyrzuciła dłoń przed siebie), a one wiotczą, jak wiotczą sieci, w które nie złapało się nic prócz wodorostów; czasem na dnie sieci jest drobina srebra, sześć słów, lecz nigdy wielka ryba zamieszkała w koralowych gajach. - Tu pochyliła głowę, głęboko zaspiona.

I w tej właśnie chwili, gdy przestała wołać „Orlanda!" i zatopiła się w myślach o czym innym, Orlanda, którą wołała, przyszła z własnej woli; czego dowiodła przemiana, jaka w niej teraz zaszła (minęła bramę i wjeżdżała do parku).

Cała jej istota pociemniała, stężała; dzieje się tak czasem z obrazem powleczonym laserunkiem; powierzchnia jędrnieje, płytkie staje się głębokie, bliskie staje się odległe, wszystko jest ujęte w karby jak woda cembrowiną studni. Pociemniała więc, znieruchomiła i stała się, skutkiem przybycia tej ostatniej Orlandy, tym, co słusznie bądź niesłusznie nazywamy jednym „~ja", prawdziwym „ja". Umilkła. Możliwe jest bowiem, że kiedy ludzie mówią na głos do siebie, wówczas różne „ja" (których bywa więcej niż dwa tysiące) mają świadomość rozłąki i usiłują się ze sobą porozumieć; lecz kiedy porozumienie zostanie nawiązane, milkną.

Szybko, po mistrzowsku pędziła krętym podjazdem między wiązami i dębami przez pochyłą murawę parku, której spadek był jednak tak łagodny, że gdyby zamiast trawy była woda, powlekłaby plażę gładką zieloną glazurą. Tu i ówdzie rosły uroczyste kepy buków i dębów. Przystawały wśród nich sarny, jedna biała jak śnieg, inna z przekrzywionym łbem, bowiem zawadziła rogami o siatkę ogrodzenia. Na wszystko to - drzewa, sarny i murawę - spoglądała z najwyższą radością, jakby jej umysł stał się cieczą, która opływa przedmioty i całkowicie je w sobie zamyka. hliebawem zatrzymała samochód na dziedzińcu, gdzie zajeżdżała przez tyle stuleci, na koniu bądź poszóstną karetą, puszczając innych jeźdźców przodem, bądź zostawiając w tyle; gdzie falowały pióra, płonęły pochodnie, a te same kwitnące drzewa, które teraz zrzucały liście, otrząsały się z kwiatów. Teraz była sama. Opadały jesienne liście. Stróż otworzył wielką bramę. - Dzień dobry, James - powiedziała - w samochodzie jest trochę rzeczy. Mógłbyś je wnieść do środka? - Przyznać należy, że słowa te same w sobie nie były piękne, mądre czy istotne, lecz w owej chwili tak pulchne znaczeniem, iż spadły jak dojrzałe orzechy z drzewa, dowodząc, że pomarszczona skóra codzienności jest tak napęczniała znaczeniem, iż cudownie zaspokajają zmysły. W istocie, dowodził tego każdy ruch, każdy gest Orlandy, choć były tak zwyczajne; widok Orlandy zrzucającej sukienkę, aby włożyć wełniane bryczesy i skórzaną kurtkę (co zajęło jej ledwie trzy minuty) porażał isticie tanecznym pięknem, jakby pani Lopokova wznosiła się na wyżyny swego kunsztu. Potem pomaszzerowała do jadalnego, gdzie jej starzy przyjaciele. Dryden, Pope, Swift, Addison, z początku przyglądali sil jej z pewnym zażenowaniem. - Ho, ho! - zdawali się

214 I m c

z niej pokpiwać - oto nasza laureatka! - Kiedy jednak uprzytomnili sobie, iż w grę wchodzi dwieście gwinei, pokiwali głowami z aprobatą. Dwieście gwinei, zdawali się mówić, dwieście gwinei piechotą nie chodzi. Orlanda ukroiła sobie plaster szynki, plasnęła nim o kromkę chleba i zaczęła jeść, przechadzając się po jadalni, bezwiednie zatracając swe dobre maniery. Po pięciu czy sześciu rundach wychyliła kielich czerwonego hiszpańskiego wina, nalała sobie kolejny i wyruszyła na przechadzkę długim korytarzem i amfiladą salonów, w towarzystwie świty ogarów i spanieli.

Tego również wymagał od niej ten dzień. Równie dobrze mogłaby nie ucałować babci na powitanie, jak wrócić do domu i nie sprawdzić, jak się ma. Imaginowała sobie, że każdy pokój pojaśniał po jej wejściu, drgnął i otworzył oczy, jakby drzemał za jej nieobecności. Imaginowała sobie także, iż choć widziała je już setki, tysiące razy, jeszcze nigdy nie wyglądały tak samo, jakby ich długowieczne życie zmagazynowało w nich miriady nastrojów, zmieniających się zależnie od pory roku, pogody, jej samopoczucia i charakteru ludzi, którzy w nich przebywali. Wobec obcych były, owszem, uprzejme, ale i nieco znużone; wobec niej, zupełnie otwarte i nieskrępowane. Cóż zresztą w tym dziwnego? Znali się już od bez mała czterystu lat. Nie mieli przed sobą nic do ukrycia. Ona знаła ich smutki i radości. Znała wiek każdego przedmiotu w każdym z pokojów, znała ich małe sekrety - ukrytą szufladę, zamaskowaną komodę, jakieś drobne niedociągnięcia, dajmy na to coś nie dokończonego lub dodanego później. One również ją znały we wszystkich jej nastrojach i wydaniach. Nic przed nimi nie ukrywała; przychodziła do nich jako chłopiec i jako kobieta, spląkana i płasająca, zadumana i rozradowana. Przy tym oknie

napisała swe pierwsze poematy; w tej kaplicy wyszła za mąż. Tu zostanie pochowana, uprzytomniła sobie, klękając na parapecie w długim korytarzu i sącząc hiszpańskie wino. Choć zgoła nie umiała sobie tego wyobrazić, herbowy lampart bę

dzie broczyć żółte kałuże na posadzkę w dniu, w który złożyła jej kości między kości przodków. Ona, która nie wie rzyła w nieśmiertelność, nie potrafiła odeprzeć uczucia, że jej dusza będzie wiecznie przychodzić i odchodzić wra z plamami czerwieni na boazerii i zieleni na sofie. Bowie pokój - weszła do sypialni ambasadora - błyszczał j muszla, która przez stulecia spoczywała na dnie morza gdzie zaskorupiała, po czym woda zabarwiła ją milione odcieni, różanych, żółtych, zielonych, piaskowych. Był ja muszla kruchy, równie opalizujący i równie pusty. Żade ambasador już tu nie spędzi nocy. Ach, lecz wiedziała, gdzie wciąż bije serce domu. Delikatnie otworzywszy drzwi, stała na progu tak, aby (jak sobie roiała) pokój jej nie zauważył i spoglądała na tapiserię rozfalowaną wiekiustym powiewem, który nigdy nie pozostawiał jej w bezruchu. Myśliwy wciąż cwałował; Dafne wciąż umykała. S. ~,~iąż biło, kruche, niezłomne serce ogromnej budowli

Przywoławszy do siebie sforę, przeszła ~m, ktorego posadzka wyłożona była przeciętymi wzdłuż całymi pniami dębowymi. Rzędy foteli pokrytych spłowiałym aksamitem stały pod ścianą i rozpościerając ramiona, zapraszały Elżbietę, Jakuba, bodaj Szekspira, Cecha, który nigdy nie przyjechał. Widok ten zasmucił ją. Odczepiła sznur odgradzający sędziwe meble. Usiadła w fotelu królowej; otworzyła ręcznie pisaną księgę leżącą na stole lady Betty; zanurzyła palce w zmurszałych płatkach róż; uczesała swe krótkie włosy srebrnym grzebieniem króla Jakuba; usiadła na jego łóżku, odbiła się parę razy od materaca (lecz już żaden król nie będzie tam spał, mimo nowych prześcieradeł Louise) i przytuliła policzek do wytartego srebrnego przykrycia. Lecz wszędzie leżały torebki z lawendą na mole i karteczki z napisem: *Uprasza się nie dotykać*. Choć sama je tam położyła, poczuła się skarcona. Dom nie należał już wyłącznie do niej; był własnością czasu; historii; wyzwolił się spod władania żyjących. Nikt już nie rozleje tu piwa - pomyślała (była w sypialni, gdzie nocował stary Nick Greene) - nie wypali

216 ~ 217

dziury w dywanie. Nigdy już dwie setki czeladników nie puszcza się hurmą korytarzami z szuflami pełnymi rozżarzonych węgla i wielkimi gałęzmi, aby rozpaścić ogień w wielkich kominkach. Już nigdy nie będzie się warzyć piwa, wytapiać świec, wyrabiać siodła i ciosać kamienia w warsztatach koło domu. Żelazne i drewniane młotki umilkły. Krzesła i łóżka opustoszały; srebrne i złote kufle stały pod szkłem w gablotach. Po pustym domu hulała wichura ciszy.

Usiadła zatem na końcu korytarza, z wierną sforą wokół siebie, w twardym fotelu królowej Elżbiety. Korytarz ciągnął się daleko, niemal ginał w cieniu jak tunel wwiercony głęboko w przeszłość. Gdy jej oczy przywykły do mroku, ujrzała roześmiane, pogrążone w rozmowie towarzystwo; znajome wielkie osobistości: Drydena, Swifta i Pope'a; negocjujących mężów stanu; rozanielonych kochanków pod oknami; biesiadników przy długich stołach; dym drzewny zasnuwający ich głowy, od czego kichali i kaszleli. Jeszcze dalej ujrzała wyśmienitych tancerzy stających do kadryla. Zaczęła rozbrzmiewać falsetowa, krucha, a przecież majestatyczna muzyka. Zadudniły organy. Kondukt pogrzebowy zmierzał do kaplicy. Wychodził orszak ślubny. Zbrojni mężczyźni w kołpakach ruszali na wojnę. Przywozili sztandary spod Flodden i Poitiers, by je zawiesić na ścianie.

Tak wypełnił się długi korytarz, a spojrzawszy jeszcze dalej, Orlanda sądziła, że na samym końcu, za elżbietanami i Tudorami, dostrzega kogoś starszego, odleglejszego, mroczniejszego, postać w kapturze, klasztornej, surową, mnicha, który w złożonych dłoniach trzymał księgę, a idąc, mamrotał...

Jak piorun, zegar stajenny wybił czwartą. Jeszcze żadne trzęsienie ziemi tak raptem nie zburzyło całego miasta. Korytarz i tłum postaci upadły w proch. Zapatrzona twarz Orlandy, mroczna i posepna, rozświetliła się jak od wybuchu prochu strzelniczego. W tym samym świetle wszystkie przedmioty dokoła objawiły się z niezwykłą wyrazistością. Ujrzała dwie wirujące muchy i dostrzegła siny połysk ich

218

tułowi; ujrzała sęk w podłodze obok swej stopy i drgani ucha swego psa. Jednocześnie usłyszała skrzypienie gałę w ogrodzie, kaszel owcy w parku, przelotny krzyk za o nem. Jej własne ciało przeszedł dreszcz i mrowienie, jakb nagle stanęła naga na ostrym mrozie. Bez reszty zachował jednak równowagę, co jej się nie udało w Londynie, gd zegar wybił dziesiątą (była bowiem teraz jedna i cała, więc być może wstrząsy czasu miały do poruszenia większą pot wierzchnię). Wstała, lecz niespiesznie, zawołała na psy i zde cydowanym, lecz czujnym i przezornym krokiem zesła p schodach i wyszła do ogrodu. Cienie roślin znamionov, nadprzyrodzona wyrazistość. Orlanda dostrzegała posrc gólne drobiny ziemi w gazonach kwiatów, jakby miała pi twierdzone do oka mikroskop. Potrafiła prześledzić z; łość gałązek na każdym drzewie. Każde źdźbło trawy l~ inne, zarówno żyłkowanie każdego liścia, jak i rysunek I; dego płatek kwiatu. Ujrzała Stubbsa, ogrodnika, nadcho~ cego ścieżką: widoczny był każdy guziczek jego kama I ujrzała Betty i Prince'a, konie pociągowe: jeszcze nigdy

nie biła w oczy biała gwiazdka na czole Betty ani trzy dług; włosy sterczące z końca ogona Prince' a. Sędziwe szare mury domu wokół dziedzińca miały drobnoziarnistą fakturę jeszcze nie wyblakłej fotografii; Orlanda usłyszała z tarasu głośnik pochwytyjący melodię taneczną, której słuchali bywalcy wyściełanej czerwonym aksamitem opery wiedeńskiej. Rześka i naprężona terażniejszością czuła zarazem osobliwy lęk przed otwierającymi się tu i ówdzie szczelinami czasu, jakby z każdą wpuszczoną sekundą mogło wtargnąć jakieś niebezpieczeństwo. Napięcie było zbyt silne i uporczywe, aby je zbyt długo bezboleśnie znosić. Prędej, niżby chciała, jakby ktoś poruszał za nią nogami,

przeszła przez ogród do parku. Wielkim wysiłkiem zmusiła się do zatrzymania koło warsztatu stelmacha, po czym wyprężona niczym świeca patrzyła, jak Joe Stubbs wyrabia koło do furmanki. Stała ze wzrokiem utkwionym w jego dłoniach, gdy wybił kwadrans. Przeszył ją jak meteor, tak gorący, że nie zdzierżyłyby go

219

żadne palce. Z ohydą wyrazistością ujrzała, że kciukowi prawej dłoni Joe'ego brakuje paznokcia, w którego miejscu wysklepia się grudka różowego mięsa. Widok był tak odrażający, że zastąpiła na chwilę, lecz właśnie ta chwila mroku, gdy jej powieki zamruwały, uwolniła ją od presji teraźniejszości. Było coś osobliwego w cieniu, który rzuciło mrugnięcie jej oczu, coś, czego (każdy może sprawdzić to sam, spoglądając teraz na niebo) zawsze brakuje w teraźniejszości - stąd jego zgroza, jego niepochwytana natura; nikt nie ośmieliłby się przyszpilić temu do ciała imienia i nazwać pięknem, bowiem rzecz ta nie ma ciała, jest jak cień bez substancji bądź jakoś sama w sobie, posiada wszakże moc odmieniania wszystkiego, do czego się przymieszają. Gdy na pół omdlała Orlanda mrugała okiem w warsztacie stelmacha, ów cień wypełził i przypinał się do rozmaitych widoków, które jawiły się Orlandzie, kształtując je w coś znośnego, zrozumiałego. Jej umysł jął się burzyć jak morze. Tak - pomyślała z głębokim westchnieniem ulgi, gdy wyszła z warsztatu stelmacha i ruszyła ścieżką na wzgórze - znów mogę zacząć żyć. Jestem nad brzegiem Serpentine, parostateczek płynie przez biały łuk tysiąca śmierci. Zaraz zrozumie...

Takie były jej słowa, wypowiedziane zupełnie wyraźnie, nie wolno nam wszakże zataić okoliczności, iż była teraz zupełnie obojętnym świadkiem prawdy tego, co działo się przed jej oczyma i mogła z łatwością wziąć owcę za krowę, a starca nazwiskiem Smith za wcale z nim niespokrewnionego Jonesa. Bowiem cień omdlenia, rzucony przez kciuk bez paznokcia, pogłębił się teraz na dnie jej mózgu (na antypodach wszelkiego widzenia) w otchłań mroku tak nieprzeniknionej, że niemal nie sposób rozpoznać skąpanych w nim kształtów. Zjrzała teraz w tę otchłań bądź morze, gdzie wszystko znajduje swe odbicie - w istocie niektórzy mówią, że wszystkie nasze najburzliwsze namiętności, jak również sztuka i religia, to odbicia postrzegane w mrocznej jamie na dnie głowy, gdy świat widzialny jest chwilowo przesłonięty. Patrzyła tam teraz, długo, dogłębnie, przenikliwie, a zarosła pa

prociami ścieżka na wzgórze natychmiast stała się niezaprawioną ścieżką, lecz częściowo Serpentine; krzewy głogu b częściowo paniami z puzderkami i panami z laskami o z tych galkach; owce były częściowo wysokimi domami M fair; wszystko było częściowo czymś innym, jakby jej um stał się lasem z polanami biegnącymi to w tę, to w tą stronę; przedmioty zbliżały się i oddalały, mieszały i r działały, wchodziły w najosobliwsze układy i sojusze w b ustannej szamotaninie światła i cienia. Wyjąwszy chwilę, g Kanut, ogar, pomknął za królikiem i przypomniał jej, że m być już około wpół do piątej - w istocie była za dwadz ścia trzy szósta - zapomniała o czasie.

Zarosła paprociami ścieżka wiodła, licznymi skręta i zygzakami, coraz wyżej i wyżej aż pod dąb, który stał samym wierzchołku. Drzewo urosło większe, było bardz krzepkie i sękaty od czasów, gdy się z nim poznała, ok roku 1588, lecz nadal trwało w sile wieku. Obrębione re lamym ząbkowaniem listki wciąż furczały rżęsiście na łąziach. Orlanda rzuciła się na ziemię i poczuła pod so kości drzewa, odchodzące jak zebra od kregosłupa na róż strony. Wymyśliła sobie, że jedzie na grzbiecie świata. L biła czuć pod sobą coś twardego. Gdy kładła się na ziem z wewnętrznej kieszeni jej skórzanej kurtki wysunęła kwadratowa książeczka, oprawna w czerwone płótno poemat *Dqb*. Powinnam była wziąć ze sobą rydel - u myślowiła sobie. Ziemia ścieliła się tak płytko na korz mach, że zdawało się wątpliwe, czy Orlanda zdoła przepr wadzić swój zamysł i zakopać tutaj książeczkę. Prócz te psy by ją wygrzebały. Takim symbolicznym uroczystością zawsze towarzyszy pech. Może zatem słusznie byłoby ob się bez nich. Na końcu języka miała krótką przemowę, któ zamierzała wygłosić podczas pochówku książki. (Był to e zemplarz pierwszego wydania, sygnowany przez autor i ilustratora). Zakopuję ten tomik w podzięce mojej zie - zamierzała powiedzieć - zwracam jej to, co od ni otrzymałam - lecz mój Boże! Kiedy zaczęło się wym

220

wiać te słowa na głos, jakże śmiesznie brzmiały! Przypomniała sobie, jak stary Greene wszedł kiedyś na podium, aby przyrównać ją do Miliona (wyłączywszy jego ślepotę) i wręczyć jej czek na dwieście gwinei. Pomyślała sobie wtedy o dębie na tym wzgórzu, pomyślała sobie, co to wszystko ma wspólnego z poezją? Co siedem wydań (było ich już bowiem aż tyle) ma wspólnego z jej wartością? Czyż pisanie poezji nie jest skrytym obcowaniem, odzewem głosu na głos? Cała ta paplanina, te peany i przygany, spotkania z wielbicielami swej twórczości i spotkania z przeciwnikami swej twórczości, najzupełniej zatem nie przystawały do rzeczy samej - odzewu głosu na głos. Cóż bardziej skrytego - pomyślała, powolniejszego, podobniejszego współhistnieniu kochanków, aniżeli łamiący się, kilkusetletni odzew Orlandy na starą, zawodzącą pieśń lasów, na farmy i gniade konie stojące u bramy, kark w kark, na kuźnię i kuchnię, i pola, w takim mozołe rodzące pszenicę, rzepe, trawę, na ogród wysypany irysami i dzwonicami?

Podarowała sobie zatem ceremonie; pozwoliła, by nie zakopany tomik leżał rozchełstany na ziemi i patrzyła na ogromny widok; różnorodny jak dno oceanu, położony tego wieczoru słońcem, omoczony cieniem. Widziała wioskę z wieżą kościelną pośród wiazów; szary, kryty kopułami dwór w parku; iskrę światła płonąca na szkle cieplarni; gospodarstwa z żółtymi brogami zboża. Za polami ciągnęły się lasy, srebrzyła rzeka, dźwigały ku niebu wzgórza. Białe zęby Snowdonu strzępiły w oddali obłoki; widziała też dalekie góry Szkocji i rozszalałe wody wokół Hebrydów. Pragnęła złowić uchem huk



dział na morzu, lecz nie - dał tylko wiatr. Nie było dziś wojny. Odszedł Drake, odszedł Nelson. A tam - pomyślała, spuszczać wzrok, błędzący po dalekich przestrzeniach, na swe dawne włości - była niegdyś moja ziemia; mój był zamek między wydmami; moje było wrzosowisko biegnące prawie do morza. W tym momencie krajobraz (niechybnie skutkiem jakiejś psoty gasnącego dnia) zakolebał się, wydzwignął, zsunął ze swych stoków

w kształcie namiotu całe to brzemie domów, zamków i sów. Stały przed nią nagie góry Turcji. Było upalne p łudnie. Spojrzała na spieczoną zbocza. Kozy szczypały pi szczyte kępki trawy u jej stóp. W górze szybował orz W jej uszach zaskrzeczał chrapliwy głos starego Rustu Cygana: - Czym jest starożytność twego rodu, twa maj ność, gdy ją przyrównać do tego? Do czego ci potrzeb czterysta sypialni, srebrne pokrywy wszystkich talerzy i p kojówki z miotełkami z piór?

W tej chwili w dolinie ozwał się zegar kościelny. Kr obraz w kształcie namiotu runął. Znow obsypała terazniejszość, lecz jako że światło gasło, delikatniej n przedtem: nie ukazywała nic szczegółowego, nic małego, ty ko zamglone pola, chaty rozjarzone płomykami lamp, sen cielska lasów i stożek światła pchający przed sobą ciemno jakąś drożyną. Czy wybiła dziewiąta czy dziesiąta, nie wi działa. Zapadła noc - noc, którą ukochała ponad wszystk bowiem odbicia w mrocznych odmetach umysłu świecą wt dy wyraziściej niż za dnia. Nie było już konieczne omdlewa by zaglądnąć głęboko w ciemność, gdzie przedmioty nabi rają kształtu i ujrzyć już to Szekspira, już to dziewczynę w r syjskich szarawarach, już to parostateczek na Serpentine, ju to sam Atlantyk pędzący wielką falą koło Cape Horn. Z głądnęła w ciemność. Och, to bryg jej męża wstępujący n grzbiet fali! Piął się do góry, coraz wyżej i wyżej. Wzró: przed nim biały luk tysiąca śmierci. O nierozważny, o śmie szny człowiecze, wiecznie żeglujący, tak nadaremnie, wokó Cape Horn, w paszczy wichury! Lecz bryg pokonał luk, prze toczył się na drugą stronę, nareszcie bezpieczny!

- O radości! - zawołała - O radości! - Potu wiatr ucichł, wody ustatkowały się; fale marszczyły się spo kojnie w świetle księżycyca.

- Marmaduke Bonthrop Shelmerdine! - zawołała stojąc pod dębem.

Piękne, połyskliwe imię spadało z nieba jak stalowosin pióro. Patrzyła, jak się zniza, klucząc i wirując niczym po

222

wolna strzała, która pięknie rozpruwa gęste powietrze. Nadchodził, jak zawsze, w chwilach martwej ciszy; kiedy falom nie chciało się wybrzuszać, a nakrapiane liście powoli spadały jej na stopy w jesiennym lesie; kiedy lampart nieruchomiał; kiedy księżyc spoczywał na falach i nic się nie poruszało pomiędzy niebem a ziemią. Wtedy nadchodził.

Wszystko było nieruchome. Zbliżała się północ. Księżyc wschodził powoli nad światem. Jego światło uniosło nad ziemię zjawę zamku. W dole stał wielki dom ze wszystkimi oknami w srebrzystej szacie. Żadnych murów, żadnej materii. Wszystko było zjawą. Wszystko było nieporuszone. Wszystko było rozświetlone jak na przyjście zmarłej królowej. Na dziedzincu Orlanda ujrzała falowanie mrocznych piór, migotanie pochodni, przyklękanie cieni. Królowa raz jeszcze zstąpiła ze swej karocy.

- Dom jest wasz, pani! - zawołała, pokłoniwszy się głęboko. - Nic się nie zmieniło: Zmarły lord, mój ojciec, wprowadzi panią.

Gdy przemówiła, zegar zaczął bić północ. Chłodny powiew terazniejszości dotknął jej twarzy leciutkim tchnieniem lęku. Spoglądała niespokojnie w niebo. Było teraz mroczne od chmur. Pośród wycia wichury posłyszała jednak wycie samolotu nadlatującego coraz bliżej i bliżej.

- Tutaj, Shel, tutaj! - zawołała, obnażając pierś do księżycyca (świecił teraz jasno), więc jej perły rozbłysły jak ikra jakiejś ogromnej księżycowej ryby. Samolot wypadł z chmur i zawisł jej nad głową. Perły płonęły w mroku jak fosforyzująca flara.

Gdy Shelmerdine, wyrosły na wspaniałego morskiego kapitana, mężnego, czerstwego i czujnego, zeskoczył na ziemię, wzbil się za nim w górę, jednym machnięciem skrzydeł, dziki ptak.

- To gęś! - zawołała Orlanda. - Dzika gęś... Zegar wybił po raz dwunasty; zegar wybił po raz dwunasty o północy, w czwartek jedenastego października tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego roku.

[The End]